KRZYSZTOF BOSAK NA FALI. ON TAKŻE WYGRAŁ WYBORY

DRAMAT W TORUNIU. WYCIĄGNIJMY WNIOSKI

WIĘCEJ PSÓW NIŻ DZIECI. TO OSTATNI DZWONEK

SIECI

BUDZISZ: WOJNA IZRAELA Z IRANEM ZMIENI CAŁY ŚWIAT

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

26 (656) 2025
23–29 czerwca 2025
CENA: 12,90 ZŁ
(w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS

CO ZROBI TUSK PO KLĘSCE

PREMIER JEST DZIŚ CIĘŻKO RANNY. MA TYLKO JEDNO WYJŚCIE: PRZEDTERMINOWE WYBORY PARLAMENTARNE – PISZE JAN ROKITA

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
Numer w sprzedaży do 30 VI 2025 r.

eprasa.pl 2c3697

„Zbudujmy razem studio z widokiem na Polskę. Bo niezależne media to nasza wspólna sprawa".

ZBIERAMY NA NOWE STUDIO TELEWIZYJNE

numer konta:
69 1020 4900 0000 8202 3036 2577
tytuł wpłaty: **DAROWIZNA**

CEL: 1 000 000 zł

WESPRZYJ patriotyczne media

AUTOPROMOCJA

Twoje dane osobowe będą przetwarzane zgodnie z polityką RODO

eprasa.pl 2c3697ce2f

Toksyczna zadyma

Dlaczego obóz polityczny, który przegrał wybory prezydenckie, zdecydował się na podważanie ich wyniku? Dlaczego dystrybuuje absurdalne oskarżenia, próbując wmówić nam wszystkim, że normalne, nieodbiegające od normy pomyłki w raportach komisji wyborczych były rzekomo jakimś systemowym oszustwem? Przecież musi zdawać sobie sprawę, że szanse powodzenia tej operacji są bliskie zeru. Wynik wyborów uznała szefowa Komisji Europejskiej i także, co kluczowe, Stany Zjednoczone. A prawo mówi jasno, że o ważności wyborów rozstrzyga Izba Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych Sądu Najwyższego – ta sama, która uznała ważność ostatnich wyborów parlamentarnych.

Ta „zadyma" ma kilka celów. W najwęższym planie chodzi tu przede wszystkim o psychologiczne zdjęcie z siebie odium porażki. To rodzaj terapii, niestety niezwykle kosztowny dla naszego państwa, stojącego na i tak dość słabych fundamentach. Przy okazji pozycję w ramach Platformy wzmacnia Roman Giertych, będący głównym motorem tego przedsięwzięcia. Ale nie działa on sam – z ujawnionych niedawno taśm wiemy, że jest, a na pewno był, w wyjątkowo dobrych relacjach z premierem Donaldem Tuskiem. Giertych nie działa więc samodzielnie.

Zresztą premier autoryzuje tę akcję. Z jednej strony przybiera minę państwowca, mówiąc: „Nie może być tak, że ktokolwiek – dlatego, że ma podejrzenia – uznaje, że te wybory są nieważne albo że trzeba je powtórzyć". Z drugiej podkreśla, że „obywatele mają prawo mieć pewność, że ich głosy zostały dobrze policzone, że nie doszło do manipulacji, nadużyć czy błędów na dużą skalę". I dodaje, iż „w interesie państwa polskiego jest rozwianie wszelkich wątpliwości, aby nikt nie mógł kwestionować procedur wyborczych i wyniku wyborów". Tak sformułowana opinia w obecnych warunkach oznacza zachętę dla pieniaczy, by dalej szukali dziury w całym, siejąc dezinformację, i budowali politycznie toksyczne mity. Tu nie ma żadnego „ale", żadnego „z drugiej strony". Karol Nawrocki wygrał przecież bardzo wyraźnie, z przewagą 369 591 głosów (1,78 pp.) nad Rafałem Trzaskowskim. To nie było zwycięstwo „na żyletki", ale wygrana jednoznaczna, bezdyskusyjna.

W szerszym planie gra podważająca wybory to inwestycja w przyszłość, która ma osłabić pozycję nowego prezydenta. To hodowanie narracji, po którą będzie można sięgnąć w sprzyjających okolicznościach, gdy karta się odwróci. W jakiejś mierze to powtórzenie operacji z 2015 r., gdy dosłownie kilka dni po wyborach wygranych przez PiS zaczęto krzyczeć o zagrożonej demokracji, sięgając po symbolikę oporu przeciwko komunizmowi (KOD jako reinkarnacja KOR). Wtedy też nie było precyzyjnego planu – chodziło o położenie wałów, które miały uniemożliwić nowemu rządowi normalne działanie. Od pierwszych chwil miał to być gabinet „nienormalny", groźny, przejściowy, może nawet okupacyjny. Dziś tę samą taktykę podmywania legitymizacji stosuje się wobec prezydenta elekta.

Doskonale wiemy, jakiego języka użyłby obóz władzy, po jakie obelgi by sięgnął, gdyby wygrał kandydat Tuska, a prawica podważała wynik wyborów. Może na słowach by się nie skończyło i w ruch poszłyby bodnarowskie metody perswazji społecznej. Sytuacja nie jest zresztą analogiczna: to Tusk kontroluje aparat państwa, jego partia zawiaduje większością samorządów, a jak wiemy z historii, jeśli ktoś fałszuje wybory, to zazwyczaj robią to rządzący. Możliwe zresztą, że gdyby doszło do przeliczenia głosów, to przewaga Karola Nawrockiego okazałaby się jeszcze większa, niż wynika to z oficjalnych danych. Nie należy jednak tego robić, ponieważ Polski nie stać dziś na tak absurdalną awanturę, której celem jest nie poszukiwanie prawdy, ale, nie oszukujmy się, wykreowanie chaosu i później obalenie wyborczego werdyktu Polaków, a ten, pamiętajmy, zapadł przy rekordowej frekwencji.

Jedno można zrozumieć: ogromną frustrację przegranych. Poseł Witold Zembaczyński z Koalicji Obywatelskiej miał rację, mówiąc w trakcie dwugodzinnej prezydentury Rafała Trzaskowskiego, że „waga tych wyborów rozstrzyga wszystko na dziesięć lat, na dekadę". Tak, te wybory rozstrzygnęły wiele, może nawet prawie wszystko. Z Bożą pomocą wygrała Polska.

Jacek Karnowski

Autopromocja

eprasa.pl 2c3697ce2f

SIECI spis treści

26 Prezydent zagoni rząd do roboty
Z Pawłem Szefernakerem rozmawia Marek Pyza

42 Kamień z serca
Aleksandra Rybińska

55 Do Chin po elektryka, po hybrydę do... Japonii
Grzegorz Szafraniec

NA POCZĄTEK

5 TUSK – STUDIUM POSTAWY
Bronisław Wildstein

6 SYGNALISTA NADAJE
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 NA OKLEP
Krzysztof Feusette

9 POLITYCZNE REWOLUCJE
Dorota Łosiewicz

10 ŚWIATOWE ŻYCIE
redaguje Konrad Kołodziejski

12 PIENIĄDZE ZA ULEGŁOŚĆ. NOWY BUDŻET UE JAKO NARZĘDZIE SZANTAŻU WOBEC POLSKI
Daniel Obajtek

13 DYKTATURA LOBBY OZE
Marta Kaczyńska-Zielińska

14 WALIZKA NATALII BORUCZKOWSKIEJ
Michał Korsun

16 PONURY GŁAZ – POMNIK AMNEZJI
Jan Pietrzak

16 „BEZPIECZEŃSTWO" Z KARTONU
Samuel Pereira

17 SŁUŻBA CZY DWÓR?
Arkadiusz Mularczyk

18 BUNT MŁODYCH
Lech Makowiecki

TEMAT TYGODNIA

19 OBOZU WŁADZY KRAJOBRAZ PO KLĘSCE
Jan Rokita

22 SPISEK RENEGATÓW
Stanisław Janecki

KRAJ

26 PREZYDENT ZAGONI RZĄD DO ROBOTY
Z Pawłem Szefernakerem rozmawia Marek Pyza

30 BOSAK NA FALI
Piotr Gursztyn

33 POLSKA SCHODZI NA PSY
Konrad Kołodziejski

36 DRAMAT W PARKU GLAZJA
Dorota Łosiewicz

ŚWIAT

39 WOJNA IZRAELA Z IRANEM ZMIENI CAŁY ŚWIAT
Marek Budzisz

42 KAMIEŃ Z SERCA
Aleksandra Rybińska

44 LEON XIV ZMIENIA OBLICZE PAPIESTWA
Grzegorz Górny

OPINIE

47 TO NIE JEST CZAS NA „BĄŻURÓW"
Dariusz Matuszak

50 POLAK PATRZY NA NIEMCY
Robert Bogdański

SPORT

52 OKRĘT BEZ STERU I KAPITANA
Michał Muzyczuk

GOSPODARKA

55 DO CHIN PO ELEKTRYKA, PO HYBRYDĘ DO... JAPONII
Grzegorz Szafraniec

HISTORIA

58 POLSKO-CZECHOSŁOWACKA WOJNA O ŚNIEŻKĘ
Stanisław Płużański

SIECI KULTURY

61 ZALIA NA WSCHODZIE KULTURY
Jolanta Gajda-Zadworna

63 SŁAWOMIR ŁOSOWSKI ORCHESTRA
Maciej Walaszczyk

64 OPOLSKA NICOŚĆ I NUDA
Maciej Walaszczyk

66 HITY I KITY ZAREMBY
Piotr Zaremba

68 DZIEWCZYNA NAZYWANA ŚWIATŁEM
Robert Tekieli

PODRÓŻE

70 MOJE SZLAKI: HALINA PRZEBINDA
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

71 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

72 OGNIEM NA WPROST
Andrzej Rafał Potocki

73 DYNAMO KIJÓW: FUTRA, PANIENKI, KORUPCJA...
Ryszard Czarnecki

74 NO NIE POZWALAJĄ CIESZYĆ SIĘ ŻYCIEM
Andrzej Zybertowicz

eprasa.pl 2c3697ce2f

BRONISŁAW WILDSTEIN

Tusk – studium postawy

Czy Tusk straci stanowisko premiera i pozycję politycznego lidera III RP? Ten temat do znudzenia wałkowany jest przez media nie tylko w Polsce. Czy stary drapieżnik, który wcześniej zagryzł już wszystkich partyjnych konkurentów, może utracić koronę, gdy w stadzie nie widać nikogo, kto mógłby mu rzucić wyzwanie?

Rozważania te prowadzą także media propagandowego frontu obecnej władzy, co świadczy, że premier staje się bardziej obciążeniem niż atutem, a dotychczasowi sojusznicy zaczynają się rozglądać za jego zastępcą. Nie będzie to takie proste. Szef PO miał niebywały talent polityczny, a chociaż użytkował go w złych celach, to znaleźć choćby zbliżony nie będzie łatwo. Pytanie: czy Tusk zachował dziś coś ze swojego politycznego daru?

Poważną karierę polityczną zaczynał jako jeden z liderów PO, która deklarowała koalicję z PiS po wyborach w 2005 r. W swoich dokumentach programowych partia odwoływała się do religii, rodziny i tradycyjnych norm oraz do polskiej tożsamości, o którą obiecywała walczyć w UE. Wzywała także do pełnej lustracji.

Przed wspomnianymi wyborami obserwować mogliśmy nagły przypływ religijności Tuska, czego elementem był ślub kościelny, którym uzupełnił on związek cywilny ze swoją długoletnią małżonką.

Kiedy w 2005 r. prezes PO przegrał wybory prezydenckie z Lechem Kaczyńskim, jego partia wytoczyła totalną wojnę niedoszłemu koalicjantowi, czyli PiS. A Tusk związał się ze swoimi wcześniejszymi przeciwnikami, czyli establishmentem III RP, który w ówczesnych wyborach poniósł druzgocącą klęskę. Nie tylko utracił prezydenta, lecz także z reprezentujących go ugrupowań do Sejmu dostały się wyłącznie SLD z nieco ponad 11 proc. głosów i PSL z niecałymi 7 proc. poparcia. Afera Rywina odsłoniła kulisy III RP, a Polacy powiedzieli „dość" rządom oligarchii.

Pomimo politycznej klęski zachowała ona jednak aktywa: kontrolę nad wielkim biznesem i środowiskami opiniotwórczymi, potężnymi korporacjami z prawniczymi na czele czy uczelniami wyższymi. W nowych warunkach Tusk przyjął rolę jego politycznej reprezentacji.

Osobiście opłaciło się mu to sowicie. Jest najdłużej urzędującym premierem w historii III RP, a w przerwie piastował niezwykle lukratywną funkcję przewodniczącego Rady Europejskiej. Rezygnacja z najważniejszej w Polsce politycznej roli szefa rządu na rzecz intratnej, ale mało znaczącej synekury w Brukseli najlepiej demonstruje stosunek Tuska do narodowej wspólnoty. W tym samym czasie na to samo stanowisko rozważana była premier Danii. Odpowiedziała, że propozycję taką może wziąć pod uwagę dopiero po zakończeniu kadencji. Tego wymaga od niej elementarna polityczna lojalność. Tusk takich skrupułów nie miał, chociaż wcześniej także deklarował, że priorytetem jest dla niego funkcja polskiego premiera. Wprawdzie przyzwyczailiśmy się, że do żadnych zobowiązań nie przywiązuje on wagi, ale porzucenie rządów w Polsce na rzecz apanaży w Brukseli powinno położyć kres jego karierze w krajowej polityce. A przecież po powrocie znowu został premierem. Czy możemy się dziwić, że z pogardą traktuje swoich rodaków?

Salto mortale, które Tusk wykonał w ciągu kilku lat, klasycznym partiom europejskiej prawicy zajęło lat kilkadziesiąt. Ale efekt jest identyczny. Europejscy konserwatyści skolonizowani zostali przez lewicowo-liberalną orientację. Od swoich jakoby ideowych rywali różnią się dziś wyłącznie twarzami polityków, którzy powtarzają to samo, co ich konkurenci. Reprezentanci chrześcijańskiej demokracji, którzy przygotowywali projekt Konstytucji dla Europy jak lwy walczyli, aby w preambule do niej nie wspomnieć o chrześcijańskich korzeniach naszej cywilizacji. A chodziło tylko o odnotowanie historycznej oczywistości.

Transformacja tradycyjnej prawicy na lewicową modłę nie wiązała się ze zmianami postaw większości mieszkańców Europy, a wyłącznie jej opiniotwórczych elit. To przejęcie redakcji, uniwersytetów oraz dominujących środowisk kultury przez lewicowo-liberalnie zorientowanych liderów wytworzyło presję, której ulegli politycy.

Istotnym elementem tej transformacji był żywiołowy pęd wielkiego biznesu do eskalacji społecznego hedonizmu, co staje się możliwe po rozmontowaniu tradycyjnych, religijno-kulturowych barier. To w ogóle nieopisane zjawisko jest także w małym stopniu świadome dla jego kreatorów, a stanowi efekt wielkiej liczby promocyjnych przedsięwzięć nowoczesnej gospodarki. Inną stroną tego fenomenu jest działanie rewolucyjnie nastawionych wrogów „kapitalizmu", którzy uderzając w fundamenty cywilizacji zachodniej, paradoksalnie stworzyli warunki do nieskrępowanego i nieliczącego się z niczym rozrostu konsumpcyjnego pędu.

Nihilizm Tuska, prezentowany często jako humanistyczny pragmatyzm, to typowa postawa polityków klasycznej, europejskiej prawicy. Zaprzeczając swoim fundamentalnym ideałom, politykę przekształcili w domenę cynizmu.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 2c3697ce2f

Sygnalista nadaje

Na co by się pooburzać w tym tygodniu? Na PiS i Kaczora Polska Uśmiechnięta oburza się od 20 lat, a na tego Nawrockiego z Gdańska od kilku miesięcy, zatem warto by było pooburzać się na coś całkiem nowego. I oto jest temat dla oburzingu, bardzo świeży, niestety dość przykry. Dzisiaj oburzamy się na zdradzieckie hasła, że „Tusk się kończy" oraz „Tusk w kryzysie". To bardzo przykra sprawa, nie lekceważymy jej. Odniesiemy się do niej publicznie w poniedziałek o godz. 15.00. Bo najbardziej bolesne jest to, że hasło „Tusk się kończy" propagują swoi, czyli media demokratyczne, europejskie oraz postępowe. Cóż ty Miasteczku Wilanów zrobiłeś, Donaldzie, że twój własny lud jest dzisiaj tak niewierny?!

Oczywiście żaden z 10 mln normalnych wyborców (copyright by wicemarszałek ***Grodzki***) nie obwinia premiera o to, co mówił na taśmach ujawnionych przez prawackie szczujnie (niestety nie w likwidacji). Nikt z tego normalnego grona nie obwinia też nagranego tam mecenasa Giertycha. Chodzi o to, że mecenas nazwał wschodnią Wielkopolskę shitami, a premier mieszkańców Radomia zaszczycił określeniem „zjeby". No i o co to oburzenie? Czy ci dwaj najwybitniejsi demokratyczni politycy powiedzieli coś nieprawdziwego? Czas skończyć z fałszywą symetrią, że wszyscy wyborcy są tyle samo warci. Otóż nie są i przestańmy mówić o tym po cichu. Brawa dla równie wybitnych demokratów, profesorów Markowskiego i Sadurskiego, którzy od dawna otwarcie mówili, że Ten Kraj dzieli się na tych, którzy zasłużyli na to, by być wyborcami, i na tych, którzy nie zasłużyli na tę godność i nigdy nie zasłużą.

„Gazeta Wyborcza" zrobiła długi wywiad z siostrą Grzegorza Brauna. Monika opowiada, że chodziła do synagogi i starała się zostać Żydówką. Nie została. Nie udało się, lecz nadal jest postępowa i proeuropejska. Ale więcej różnic między rodzeństwem nie ma. Wszystko inne się zgadza, Monika jest tak samo szurnięta jak jej brat.

Jeszcze jedno z tymi taśmami. Prawactwo oszalało, bo premier powiedział o sobie, że jest Niemcem. A oszalało dlatego, że kocha ono „Polnische Wirtschaft". My zaś, unijczycy polskiego pochodzenia, wybieramy „Ordnung". Befehl ist Befehl! Auf Wiedersehen przy zbieraniu szparagów.

Ukazał się ciekawy ranking osób, które najbardziej wkurzają premiera ***Donalda Franciszka***. Pierwsze miejsce na podium zajmuje Szymon rotamarszałek Hołownia. I tu trzeba z sympatią spojrzeć na premiera, bo ukazał nam swoje ludzkie, wrażliwe oblicze. Nie ma bowiem zdrowego psychicznie człowieka, którego by nie wkurzało to pucołowate 49-letnie dziecko. Znacie kogoś, kogo by Szymek nie wkurzał? Drugie miejsce na podium zajmuje Kaśka Pełczyńska-Nałęcz, osoba ministerska ds. czegoś tam skomplikowanego. Otóż osoba ta się wymądrza, mówi o rozwoju, funduszach, wizjach i innych takich głupotach, które nieprzyjemnie przypominają o tym, że od czasu do czasu trzeba popracować. Nawet wtedy, gdy się jest premierem rządu demokratycznego, praworządnego i europejskiego. Trzecia wśród nielubianych jest Anka Maryśka Żukowska. To ta, co w internetach szybciej pisze, niż myśli. Kompletna wariatka, ale od czasu do czasu dowcipna i zabawna, a to rzadkość na lewicy.

Te trzy powyższe persony wkurzają premiera świadomie i bezczelnie. A tę listę trzeba uzupełnić czło-

eprasa.pl 2c3697ce2f

wiekiem skromnym, cichym, grzecznym i posłusznym, który mimo to i tak wkurza naszego Kierownika. Nawet nie wiadomo dlaczego, bo na pewno nie z powodu kłopotów z pogłosem w mikrofonach. To ***Marcin Kierwiński***, Hiob polskiej polityki. Marcin najpierw był ministrem od policji i straży pożarnej. Premier kazał mu jechać do Brukseli w europosły. Marcin posłusznie pojechał. Premier kazał wrócić. Marcin w te pędy wrócił i wziął niewdzięczną fuchę usuwania skutków powodzi. Miał nadzieję, że obejmie warszawski ratusz po wielkim triumfie Rafała Trzaskowskiego w wyborach prezydenckich. Trochę tu plan nie wyszedł, więc szykował się na to, że przejmie NIK po niejakim Marianie B. No i tutaj też klops. Premier wysyła na to stanowisko niejakiego Maćka Berka. Nie wiecie, kto to? Nie wstydźcie się, my też nie wiemy. Tylko raz widzieliśmy go w telewizji – facet z twarzy podobny zupełnie do nikogo.

Wracając do taśm – okazało się, że mecenas Giertych także chlubi się przynależnością do narodu Goethego i Mozarta. Nie zaskakuje, bo ktoś z taką twarzą na pewno nie mógłby być Untermenschem. No i to jest też odpowiedź na pytanie o plan B, czyli Wunderwaffe, którą premier Donald Franz pokona tego Nawrockiego z Gdańska. Źli ludzie mówią, że plan B jest jaki Yeti – każdy o nim słyszał, ale nikt nie widział. A my twierdzimy, że plan B jest jak Wunderwaffe. W końcu kiedyś zadziała. A kto nie wierzy w ostateczne zwycięstwo, ten defetysta.

Czas na dobre wiadomości: wreszcie zakończyła się ta ohydna kampania prezydencka. Nieważne jak, ważne, że nie trzeba już udawać kogoś, kim się nie jest i skończyło się podlizywanie do tych shitów oraz zjebów z Polski Wschodniej. Radosny, kolorowy, inkluzywny, a przede wszystkim tęczowy pochód przeszedł ulicami Warszawy. I znów mógł do niego dołączyć ***Rafał Trzaskowski***. Cóż to była za parada w tym roku – eleganckie stringi nabijane ćwiekami, najnowsze psie maski, osoby dragqueeńskie, a nawet reprezentacja osób o tożsamości satanistycznej. Czyli najbardziej uśmiechnięta twarz Polski Uśmiechniętej. Szkoda tylko, że mecenas Giertych nie dotarł.

Przed Tym Krajem strategiczna decyzja: wybór rzecznika prasowego rządu. Czyli sprawa ważniejsza niż konklawe. Wzorem Kisiela, który kiedyś sporządził listę pt. „Moje typy", nasza rubryka przedstawia „Nasze typy": Tomasz Lis, Eliza Michalik, ambasadorowa Schnepfowa, Wojtek Czuchnowski, ewentualnie Bartosch z „Wyborczej", Stankiewicz z Onetu, Tomek Wiejski i Janek Piński (uwaga! – to dwie różne osoby), Kamil Dziubka, Pablo Morales, Jacula Murański. Trudny wybór, ale zawsze można wprowadzić system rzecznika rotacyjnego. To zamknie gęby kaczystom, faszystom i symetrystom.

Znowu jakieś zjeby mają pretensje do rządu koalicji 15 października (łamane na 13 grudnia). Chcą, aby rząd przysłał samoloty do Izraela i ich ewakuował. Pojechali za granicę na własną odpowiedzialność, niech więc spadają. Albo rakiety niech na nich spadają – nam to ganz egal.

W tym miejscu przypominamy osobom roszczeniowym, jakie zasady obowiązują obecnie w Ten Kraju: „Trzeba było się ubezpieczyć"; „Sorry, taki mamy klimat"; „Dwa razy obiecać, to jak raz dotrzymać"; „Obietnice polityczne wiążą tylko tych, którzy w nie wierzą". I zapamiętajcie najważniejsze: „Prognozy nie są przesadnie alarmujące".

Straszne świństwo chce zrobić ten Nawrocki z Gdańska. Już teraz zapowiedział, że nie zgodzi się na nominacje ambasadorskie dla dwóch najwybitniejszych Metternichów i Talleyrandów naszej uśmiechniętej dyplomacji. Na podpis tego uzurpatora z pałacu prezydenckiego czeka kandydat na ambasadora w Rzymie Schnepf (dawniej Sznepf) i w Waszyngtonie mister Klich (dawniej Klich). Obaj mają ogromne zalety i odpowiednie kompetencje. Pierwszy jest mężem pani Schnepfowej, a drugi osobistym hejterem prezydenta Trumpa. A mimo to ten Nawrocki z Gdańska rzuca kłody pod nogi i leje wodę na młyn.

Jest jednak nadzieja. Wyjawił ją mecenas europoseł Wawrynkiewicz z Silnych Razem albo jakiejś innej Justicji. Przedstawił plan, aby rotamarszałek Hołownia nie zwołał Sejmu, nie odebrał przysięgi od tego Nawrockiego z Gdańska i wtedy Szymek zostanie głową państwa.

Znakomite posunięcie wizerunkowe rządu Polski Uśmiechniętej: Marcin Bosacki sobie coś wreszcie wydeptał i zostanie wickiem w MSZ. Supersprawa, bo cała Polska mogła go oglądać w komisji śledczej ds. jakichś strasznych pisowskich zbrodni. I fajnie tam wypadał z takimi kocurami, jak Witek Bezzębaczyński i Tomek Trela. Wyczyn Marcina jest heroiczny. Od dawna starał się o jakąś gitową posadę, ale stara Bosacka (ta Kaśka od zdrowego odżywiania) łaziła po mieście i truła wszystkim, że Marcin to straszna świnia. Rzucił ją i czwórkę ich kaszojadów dla jakiejś młodszej flądry. No samo życie, sorry, taki mamy klimat.

Fot. Andrzej Skwarczyński, Andrzej Wiktor x2, Liudmyla Skwarczyńska

eprasa.pl 2c3697ce2f

Na oklep

KRZYSZTOF FEUSETTE

Roman: (*rży*) Ihja, ihja...
Donald: Kto mówi?
Roman: Ihja, ihjaaa...
Donald: Halo?
Roman: Ihjaaa! Patataj!
Donald: Coś chyba zakłóca... Skąd pan dzwoni?
Roman: Patataj! Zwierzę hodowlane nad Wisłą, proszę podać odgłos...
Donald: Czy pan mnie słyszy?
Roman: O, to, to...
Donald: Czy konie mnie słyszą?
Roman: Nareszcie! Pan premier zupełnie nie dba o standardy bezpieczeństwa.
Donald: A co, znowu będziesz nagrywać?
Roman: Jak to znowu?
Donald: Kto nagrywał w 2019 r.?
Roman: Pegasus!
Donald: Co to jest?
Roman: Taki koń. Ze skrzydłami.
Donald: Wszystko jasne. Czy mam ci połamać skrzydła?
Roman: Przecież ja nie mam. Poza tym musimy utrzymać absolutną konspirację. Teraz też możemy być rejestrowani.
Donald: Przez kogo?
Roman: Przez Chińczyków.
Donald: A po co?
Roman: Po co?! Przecież oni już w Janowie Podlaskim mnie szukali!
Donald: Wtedy, jak zemdlałeś?
Roman: Nie, wtedy to była prokuratura. Oficjalnie. Leżę po omdleniu na tym łóżku szpitalnym, swoją drogą, to całkiem dobrze działa nasza służba zdrowia, podkreślam nasza, bo ładnie się mną zajęli...
Donald: To znaczy?
Roman: To znaczy przychodzi pielęgniarka i mówi: „Idą!". No to ja myk, oczy zamknięte. Jak w tym serialu „Karino", pamięta pan? Maklakiewicz mówił: „Koń kuleje" i Karino od razu wiedział, że ma kuleć, co nie?
Donald: Nie pamiętam. Oglądałem wtedy Klossa. To był dobry Niemiec.
Roman: Niemcy są zawsze dobrzy, tylko czasami im się Austriak w to wpakuje i jest dramat.
Donald: Bez przesady z tym dramatem. Słyszałeś, co mówił Radek? Że byliśmy beneficjantem II wojny światowej. A widziałeś ten pomnik, co nam zrobili w prezencie?
Roman: A gdzie?
Donald: No w Berlinie. Przecież u nas ludzie od razu by rozkradli. A to nie jest byle co i to nie są tanie rzeczy. To jest oryginalny głaz narzutowy.
Roman: Oryginalny?
Donald: No tak.
Roman: W sensie, że oni nam to narzucili?
Donald: Nikt niczego nie narzucał. PiS zaczęło o tych chorych reparacjach, to się poczuli w obowiązku coś nam dać.
Roman: I to jest nasze?
Donald: Jak może być nasze, skoro jest w Berlinie? To jest symbol. Ja, Niemiec, muszę ci tłumaczyć takie rzeczy?
Roman: A jaki z pana Niemiec? Niemcy to dzisiaj pracują w Onecie albo „Fakcie", albo „Newsweeku". A pan dla Polski to, dla Polski tamto...
Donald: Już nie przesadzaj. Chodziło o pakt migracyjny i Zielony Ład, bo to jest nasz obowiązek. To wyraz solidarności względem zachodniego sąsiada, któremu tyle zawdzięczamy. Gdyby nie Niemcy, mur berliński nadal by dzielił Polaków, to znaczy Niemców, na lepszych i gorszych...
Roman: To już są tematy drażliwe. Ja bym jednak prosił, jako koń, to znaczy pana mecenas, żebyśmy wrócili do głębokiego szyfrowania. Zwłaszcza że chciałem porozmawiać o rozliczeniach.
Donald: Oddajesz tę kasę?
Roman: Jaką?
Donald: No za „Polnord".
Roman: Ja nic nie wiem o żadnym...
Donald: „Polnordzie"?
Roman: Po mordzie? A za co?
Donald: Nie po mordzie. No coś ty, ja bym zwierzęcia nigdy nie uderzył. To czego chciałeś?
Roman: Muszę szyfrować. Wio, koniku...
Donald: Słucham?
Roman: No przecież szyfruję! Wio, koniku...
Donald: ...a jak się postarasz... O siano ci chodzi?
Roman: Siana to ja mam po siodło. Dawne życie poszło w dal, dziś na zimę ciepły szal, tylko...
Donald: Tylko co?
Roman: Tylko koni...
Donald: Nie rozumiem.
Roman: No nie zna pan tego? Tylko koni, tylko koni żal!
Donald: I w sto koni nie dogoni...
Roman: Koń by się uśmiał.
Donald: Niby czemu?
Roman: No przecież to było hasło. Że koń jest zadowolony.
Donald: A ty nie masz przypadkiem manii prześladowczej? Jak rozmawiałem z Lisem, to nie gadał tak głupio.
Roman: Bo lis jest wściekły. A wściekłe zwierzę za bardzo się zbliża do ludzi. I może ugryźć.
Donald: Żebyś ty mnie czasem nie ugryzł.
Roman: Ja? Przecież pan wie, że jakby co, to ja od razu, co koń wyskoczy...
Donald: Lepiej już nie skacz.
Roman: Kto nie skacze, ten za PiS, pamięta pan?
Donald: Jak ja bym miał pamiętać każdą twoją durną akcję, to by mi głowy na rozmowy zabrakło. Coś ty wymyślił z tymi wyborami?
Roman: No trzeba liczyć jeszcze raz.
Donald: Do ilu?
Roman: Głosy przeliczyć. Do skutku. To niemożliwe, żeby Rafał przegrał. Musimy walczyć.
Donald: O jeszcze większą kompromitację?
Roman: O zwycięstwo! I wtedy nikt już nie będzie podważał pana wiodącej roli.
Donald: A kto podważa?
Roman: No są tacy, co mówią, że Sikorski mógłby objąć...
Donald: Niech on lepiej obejmie żonę. Bo potem będzie zdziwiony, jak się we dworze z porożem nie zmieści. Pamiętasz, co mówił Bronisław? A to jak dotąd jest nasz jedyny prezydent. Żony trzeba pilnować.
Roman: A konia to nie? Wie pan, ilu teraz koniokradów kręci się po Sejmie?
Donald: A kto by chciał taką szkapę? No, ale jak chcesz, mogę cię jakoś oznakować. W sumie dobry pomysł. Zgłoś się jutro do Grasia, on ci to wypali na zadzie.

eprasa.pl 2c3697ce2f

WIEŻA BAB

Polityczne rewolucje

Nagle schudła nam Trzecia Droga. Do tego stopnia, że przestała istnieć

Z rekonstrukcją rządu Donalda Tuska jest jak z noworocznym postanowieniem o utracie zbędnych kilogramów do lata. Szybko o nim zapominamy.

„Tak, będzie rekonstrukcja rządu. Nie wszyscy mają powody do radości. Atmosfera musi ochłonąć. W czerwcu na spokojnie wrócę do rozmowy z moimi partnerami koalicyjnymi. Nie żeby im coś zabrać, tylko żeby ten rząd był mniejszy, mniej liczebny i sprawniejszy" – zapowiedział premier Tusk 20 maja. Wszyscy więc w napięciu czekają: kto poleci, a kto zapracował na pozostanie.

Rząd miał być szczuplejszy, sprawniejszy i ruszyć do przodu z kopyta. Ale „cóż szkodzi obiecać"? Na razie gabinet wciąż nie tylko nie schudł, lecz wręcz tyje w oczach. Minister Radosław „X to moje hobby" Sikorski ogłosił nagle oczekującej utraty rządowych kilogramów publiczności: „Mam nowego wiceministra! Krzysztof Bosacki – witamy na pokładzie!". Gdy wszyscy spodziewali się zwijania foteli, ktoś dorzuca kolejne krzesło.

Można by pomyśleć, że rekonstrukcja to jakaś tajemnicza gra logiczna. Najpierw trzeba nabrać kilogramów, żeby potem schudnąć. A w MSZ coraz trudniej się poruszać między gabinetami, bo biurek przybywa szybciej niż skutecznych interwencji dyplomatycznych.

Najzabawniejsze jest to, że nim skalpel rekonstrukcji wszedł w ruch, ministrowie musieli zagłosować nad wotum zaufania... dla samych siebie. Ot, taka zabawa w odnowienie mandatu społecznego dla rządu bez udziału społeczeństwa, bo to w wyborach prezydenckich pokazało rządowi czerwoną kartkę. Wynik głosowania był oczywisty, wszyscy klaskali, choć się nie cieszyli, bo przecież nikt z biorących udział w zabawie nie wiedział, czy zaraz nie odpadnie z gry i ktoś nie schowa mu krzesła.

Jednak nie czekając na odgórne odchudzanie, postanowił się zrekonstruować wiceminister rolnictwa Michał „Cisza, teraz ja mówię" Kołodziejczak, który podał się do dymisji. On sam twierdzi, że zapasiona administracja nie pozwoliła mu realizować jego pomysłów, jednak media twierdzą, że mógł zostać przymuszony do tej decyzji. Być może ma to związek z jego przyspieszoną ścieżką edukacji i faktem, że politycznej wagi miał nabrać dzięki dyplomowi z Collegium Humanum, który zdobył drogą kupna, a nie edukacji.

Za to nagle schudła nam Trzecia Droga. Do tego stopnia, że przestała istnieć. Rada Naczelna PSL zaśpiewała Polsce 2050 „It's time to say goodbye" i ogłosiła koniec projektu. Takie aksamitne rozstanie, mimo sprzeciwu PSL wobec przyspieszonej ścieżki rozwodów.

A przecież miało być tak pięknie: umiar, kompromis, nowa jakość, oferta dla centrum, spojrzenie w przyszłość z konserwatywną kotwicą. A było umiarkowane poparcie, kompromisowa widoczność i nowa jakość z cyklu „brak".

Sondaże, które przez chwilę były kompasem na sukces, teraz pokazują coś zupełnie innego: Trzecia Droga nie przekracza progu wyborczego. A to oznacza, że wyborcy nie widzą tam już ani drogi, ani sensu. Może to lekcja, że w polityce nie wystarczy nazwać się Trzecią Drogą – trzeba jeszcze wiedzieć, dokąd ona prowadzi. Bo jeśli nikt nie trzyma mapy, kończy się to tym, że zamiast do wyborców, trafia się w ślepy zaułek. Tak Trzecia Droga stała się kolejnym punktem na liście polskich projektów z serii: „Miało być, a nie wyszło".

Ale ponieważ PO potrzebuje wyborczego paliwa, do wyborów pewnie powstanie kolejny polityczny wehikuł. Czekamy na kolejną „Nową Nadzieję" dla wyborców lub „Koalicję Wszystkich ze Wszystkimi i Trochę Osobno". I tylko trochę żal Tygryska, bo jakiś taki zmęczony, lekko zdezorientowany, z sierścią w nieładzie cicho mruczy: „Gdzie ja właściwie miałem skakać?". Miał być skok w przyszłość, a może się skończyć na dachu – tam, gdzie miejsce dachowców. Na dach już raczej nie wejdzie Szymon „Kupujcie popcorn" Hołownia, bo te jego przedstawienia wystarczyły raptem na 4,99 proc. poparcia.

A wyborcy, zajadając nieco już zjełczały popcorn, czekają na odchudzenie rządu, obiecane przyspieszenie, a na razie widzą koalicję jadącą prosto na ścianę. I to wcale nie trzecią drogą.

Dorota Łosiewicz

Zielone wywłaszczenie

Hiszpania

W Loperze, andaluzyjskiej wiosce liczącej 3,6 tys. mieszkańców i położonej 200 km na północny wschód od Sewilli, niemal wszystko kręci się wokół oliwy z oliwek – produktu, którego Hiszpania jest największym eksporterem na świecie. Ale żyzne ziemie tej gminy przyciągają również firmy z sektora energetycznego, takie jak Greenalia i FRV Arroyadas, które chcą tam zainstalować farmy fotowoltaiczne.

W południowej Hiszpanii wycięto już ponad 500 tys. drzew, w tym gaje oliwne liczące ponad 100 lat, aby zainstalować ogromne farmy słoneczne. Rolnikom, którzy się bronią, władze Andaluzji grożą wywłaszczeniem „w imię interesu publicznego". Według Natalii Corbalán z organizacji obrony rolników SOS Rural firmy energetyczne szukają lokalizacji w pobliżu stacji transformatorowych, ponieważ farmy solarne muszą być podłączone do sieci. „Następnie próbują wydzierżawić cały teren w promieniu do 7 km. Dzierżawy zazwyczaj opiewają na 30 lat. Uprawa oliwek kończy się na zawsze. Rodziny, które zarabiały w ten sposób na życie, muszą wyjechać. Nie powstają bowiem żadne nowe miejsca pracy – poza kilkoma pracownikami potrzebnymi do instalacji. Później systemem zajmuje się maksymalnie trzech techników. Takie farmy słoneczne nie przynoszą dobrobytu, ale wyludnienie" – podkreśla Corbalán.

Wycinane są nie tylko gaje oliwne. Na potrzeby farm solarnych zniszczono również ponad 45 tys. winorośli. Według operatora sieci elektroenergetycznej REE w ub.r. Hiszpania wyprodukowała 56,8 proc. energii elektrycznej ze źródeł odnawialnych, w tym 17 proc. z instalacji fotowoltaicznych. Po wielkiej awarii energetycznej, która dotknęła ten kraj pod koniec kwietnia, socjalistyczny premier Pedro Sánchez zapowiedział, że teraz z jeszcze większym zaangażowaniem będzie dążył do całkowitego przejścia na zieloną energię. „Przyszłość Hiszpanii jest zielona albo jej nie ma" – dodał.

Komentarze Sáncheza wywołały gniew wśród opozycji. Alberto Núñez Feijóo z centroprawicowej Partii Ludowej oskarżył całe kierownictwo Ministerstwa Transformacji Ekologicznej o fanatyzm. Tymczasem prawicowa partia VOX przedstawiła projekt ustawy mający na celu powstrzymanie rozwoju paneli słonecznych kosztem gajów oliwnych i obiecała bronić rolników. Według niej Sánchez realizuje „agendę Brukseli, która wystawia na szwank nasze bezpieczeństwo żywnościowe".

Aleksandra Rybińska

Najdroższy wrak świata

Na dnie Morza Karaibskiego leży wrak hiszpańskiego galeonu, który od kilku lat jest obiektem szczegółowych badań. Najnowsze z nich potwierdzają, że na pokładzie okrętu znajduje się ogromny ładunek złotych monet i kamieni szlachetnych, warty dzisiaj 17 mld dol. Odnaleziony skarb sprawia, że hiszpański galeon jest najdroższym wrakiem, jaki kiedykolwiek odkryto na świecie.

Trójmasztowiec San José przewoził skarby z Peru do Hiszpanii, aby sfinansować zmagania Burbonów w ich walce o hiszpańską sukcesję. Wyposażony w 64 działa został przechwycony przez brytyjską marynarkę wojenną i zatopiony w 1708 r. w pobliżu miasta Cartagena de Indias. Na jego pokładzie znajdowało się 200 t srebra i szmaragdów, 11 mln złotych monet oraz porcelanowa ceramika z Chin.

Przez wiele lat trwały poszukiwania cennego wraku. Na jego ślad po raz pierwszy natknęła się w 2015 r. kolumbijska marynarka wojenna, ale nie zdołano wówczas z całkowitą pewnością zidentyfikować okrętu. Dopiero ostatnia wyprawa, której rezultaty opublikowano na łamach specjalistycznego pisma „Antiquity", zdaje się jednoznacznie potwierdzać, że mamy do czynienia z zatopionym hiszpańskim galeonem.

Wrak, który przetrwał w bardzo dobrym stanie, znajduje się w trudno dostępnym miejscu na głębokości 600 m.

Kolumbia

Na jego pokładzie i w pobliżu udało się zlokalizować dużą ilość złotych monet. Badacze ustalili, że są to ręcznie wybijane monety o nieregularnym kształcie, znane jako cobs w języku angielskim i macuquinas w języku hiszpańskim, które były wówczas główną walutą w Ameryce Południowej. Na statku znaleziono również chińską porcelanę z okresu Kangxi (1662–1722). Zdaniem naukowców odkryte kosztowności pozwalają zidentyfikować wrak jako San José.

Jeszcze w 2015 r. prezydent Kolumbii nazwał zatopiony okręt „najcenniejszym skarbem, jaki kiedykolwiek odnaleziono w historii ludzkości". Nic więc dziwnego, że natychmiast zaczęła się rywalizacja o prawa do wraku. Domagali się ich Hiszpanie (bo okręt był ich własnością), tubylcze ludy indiańskie (bo wiele z przewożonych skarbów zostało wykradzionych ich przodkom) oraz amerykańska firma badawcza (bo zidentyfikowała okręt). Ostatecznie jednak amerykański sąd arbitrażowy przyznał prawo do wraku Kolumbii, na której wodach terytorialnych odnaleziono zatopiony galeon.

Konrad Kołodziejski

Peru

Fala bezprawia

Peru zmaga się z narastającą falą zorganizowanej przestępczości. W ostatnich pięciu latach skala wymuszeń wzrosła tam sześciokrotnie, a liczba zabójstw się podwoiła. W marcu po zastrzeleniu przez gangsterów Paula Floresa, znanego piosenkarza cumbia, dziesiątki tysięcy Peruwiańczyków wyległo na ulice protestować przeciw rosnącej przestępczości. Rząd wprowadził wówczas stan wyjątkowy – po raz trzeci w ciągu 12 miesięcy – aby zatrzymywać członków gangów bez nakazów sądowych. Jednak na niewiele się to zdało ze względu na wieloletnie niedofinansowanie sił policyjnych i korupcję, która jest w Peru zjawiskiem permanentnym.

W Limie zbudowano nawet specjalne więzienie dla byłych prezydentów, którzy po zakończeniu kadencji regularnie są oskarżani i skazywani za przyjmowanie łapówek. Ostatniemu z nich, Alejandrowi Toledo, zasądzono wyrok 20,5 roku więzienia za łapówkarstwo, a jego poprzednik Pedro Pablo Kuczynski również jest sądzony za korupcję i w ubiegłym tygodniu otrzymał zakaz opuszczania kraju, bo istniało ryzyko, że ucieknie do Brazylii.

Do 2024 r. 67 z 130 członków obecnej kadencji peruwiańskiego parlamentu było objętych dochodzeniami karnymi. Kiedy prokuratorzy oskarżyli członków Kongresu o uczestnictwo w organizacjach przestępczych, parlamentarzyści uchwalili ustawę zawężającą definicję przestępczości zorganizowanej, utrudniając w ten sposób dochodzenia w sprawie korupcji i wymuszeń. Urzędująca prezydent Dina Boluarte nie zawetowała tej ustawy, bo sama jest objęta śledztwem prokuratorskim w związku z oskarżeniami o korupcję.

Gangi w Peru rozrosły się w czasie pandemii COVID-19, kiedy w związku z ograniczeniami szukały nowych źródeł dochodów i zaczęły się parać wymuszeniami. Skoncentrowały się na średnim i małym biznesie w dzielnicach biedoty. Siły policyjne są tam niedofinansowane i najczęściej zbyt małe. W największej dzielnicy Limy San Juan de Lurigancho, w której mieszka 1,2 mln ludzi, jest zaledwie 600 funkcjonariuszy policji.

Do Peru napłynęli też gangsterzy z Wenezueli, w tym z największej obecnie organizacji przestępczej Ameryki Łacińskiej – Tren de Aragua. Peruwiańska Amazonia jest z kolei penetrowana przez organizacje przestępcze, które budują nielegalne kopalnie złota i wykorzystują rosnące światowe ceny tego kruszcu. 75 proc. Peruwiańczyków deklaruje, że boi się wychodzić z domu, a państwo znalazło się w głębokim kryzysie, z którego – jak się coraz powszechniej uważa – można wyjść tylko dzięki rządom twardej ręki, podobnym do tych, które zaprowadził w Salwadorze Nayib Bukele.

Marek Budzisz

Fot. Jakub Buza/Shutterstock.com, Shutterstock x3

Turkmenistan

Prawdziwi mistrzowie wizerunku

Władze Turkmenistanu postanowiły przeciwdziałać negatywnemu wizerunkowi ich kraju, który jest propagowany na świecie, zwłaszcza na zagranicznych portalach internetowych i w mediach społecznościowych. Dlaczego? Ponieważ państwo rządzone przez klan Berdimuhamedowów jest zazwyczaj pokazywane jak dyktatura, w której panuje kult jednostki, a podstawowe prawa obywatelskie są nieprzestrzegane.

By przeciwstawić się temu obrazowi, kreowanemu przez „zagraniczne ośrodki sabotażu ideologicznego", rząd postanowił zaktywizować „operatorów sztuki i kultury" na poziomie administracji regionalnych. W akcję mają być zaangażowani pracownicy lokalnych organów powiązanych m.in. z ministerstwem spraw wewnętrznych, służbą bezpieczeństwa, prokuraturą oraz stowarzyszeniami działającymi w obszarze kultury głównie na terenach wiejskich. Zgodnie z instrukcjami opracowanymi na szczeblu centralnym w ramach swoich obowiązków służbowych mają oni odwiedzać wsie i miasteczka, zbierać miejscową ludność w reprezentacyjnych miejscach i nagrywać rozmowy z mieszkańcami. Ci ostatni mają zaś opowiadać przed kamerami, jak dobrze im się żyje, jak obfite plony zbierają i jak wspaniała jest polityka obecnych władz. Mile widziane jest uzupełnienie tych entuzjastycznych wypowiedzi o jakiś występ artystyczny, np. grę na tradycyjnym instrumencie muzycznym, taniec ludowy, a najlepiej deklamację wierszy prezydenta Berdimuhamedowa.

Z każdego takiego wyjazdu w teren „operator sztuki i kultury" musi przywieźć dokumentację filmową i sporządzić szczegółowy raport. Docelowo nagrane materiały mają zostać zmontowane, przetłumaczone na języki obce, a następnie wrzucone do internetu. Władze Turkmenistanu mają nadzieję, że w ten sposób stworzą pozytywny obraz swojego kraju na arenie międzynarodowej. To się nazywa polityka wizerunkowa na miarę XXI w.

Grzegorz Górny

eprasa.pl 2c3697ce2f

Pieniądze za uległość. Nowy budżet UE jako narzędzie szantażu wobec Polski

Wypłaty unijnych środków, w tym tych najważniejszych, np. dla rolnictwa czy samorządów, będą zależały od akceptowalności naszych reform w oczach brukselskich komisarzy

Bruksela nie będzie już tylko dzielić środków – będzie karać, nagradzać i wychowywać. Nowe Wieloletnie Ramy Finansowe Unii Europejskiej to nie plan rozwoju, ale scenariusz politycznej tresury państw członkowskich. Polska, największy beneficjent netto, ma szansę stać się największym zakładnikiem. Dopłaty dla rolników, inwestycje, fundusze unijne? Tak, ale tylko jeśli Warszawa spełni ideologiczne „kamienie milowe" Komisji Europejskiej. Inaczej: blokada.

Dla Polski to poważne ostrzeżenie. Bo choć nadal będziemy największym beneficjentem netto unijnego budżetu, to coraz bardziej stajemy się też głównym adresatem ideologicznych „kamyczków w bucie", które Komisja Europejska wkłada do dokumentów finansowych.

Bruksela rozsmakowała się w narzucaniu państwom członkowskim reform pod pretekstem „ochrony wartości europejskich". Mechanizm warunkowości, dotąd stosowany punktowo (np. wobec Polski i Węgier), teraz ma zostać zinstytucjonalizowany i wpisany bezpośrednio w strukturę nowego budżetu.

Oznacza to, że wypłaty unijnych środków, w tym tych najważniejszych, np. dla rolnictwa czy samorządów, będą zależały od akceptowalności naszych reform w oczach unijnych komisarzy. A tych nie wybierają Polacy. Bruksela zyska nie tylko prawo do oceny „stanu praworządności", lecz także możliwość blokowania funduszy na podstawie nieprecyzyjnych, ideologicznych kryteriów. Kto nie zreformuje się „po brukselsku", ten zostanie bez pieniędzy.

Drugim elementem tej układanki jest tzw. jedna krajowa koperta. Zamiast oddzielnych budżetów na politykę rolną, spójności, transformację czy cyfryzację – jeden wspólny worek. Teoretycznie elastyczność, w praktyce – centralizacja. Każda narodowa strategia wydatkowania funduszy z UE będzie musiała uzyskać akceptację Komisji. Jeśli się nie spodoba, środki zostaną wstrzymane.

To szczególnie niepokojące dla Polski. Dotychczas rolnicy mogli liczyć na przewidywalność dopłat i względną autonomię polityki rolnej. Teraz ich los zależeć będzie od zgodności z Zielonym Ładem, pakietami klimatycznymi czy – jak się mówi nieoficjalnie – postępów w „dekonstruowaniu konserwatywnych struktur społecznych". Bruksela nie przyznaje tego wprost, ale mechanizm już działa. Wystarczy spojrzeć na wypłaty z KPO: pieniądze zatwierdzone, ale wypłacane selektywnie – za postęp, nie za potrzeby.

Nowe Ramy Finansowe to nie budżet rozwoju – to budżet dyscyplinowania. Polska może zostać zepchnięta do roli petenta wykonującego reformy pod dyktando Komisji, by zasłużyć na własne środki. I choć rząd w Warszawie, Wiedniu czy Atenach ma silniejszy mandat społeczny niż wielu komisarzy w Brukseli, to w nowej konstrukcji to właśnie ci komisarze będą decydować o tym, kto „spełnia wartości", a kto nie.

Jeśli Polska nie postawi twardych granic, jasno wyznaczonych interesem narodowym i konstytucyjną suwerennością, Bruksela zrealizuje model, w którym każdy przelew z UE będzie premią za uległość. I trudno wtedy mówić o partnerstwie. Będziemy beneficjentem, ale pod nadzorem. Wspólnota bazująca na kontroli, nie na zaufaniu, nie jest wspólnotą. To system zależności.

A te, jak wiemy z historii, bywają kosztowne – zwłaszcza dla tych, którzy chcą myśleć po swojemu.

Daniel Obajtek

Fot. Archiwum autora

eprasa.pl 2c3697ce2f

Dyktatura lobby OZE

Marta Kaczyńska-Zielińska

10 czerwca br. Trybunał Konstytucyjny wydał przełomowe orzeczenie, w którym stwierdził, że unijna dyrektywa ustanawiająca Europejski System Handlu Emisjami (ETS) jest niezgodna z polską konstytucją, ponieważ została przyjęta z przekroczeniem uprawnień przyznanych Unii Europejskiej przez Polskę. Tym samym narusza ona suwerenność narodową w zakresie określania polityki energetycznej. Narzucenie Polsce polityki Zielonego Ładu jest przejawem pozatraktatowego nacisku brukselskich instytucji, które w świetle obowiązujących traktatów nie mogą wkraczać w kompetencje państw członkowskich i decydować, z jakich źródeł energii dane państwo może korzystać i „jakiego rodzaju obciążenia fiskalne mogą być nałożone na poszczególne źródła".

Zgodnie z art. 192 ust. 2 Traktatu o funkcjonowaniu Unii Europejskiej wydawanie przez UE akty prawne odnoszące się do środowiska, a w szczególności te, które generują obowiązki fiskalne lub znacząco wpływają na wybór przez państwo członkowskie źródeł energii i ogólną strukturę zaopatrzenia w energię, wymagają jednomyślnej decyzji w Radzie Unii Europejskiej. Żaden z aktów wchodzących w zakres pakietu przepisów określanych mianem Zielonego Ładu nie był jednak procedowany wedle opisanych zasad. W związku z powyższym TK orzekł, że wydanie dyrektywy o ETS bez uzyskania jednomyślności w Radzie UE narusza konstytucję RP. Wyrok TK obliguje władzę ustawodawczą do uchylenia przepisów polskiego prawa, które implementują wadliwie przyjętą dyrektywę, i/lub powinny skłonić władze RP do podjęcia działań mających na celu uchylenie tej dyrektywy z porządku prawnego UE.

Wydawało się, że wojna na Ukrainie, kryzys energetyczny i inflacja zepchną zieloną agendę UE na dalszy plan. Ku zdumieniu coraz szerszych kręgów społeczeństwa Bruksela wciąż usiłuje wymusić utrzymanie kontynentu na ścieżce prowadzącej do jego załamania gospodarczego.

W 2027 r. UE rozszerzy handel emisjami za sprawą uruchomienia systemu ETS2, co bezpośrednio uderzy w portfele obywateli, gdyż będzie stopniowo powodować wzrost cen benzyny, węgla, oleju napędowego i gazu do ogrzewania gospodarstw domowych. Według najnowszych informacji KE przygotowuje się do ogłoszenia 2 lipca br. nowego kamienia milowego w dziedzinie klimatu, którego celem jest redukcja emisji CO_2 o 90 proc. do 2040 r. Obecnie prawnie wiążący cel w UE to 55 proc. redukcji emisji do 2030 r. i osiągnięcie całkowitej neutralności do 2050 r.

Energia z OZE jest droga. W mediach coraz częściej można natrafić na informacje dotyczące potencjalnej szkodliwości tzw. odnawialnych źródeł energii dla zdrowia i przyrody. Chodzi o infradźwięki emitowane przez wiatraki, migotanie powodowane przez skrzydła turbin, zaburzenie równowagi fauny i flory, kancerogenność paneli fotowoltaicznych, niemożność utylizacji zużytego sprzętu. OZE nie zapewniają stabilnych dostaw prądu i muszą być równoważone przez elektrownie węglowe. Niedawno przekonały się o tym Hiszpania, Portugalia i południowa Francja, których bazujące na OZE systemy elektroenergetyczne doświadczyły wielogodzinnego blackoutu.

Jak przy zdrowym rozsądku po tego typu doświadczeniu można w dalszym ciągu forsować rozszerzanie zastosowania OZE? Czy w działaniach struktur unijnych można się jeszcze dopatrzeć choćby przejawów racjonalnej oceny rzeczywistości, czy decydują już wyłącznie lobby funduszy wzbogacających się na handlu ETS i producentów OZE?

Jest nadzieja, że przy asertywnej postawie Polski i innych państw uda się powstrzymać ten samobójczy marsz. Redukcję emisji CO_2 o 90 proc. do 2040 r. popierają Dania, Hiszpania, Finlandia, Holandia, Luksemburg i Słowenia. Podobno dziewięć państw zaakceptowałoby ją m.in. pod warunkiem wprowadzenia promowanego przez Szwecję i Niemcy systemu międzynarodowych kredytów węglowych. W jego ramach państwo członkowskie mogłoby finansować m.in. farmy wiatrowe w Afryce lub Azji i zaliczać je jako własne. Reasumując – w brutalnej polityce klimatycznej UE idzie chyba jedynie o to, by biznes OZE nie przestawał być opłacalny.

REKLAMA

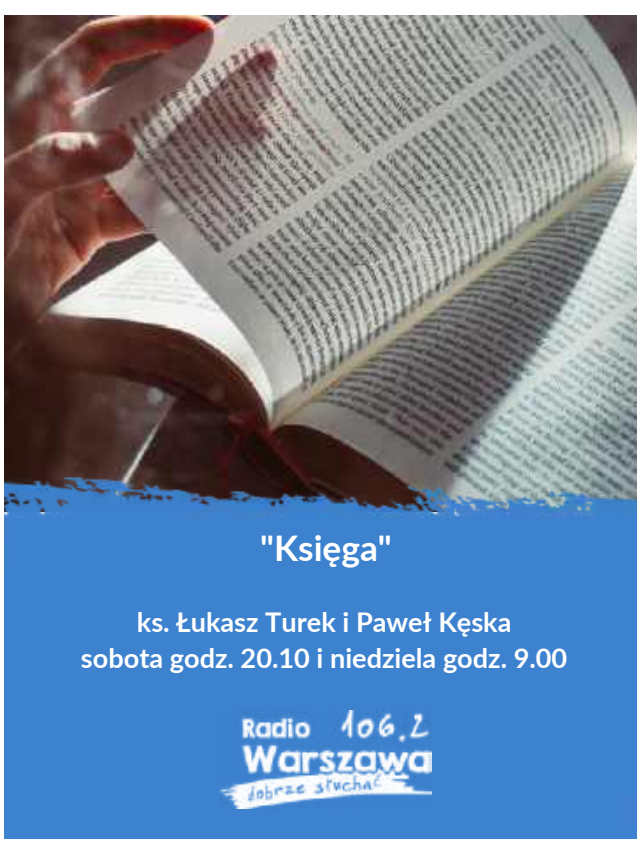

18/0525/F

eprasa.pl 2c3697ce2f

Walizka
Natalii Boruczkowskiej

sinolożki, wolontariuszki Drabiny Jakubowej, założycielki kanału YT „Chiny bez wazeliny”

Moja fascynacja Chinami zaczęła się od igrzysk w Pekinie, które były szeroko komentowane w mediach. Ku mojej wielkiej radości w naszej szkole w Krzesinach pod Poznaniem zorganizowano lekcje chińskiego, na które zaczęłam uczęszczać, a wkrótce potem wzięłam udział w dwutygodniowym wyjeździe do Chin organizowanym przez Instytut Konfucjusza. Brałam też udział w konkursie o nazwie Chiński Most, który miał łączyć Wschód i Zachód. To był duży motywator do nauki języka Państwa Środka, ponieważ wierzyłam w koncepcję szlaku zbliżającego Warszawę i Pekin. Na tej fali stworzyłam kanał na YouTube „Chiny bez wazeliny”, na którym prezentuję ciekawostki kulinarne, kulturalne i historyczne dotyczące tego kraju wielkości prawie całej Europy. Organizuję też wyjazdy kulturoznawcze i biznesowe dla osób chcących nawiązać współpracę z chińskimi firmami.

Ideę łączenia realizuję też we wspólnocie Drabina Jakubowa, budując most pomiędzy osobami z niepełnosprawnościami a wolontariuszami czy osobami szukającego głębszego sensu.

Myślę, że wolontariat może być stylem życia, by pomagać innym, dostrzegać tych słabszych i nie eliminować ich albo udawać, że ich nie ma.

CERTYFIKAT HSK, POZIOM 6

Po ośmiu latach wytężonej nauki zdobyłam najwyższy certyfikat z języka chińskiego, jaki może otrzymać obcokrajowiec. Jest to zarazem zwieńczenie mojego marzenia o biegłym posługiwaniu się chińskim oprócz angielskiego, żeby móc się dogadać „z połową świata”.

eprasa.pl 2c3697ce2f

KUBEK Z PANDĄ

Pandy były na krawędzi wyginięcia z powodu lenistwa, bo nie chciały się rozmnażać. Obecnie są elementem polityki dyplomatycznej. Rząd Chin przekazuje je do zoo tych krajów, z którymi ma dobre relacje.

DIAMENT WOLONTARIATU

Od czterech lat pracuję dla wspólnoty Drabina Jakubowa, duszpasterstwa zrzeszającego osoby o różnym stopniu sprawności i wolontariuszy. Poruszyła mnie misja „niszczenia samotności" przez wychodzenie do osób, które z powodu choroby nie mają możliwości uczestniczenia w życiu codziennym typowym dla każdego z nas. To wyróżnienie dostałam za zaangażowanie w ten szczytny projekt.

LEGITYMACJA STUDENCKA

Z pekińskiej uczelni Bejing Technology and Business University, gdzie dwa lata robiłam magisterkę z biznesu międzynarodowego. Byłam w klasie, w której połowę studentów stanowili obcokrajowcy, a zajęcia były prowadzone po chińsku i angielsku. Ciekawym doświadczeniem było obserwowanie tego miksu Wschodu z Zachodem. Znamienne jest też podejście Chin do ekonomii bazującej na eksporcie do USA, kraju, z którym mają sporne tematy.

ŚW. FAUSTYNA

Wybrałam ją na patronkę z bierzmowania, ponieważ urodziłam się 30 kwietnia, a tego dnia miesiąca Faustyna Kowalska była kanonizowana. Jako dziecko miałam astmę i będąc w stanie krytycznym, pomodliłam się do Faustyny, która zabrała moją chorobę. Stale czuję jej opiekę.

„CHINEASY" SHAOLAN HSUEH

Chineasy to metoda nauki języka Państwa Środka. Chińskie znaki to jeden z najtrudniejszych elementów tego języka. Współcześnie Chiny kontynentalne posługują ich uproszczoną wersją, ale pierwotnie wszystkie znaki graficznie odwzorowywały swoje znaczenie, do czego nawiązuje autorka książki. Znaki z czasem ewoluowały, zaczęły powstawać abstrakcyjne piktogramy, ale sięganie do ich pierwowzorów często pomaga w zrozumieniu języka.

PODUSZKA Z TYGRYSEM

Faustyna jest też patronką mojej podopiecznej Bogusi, radosnej dziewczyny w moim wieku z dziecięcym porażeniem mózgowym. Podczas jednej z zabaw okazało się, że z bajki o Kubusiu Puchatku najbardziej lubimy Tygryska. Od tej pory wręczamy sobie związane z nim prezenty.

CHIŃSKA HERBATA

Chińczycy najczęściej piją sam wrzątek. Noszą termosy i uzupełniają je wodą z dyspenserów w miejscach publicznych. Picie herbaty jest z kolei rytuałem, podczas którego trzy razy zaparza się liście. Mówi się, że herbata z pierwszego parzenia jest dla wroga, z drugiego – dla przyjaciela, a z trzeciego – najbardziej aromatyczna – dla rodziny.

QIPAO

Na początku było luźnym strojem noszonym przez kobiety z mniejszości etnicznej Mandżurów w czasach dynastii Qing. W latach 20. XX w. w Szanghaju qipao już w bardziej dopasowanym do ciała kroju stanowiło symbol nowoczesnej kobiety miejskiej. Obecnie jest to odświętny strój zakładany na chiński Nowy Rok.

Wysłuchał i zapisał Michał Korsun

Fot. Michał Korsun, prywatne archiwum Natalii Bonuczkowskiej

eprasa.pl 2c3697ce2f

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Ponury głaz – pomnik amnezji

Jan Pietrzak

Śmiem twierdzić, że nie ma skrajnej prawicy, o której natrętnie trąbią lewicowe media. Prawica raczej omija skrajności. Skrajna jest zwykle lewica, co udowodniło empirycznie poprzednie stulecie. Zarówno rosyjski komunizm, jak i niemiecki narodowy socjalizm były bezwzględnie skrajne. Te dwie pokrewne ideologie nie cofały się przed pomysłem zamordowania milionów ludzi, by udowodnić wyższość socjalizmu nad innymi ustrojami. Możemy chyba przyjąć, że odbieranie komuś życia jest skrajnością.

Odrębną sprawą jest synchronizacja lewicowości z imperializmem. Jeżeli tak się składa, że zawzięci głosiciele socjalizmu bywają brutalnymi agresorami, to można zadać pytanie, co jest sednem tej koincydencji, a co zmyłkową przykrywką. Z moim wieloletnim doświadczeniem mogę postawić tezę, że lewicowość jest jedynie propagandową fałszywką służącą werbowaniu otumanionych mas do popierania nacjonalistycznej tyranii. A kiedy nadchodzi nieunikniony krach, winę można zwalić – jak w przypadku Niemców – na narodowych socjalistów, w skrócie: nazistów. W ten sposób skrajnie zbrodnicza ideologia i praktyka nie obciążają „szlachetnego" narodu niemieckiego.

Efektem takiej kombinacji jest m.in. nikczemna narracja o „polskich obozach śmierci". Bo przecież Niemców przy tym nie było, byli jacyś naziści, w domyśle Polacy, co potwierdzają osoby z wypranymi mózgami, w rodzaju ministerki edukacji. W Warszawie na pamiątkowych tablicach Tchorka jest napisane „w tym miejscu hitlerowcy rozstrzelali Polaków". A więc naród polski został dostrzeżony podczas II wojny światowej, narodu niemieckiego nie było.

Ten schemat utajniania roli Niemców w skrajnie okrutnych momentach historii z powodzeniem zastosowano również w obecnym czasie. Kłamliwe napaści na Polskę, oszustwa na temat praworządności są dziełem Unii Europejskiej. Bruksela stała się przykrywką dla likwidacji polskich kopalni, zaorania polskiego rolnictwa, grabieży polskich lasów, choroby służby zdrowia, degradacji oświaty i kultury... Do tego dochodzi niesprawdzalna doktryna klimatyzmu-ekologizmu, bardzo kosztowna dla Polaków. Na to się nakłada presja antykatolicka. Wszystkie te działania toczą się pod szyldem lewicowo-liberalnej Brukseli. Taki kamuflaż sobie ustawili. Elegancki liberalizm z postępową nową lewicą, zaciekle zwalczają mroki średniowiecza w Polsce, zacofanie seksualne, groźne rojenia o patriotyzmie itp. Prawdziwa rola Niemiec jest ukrywana. Ale czasami, przez nieuwagę, ponura prawda się ujawnia. Ma formę głazu, który jakoby jest pomnikiem polskich ofiar II wojny światowej. Faktycznie jest pomnikiem chorobliwej amnezji i skrajnej zapaści moralnej sąsiadów zza Odry.

„Bezpieczeństwo" z kartonu

Samuel Pereira

Gdyby nie było to tak niebezpieczne, byłoby zwyczajnie śmieszne. Rząd, który w opozycji zżymał się na rzekomą „festyniarską politykę obietnic" Prawa i Sprawiedliwości, dziś sam urządza wyborczy jarmark – tyle że bez towaru. Jeszcze niedawno sarkali na „kiełbasę wyborczą", dziś sami próbują przebić PiS w liczbie obietnic, z tą różnicą, że nawet nie udają, że je realizują. W kampanii zapowiadali wszystko – od obniżenia podatków (co się nie stało) i podniesienia bezpieczeństwa w kraju i na granicy po moralne odrodzenie instytucji państwa. Słowa, słowa, makiety, a w rzeczywistości jest totalnie na odwrót.

Symbolem tej fasadowości stał się projekt Tarczy Wschód – oczko w głowie obecnej ekipy. Tyle że to oczko istnieje tylko w formie modelu. Dosłownie. Gdy unijni dyplomaci odwiedzili warszawską jednostkę wojskową, nie zobaczyli ani umocnień, ani realnych postępów, tylko... makietę, po której z dumą oprowadzał ich wiceminister Cezary Tomczyk. Bareja, gdyby żył, miałby gotowy scenariusz. A jednak to nie komedia – to polityka bezpieczeństwa Polski w wydaniu koalicji 13 grudnia.

Hipokryzja sięga tu zenitu. Ci sami ludzie, którzy w czasach rządów PiS wyśmiewali budowę zapory na granicy z Białorusią, głosowali przeciwko niej i wprowadzeniu stanu wyjątkowego oraz finansowali paszkwile na żołnierzy broniących granic, dziś opowiadają o odpowiedzialności i bezpieczeństwie. Gdy trzeba było działać, byli po drugiej stronie barykady. Teraz, widząc, że społeczeństwo popiera twarde podejście Zjednoczonej Prawicy do kwestii bezpieczeństwa, próbują kopiować ich agendę. Problem w tym, że tylko na papierze. Ich Tarcza to metafora całej tej władzy – kartonowa, malowana, udawana.

W tle tej farsy pojawia się jeszcze groźniejszy element: polityka migracyjna Unii Europejskiej, którą obecny rząd z entuzjazmem zaakceptował. Przez dekadę godziła ona w bezpieczeństwo całej Europy, a dziś za sprawą podpisanego przez rząd Donalda Tuska paktu migracyjnego uderza bezpośrednio w Polskę. Rząd, który miał „bronić granic", otwiera je szerzej niż kiedykolwiek, robiąc z naszego kraju jedną wielką wioskę potiomkinowską.

eprasa.pl 2c3697ce2f

Służba czy dwór?

Gdy na Bliskim Wschodzie znów wrze, Polacy słyszą od MSZ jedno: wracajcie do kraju, ale na własny koszt. Państwo pod rządami Tuska i Sikorskiego zachowuje się jak biuro podróży, a nie gwarant bezpieczeństwa swoich obywateli. Tylko że to nie wakacje – tam toczy się wojna. I wtedy każdy polski obywatel powinien czuć za plecami siłę państwa. Dziś czuje co najwyżej obojętność.

W MSZ Sikorskiego zamiast decyzji mamy konferencje i twitterowe popisy. A gdy trzeba działać – zapada cisza. Do czasu, aż sprawa wybuchnie medialnie. Wtedy rusza PR-owy spektakl, udawana troska, spóźniony lot i szopka medialna na pokładzie samolotu w wykonaniu wiceministra i rzecznika. Bo najważniejsze to wypaść dobrze przed kamerą. Obywatel? On ma sobie radzić sam.

Za naszych rządów państwo reagowało natychmiast. Nie pytało obywatela, czy ma kartę kredytową, tylko działało. Dziś MSZ to rozleniwiony dwór. Nawet jego pracownicy mówią o „dworze Sikorskiego". Liczą się kolacje, układy, autopromocja i kosztowny remont gabinetu ministra Sikorskiego. Jak już trzeba i nie będzie można odwołać rautu.

Dlatego tym bardziej symboliczna była jedna z pierwszych decyzji Sikorskiego po jego powrocie, by wyrzucić motto MSZ: „Być wiernym Ojczyźnie mej, Rzeczpospolitej Polskiej". Bo dziś wierność nie należy się Polsce, ale swoim ludziom i własnemu ego.

A jak już jesteśmy przy swoich ludziach. Do gmachu przy al. Szucha wraca Marcin Bosacki, człowiek kojarzony bardziej z hejterskim SokiemzBuraka niż z powagą służby dyplomatycznej, ma teraz nadzorować sprawy medialne i parlamentarne. To jakiś chory żart. W gmachu resortu dyplomacji nikt nie ma złudzeń, kim jest Bosacki. Na tym tle milczący urlop wiceministra Szejny to już niemal detal. Od czterech miesięcy odpoczywa po aferze alkoholowej, ale formalnie nadal pełni funkcję. Aktywny w internecie pokazuje, że odpoczywa w najlepsze. Tak działa państwo z tektury – nie rozwiązuje problemów, tylko je przemilcza.

Zamiast strategii – chaos. Zamiast dyplomacji – PR i imprezy. Zamiast odpowiedzialności – bezkarność. MSZ stało się karykaturą instytucji, ośrodkiem autopromocji oderwanym od rzeczywistości. I to właśnie dlatego Niemcy mogą dziś bez wstydu odsłaniać w Berlinie głaz pamięci. Kamień zamiast reparacji. I rząd Tuska jest usatysfakcjonowany.

A Polacy? Polacy nie dadzą się oszukać. Wiedzą, czym są honor i państwowość. I nie zapomną, że ich dyplomacja została oddana w ręce ludzi, którzy robią z niej kabaret. Tyle że ten kabaret kosztuje nas wpływy, bezpieczeństwo i szacunek na świecie.

Dopóki ta ekipa trwa – Polska traci.

Arkadiusz Mularczyk

W wyjątkowym świecie roślin

Z Arturem Zagajewskim, doktorem nauk rolniczych, popularyzatorem przyrody, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Fot. archiwum prywatne

Ponoć tego lata będzie pana więcej w porannym programie „Pytanie na Śniadanie"?

Artur Zagajewski: Poproszono mnie, bym częściej bywał w terenowym studiu, w plenerze. Jeżeli jest taka okazja, chętnie podzielę się swoją wiedzą na temat wyjątkowego świata roślin.

Pięknie potrafi pan mówić także o zielonych kompozycjach tworzonych zarówno w ogrodzie, jak i na balkonie czy tarasie. Dla mnie odkryciem jest w nich dekoracyjny czosnek.

Ozdobna odmiana Globemaster. To roślina nie tylko efektowna, lecz także odpowiednia na zmianę naszego klimatu. Idealna na ubogie, piaszczyste siedliska. Tolerująca nasłonecznienie. Intensywnie wybarwiona, ładnie się komponuje np. ze śnieżkiem baldaszkowym, często występującym w aranżacjach komunijnych. Śnieżek jest rośliną niewymagającą. Wyróżnia go to, że zamyka płatki na noc, a w ciągu dnia je otwiera. Naszą kompozycję z kulistego czosnku dopełniają miękkie welwetowe liście czyśćca wełnistego.

O świecie roślin opowiada pan w telewizyjnym studiu i w Ogrodzie Botanicznym PAN w warszawskim Powsinie. Gdzie jeszcze można pana spotkać?

Na Mazurach, w okolicach Olsztynka. Mam tam swoje królestwo. Staram się w nim ładnie aranżować roślinność. Kompozycję z czosnkiem przywiozłem właśnie z Mazur.

eprasa.pl 2c3697ce2f

Bunt młodych

Wielokrotnie poruszałem temat konfliktu pokoleń. Pisałem o generacji „płatków śniegu” – młodzieży niezdolnej do samodzielnego życia, wkurzającej swą naiwnością racjonalnie myślących rodziców. Przywoływałem też przykłady ludzi dorosłych tak zaczadzonych ideologią, że przy nich nawet małe dziecko jawi się oazą rozsądku (*vide*: „Król jest nagi!” z baśni Andersena).

Mentalność kolejnych pokoleń zmienia się sinusoidalnie, jak w tym przypisywanym władcy Dubaju cytacie: „Trudne czasy tworzą silnych ludzi, silni ludzie tworzą łatwe czasy, łatwe czasy tworzą słabych ludzi, słabi ludzie tworzą trudne czasy”. Potwierdza to historia Polski: wnuki uczestników insurekcji kościuszkowskiej wznieciły powstanie listopadowe. Z kolei ich wnuki wywołały zryw 1863 r., ale dopiero wnuki powstańców styczniowych wywalczyły w 1918 r. upragnioną niepodległość. Czego zatem dokonały pokolenia żyjące „pomiędzy”? Zwykle leczyły rany po hekatombach i na różne sposoby dystansowały się od romantycznych zrywów swych rodziców, uciekając np. w pozytywistyczną pracę u podstaw. Dzieci żołnierzy wyklętych wydźwignęły Polskę z ruin swą ciężką pracą, ale dopiero wnuki dojrzały do masowego buntu Solidarności, który obalił komunę.

Kolejne pokolenie – córki i synowie strajkujących – mieli już wolność i dobrobyt podane na tacy. Nie mając dziś prawdziwych problemów, implementują nam (z nudów?) unijny „postęp”: aborcję, gender, Zielony Ład i migrantów. Ale już ich latorośle, odczuwając skutki dewastacji cywilizacji łacińskiej, zagłosowały w ostatnich wyborach prezydenckich na skrajną prawicę! I w tym przebudzeniu 20–30-latków upatruję szansę na powrót do normalności.

PS W świecie zdominowanym przez kłamstwo i hejt wciąż trzeba przypominać prawdziwe znaczenie najważniejszych dla Polaków słów. Słów kluczowych, takich jak wolność, ojczyzna, patriotyzm, miłość, rodzina... Zapraszam na premierę mojego wideobloga na YouTube pt. „Ostatni taki Zayazd”.

Lech Makowiecki

POWOLNE MEDIA WEDŁUG MICHAŁA KORSUNA

SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI, DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NALASKOWSKI, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PIOTR SŁABEK, ROBERT TEKIELI, BRONISŁAW WILDSTEIN, MAŁGORZATA WOŁCZYK, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.SIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA, W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT.: KAROL MAKURAT/REPORTER, BERNO/SIPA/EAST NEWS, ANDRZEJ WIKTOR, RYSUNEK MICHAŁ KORSUN, SHUTTERSTOCK/ TIMUR MALAZONIA, AFOTOSTOCK

Zamów prenumeratę Sieci! Od 2 stycznia 2025 r. według nowego cennika

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
Krajowa	118 zł	207 zł	375 zł
Zagraniczna	296 zł	566 zł	1099 zł

**Dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl 2c3697ce2f

Obozu władzy krajobraz po klęsce

Donaldowi Tuskowi nie opłaca się trwać u władzy aż do przegranych wyborów za ponad dwa lata, bo na całe następne pokolenie stanie się symbolem słabości i porażki. Lepiej mu znaleźć pretekst w jakimś ostrym konflikcie z prezydentem Karolem Nawrockim i doprowadzić do przedterminowych wyborów parlamentarnych

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 2c3697ce2f

JAN ROKITA

Jakieś pół roku temu na katolickim portalu PCh24 dyskutowałem ze znakomitym kolegą po fachu, publicystą „Polityki" Rafałem Kalukinem. Było to krótko po tym, jak premier Donald Tusk kilkakrotnie „zrezygnował" ze stosowania kilku niewygodnych dlań, acz obowiązujących ustaw. A na posiedzeniu Rady Ministrów właśnie miała stawać sławetna „uchwała 162", zawieszająca z woli rządu kilkanaście kluczowych norm konstytucji kwietniowej z 1997 r.

W tamtej dyskusji mówiłem więc otwarcie, że mamy w Polsce do czynienia ze zjawiskiem, jakiego od odzyskania niepodległości w 1989 r. jeszcze nie widzieliśmy: z faktycznym, choć ograniczonym co do zakresu stanem wyjątkowym, którego ze strachu albo przez grzeczność nikt otwarcie nie nazywa w ten sposób.

Redaktor Kalukin, co było dla mnie pozytywnym zaskoczeniem, zgadzał się z moją tezą. Dodawał do niej tylko jedno istotne zastrzeżenie: że to jest *sui generis* tymczasowy stan wyjątkowy, który skończy się za pół roku, 1 czerwca 2025 r., wraz z wyborem nowego prezydenta.

Przywołuję teraz tamtą dyskusję z redaktorem Kalukinem z co najmniej dwóch powodów. *Primo* – by potwierdzić własną optymistyczną wiarę, iż rozsądny ogląd realiów dzisiejszej Polski ciągle zdarza się po obu stronach zawziętego konfliktu toczonego nie tylko przez polityków, lecz także przez pro- i antyrządowe media. *Secundo* – aby udobitnić to, jak kapitalną rolę w myśleniu ludzi centrolewicowego obozu władzy w ciągu ostatniego półtorarocza pełniła owa magiczna data, gdy miała zostać wyłoniona nowa głowa państwa.

SYNDROM MYŚLENIA MAGICZNEGO

Premier Tusk publicznie odliczał pozostałe dni kadencji Andrzeja Dudy, aby w ten sposób okazać lekceważenie dla każdego kroku odchodzącego prezydenta, dodając przy tym z właściwym sobie sarkazmem wykrzyknik: „Damy radę" albo: „Wytrzymamy". Sam wielekroć słyszałem też różnych polityków koalicji rządowej, tych ważniejszych, a także tych z tylnych ław sejmowych, którzy jak mantrę usprawiedliwiającą każde zaniedbanie, słabość albo bezczynność rządu Tuska powtarzali: „Tylko skończy się Duda i wtedy od razu wszystko pójdzie naprzód".

> O ile do 1 czerwca Tusk uchodził w Brukseli, Berlinie czy Paryżu za „oficera wielkich nadziei", który okiełznał złowrogą prawicę, o tyle teraz zaczął już być tam uważany za tzw. zranioną kaczkę

Rzecz w tym, że w wyobraźni ludzi obozu Donalda Tuska zmiana prezydenta, nieuchronna w rezultacie kończącej się drugiej kadencji Andrzeja Dudy, urosła nieomal do rangi zdarzenia magicznego. Oto 1 czerwca dla Platformy Obywatelskiej i jej akolitów po półtorarocznym doświadczeniu przejścia przez pustynię miał zagrać złoty róg rozwiązujący wszelkie dotychczasowe kłopoty i problemy.

Był to oczywiście mit, który często politycy wytwarzają, by usprawiedliwić własną słabość.

1 czerwca bezideowy i pozbawiony realnego planu rządzenia gabinet Tuska wcale nie stałby się lepszym rządem, jeśli w wyborach to Rafał Trzaskowski minimalnie pokonałby Karola Nawrockiego. Przeciwnie – po jakimś czasie jego programowa pustka obnażyłaby się jeszcze wyraźniej, skoro nie byłoby już nikogo, na kogo można by zrzucić winę za własną nieporadność. Ale przynajmniej przez następny rok można by było zająć polską publiczność akcjami wyrzucania sędziów mianowanych przez Dudę, zdobywaniem Trybunału Konstytucyjnego czy jakąś sprowokowaną debatą na temat permisywnej ustawy aborcyjnej. Realne problemy kraju i tak by wróciły, tyle że ich powrót można by nieco odłożyć w czasie. A to – jak się zdaje – i tak byłby szczyt minimalistycznych marzeń premiera Tuska.

RACHUNKI KRZYWD

Wygrana Karola Nawrockiego zakwestionowała jednak taki scenariusz, a pod ludźmi Platformy, czekającymi dźwięku wyimaginowanego złotego rogu, jakby rozstąpiła się ziemia. Z zaplecza premiera można było usłyszeć odgłosy załamania, rozpaczy, rozstroju nerwowego.

Nagle przyszło zrozumienie, że wrogi politycznie prezydent jest przeznaczeniem rządu Tuska aż do ostatniego dnia jego trwania, czyli najpóźniej do jesieni 2027 r. A po tych wszystkich szykanach i represjach, które spadały na Prawo i Sprawiedliwość od jesieni 2023 r., nie sposób liczyć na nic innego, jak właśnie na polityczną wrogość nowego, pisowskiego przecież prezydenta, który ma do wyrównania spore rachunki krzywd. Także osobistych, skoro przed wyborami sam premier podjął się brudnej akcji zrobienia z walczącego o prezydenturę Nawrockiego bandziora i alfonsa.

Nowego prezydenta będzie pchać w tę stronę nie tylko jego własny, bojowy temperament polityczny i uzasadnione poczucie wyrządzonej mu krzywdy, lecz przede wszystkim naturalne oczekiwanie pisowskich wyborców i pisowskiego aktywu.

W Małopolsce i na Podkarpaciu w licznych pogawędkach z wyborcami prawicy (innych ciężko tu spotkać) mogłem się dobitnie przekonać, że ich wspólnym ambicjonalnym pragnieniem jest wyeliminowanie Tuska z polskiej polityki, gdyż uważają obecnego premiera za główne źródło zła. Ta realnie istniejąca emocja społeczna nie pozostanie zapewne bez wpływu na postawę prezydenta. A co bardziej przytomni działacze Platformy są tego świadomi.

eprasa.pl 2c3697ce2f

Tymczasem sam Tusk nie ma ani dalekosiężnej strategii, ani przemyślanej taktyki działania w takich nieprzyjaznych dla siebie okolicznościach.

PRZEJĘCIE AGENDY PiS

Sejmowe przemówienie premiera z 11 czerwca wygłoszone przy okazji wotum zaufania powszechnie zostało uznane za koronne świadectwo ideowej i politycznej pustki, choć prawdę mówiąc, nie do końca takie było. Jeśli pominąć obsesyjne słowne ataki i groźby pod adresem PiS, w tym sugestię procesu i aresztowania Mateusza Morawieckiego, to cała reszta tego dziwnego tekstu została poświęcona wielkiej apologii powszechnie znanej w Polsce wieloletniej agendy państwowej PiS.

Słuchając Tuska, naliczyłem aż 10 punktów owej agendy: zbrojenia i granica, transfery socjalne, wielkie „Tak dla Rozwoju" łącznie z CPK i elektrowniami atomowymi, luka VAT-owska, obrona rolników, repolonizacja przemysłu, konfrontacja z Berlinem i Paryżem o unijne finanse, ekshumacje wołyńskie i polityka pamięci, w tym muzeum wiktorii nad bolszewikami w 1920 r.

Wyglądało to trochę tak, jakby nowy pomysł Tuska na zapełnienie czymkolwiek reszty czasu danego jego rządowi miał polegać na przejęciu politycznego planu PiS w sytuacji, w której brakuje jakiejkolwiek spójnej alternatywnej koncepcji. Przyznam, że wyglądało to dziwnie, choć mało przekonująco. I to mimo że Tusk nawet się nie zająknął na temat sztandarowych projektów lewicy, z aborcją i gejami na czele.

Całkiem jednak możliwe, że przemówienie sejmowe premiera to coś nieco więcej niźli propagandowy greps do jednorazowego wykorzystania. Realia poszczególnych ministerstw są takie, że jedyny kierunek, w którym państwo istotnie zostało popchnięte, to konserwatywny kierunek gabinetu Mateusza Morawieckiego. W ciągu ostatniego półtorarocza resortom nakazano dokonywać ustawicznych przeglądów, korekt i napraw kierunków wytyczonych pod rządami Morawieckiego, czego najlepszym przykładem był kompletny miszmasz, który powstał w programach wielkich inwestycji publicznych.

Z tego miszmaszu nic lepszego się nie urodziło, więc Tusk, znany z przewrotnych pomysłów, może próbować stać się realnym kontynuatorem Morawieckiego, jednocześnie grożąc byłemu premierowi posłaniem go pod byle pretekstem do kryminału.

> Znany z przewrotnych pomysłów Tusk może próbować stać się realnym kontynuatorem polityki Morawieckiego, jednocześnie grożąc byłemu premierowi posłaniem go do kryminału

Szef rządu wydaje się jednak świadomy, że represje względem PiS nie będą dla niego ratunkiem. Po półtora roku od odebrania władzy Prawu i Sprawiedliwości represje są po prostu spóźnione i mogą nawet wywołać efekt rosnącej sympatii dla prześladowanych. Dziś Jarosława Kaczyńskiego znów otacza aura sukcesu, a kolejne badania opinii, pokazujące duże ryzyko osamotnienia mniejszościowej Platformy w przyszłym Sejmie, tylko podsycają tę atmosferę.

Jeśli więc słabemu i zepchniętemu do defensywy PiS Tusk nie potrafił zadać decydującego ciosu, to tym bardziej nie zada go w nowych, o wiele bardziej niekorzystnych dla siebie okolicznościach.

W polityczną skuteczność represji wierzy jeszcze Roman Giertych, ale Tusk wypuszcza go już teraz raczej tylko w roli straszaka niźli oberprokuratora, który ma moc posyłania polityków opozycji za kraty.

ZRANIONA KACZKA

Co więcej, Tusk wie, że musi go dopaść jeszcze jedna okoliczność, która może się dlań okazać gwoździem do trumny.

Komisja Europejska pod kierownictwem Ursuli von der Leyen jest dziś znienawidzona w europejskich stolicach, może najbardziej w Paryżu, gdzie już otwarcie rzuca się na nią gromy, ale właśnie dlatego może okazywać rosnącą bezwzględność w egzekwowaniu unijnych norm dotyczących długu publicznego i emisji gazów. W roku budżetowym 2026 Tusk musi zacząć restrykcje budżetowe, jeśli nie chce się narazić na unijne sankcje. A z kolei w potencjalnie wyborczym 2027 r. będzie musiał wprowadzić nowe unijne podatki węglowe i nowy system handlu emisjami gazów cieplarnianych (ETS2), brutalnie uderzające we właścicieli domów i mieszkań oraz w użytkowników transportu, czyli biznes.

Wygląda na to, że skala tego uderzenia może się okazać dużo większa, niźli ktokolwiek mógł się spodziewać, a w jej efekcie nastąpi pierwsza od wielu lat odczuwalna i dość powszechna obniżka poziomu życia. Tymczasem Polacy nawykli do dobrej albo czasami nawet bardzo dobrej koniunktury i nieustannych, szybszych lub wolniejszych, wzrostów płac – zarówno za czasów Beaty Szydło, Morawieckiego, jak i w pierwszych dwóch latach Tuska.

Załamanie się tego trendu może tylko dobić zranionego już premiera. O ile do 1 czerwca uchodził w Brukseli, Berlinie czy Paryżu za „oficera wielkich nadziei", który okiełznał złowrogą prawicę, więc Europa winna się na nim wzorować, o tyle teraz zaczął być tam uważany za tzw. zranioną kaczkę. Mało prawdopodobne, aby ktoś w Europie chciał mu pomóc, tak jak nagminnie działo się to do tej pory. A już Komisja von der Leyen, poirytowana zwycięstwem Nawrockiego, z pewnością nie da przyzwolenia na jakąś taryfę ulgową dla Polski.

Przy takich perspektywach Tuskowi nie opłaca się trwać u władzy aż do sromotnie przegranych wyborów za ponad dwa lata, bo na całe następne pokolenie stanie się symbolem słabości i porażki. Lepiej mu znaleźć pretekst w jakimś ostrym konflikcie z Nawrockim i doprowadzić do przedterminowych wyborów, które w najgorszym dla każdej władzy czasie zmuszą Kaczyńskiego do rządzenia Polską, i to na mocnej uwięzi Krzysztofa Bosaka, Sławomira Mentzena, a być może nawet Grzegorza Brauna.

eprasa.pl 2c3697ce2f

Spisek renegatów

STANISŁAW JANECKI

Donald Tusk może stracić władzę na rzecz Radosława Sikorskiego, odgrywającego rolę tego, który ratuje rządzący układ

eprasa.pl 2c3697ce2f

W czerwcu 2025 r., po porażce Rafała Trzaskowskiego w wyborach na prezydenta RP, Donald Tusk jest słaby. Może najsłabszy od 2005 r., gdy sam przegrał z Lechem Kaczyńskim wybory prezydenckie. Na tyle słaby, że pojawiły się wezwania (np. Jacka Żakowskiego i Michała Kamińskiego), żeby odszedł ze stanowiska premiera. W tej sytuacji szansę zwietrzyli „trzej przyjaciele z boiska", czyli Radosław Sikorski, Roman Giertych i Michał Kamiński. Plotki głoszą, że łączy ich też organizacja Opus Dei (prałatura personalna). Każdy z nich nosi w sobie rachunek krzywd, które chcieliby sobie zrekompensować.

Roman Giertych – utratę stanowiska wicepremiera (13 sierpnia 2007 r.) w rządzie Jarosława Kaczyńskiego po tzw. aferze gruntowej. Radosław Sikorski – usunięcie ze stanowiska marszałka Sejmu (23 czerwca 2015 r.) w wyniku afery taśmowej z lat 2014–2015 oraz ogranie go przez Donalda Tuska w sprawie stanowiska wysokiego przedstawiciela UE ds. zagranicznych (funkcję tę objęła Federica Mogherini). Michał Kamiński – z powodu wykluczenia go z Platformy Obywatelskiej i Klubu Parlamentarnego tej partii (w lipcu 2016 r.). Już nawet w PO krążą poważne podejrzenia, że Sikorski, Giertych i Kamiński chcą obalić premiera Tuska i wstawić w jego miejsce Sikorskiego.

Elementem spisku mają być nagrania, w których Giertych rozmawia m.in. z Donaldem Tuskiem i jego „przybocznym" Pawłem Grasiem. W dodatku o ich autorstwo, podobnie jak o dokonanie przecieku, podejrzewany jest sam Roman Giertych. On twierdzi, że jedno z nagrań pochodzi z jego „spotkania przedwyborczego w tej kampanii zorganizowanego na platformach YouTube i X z internautami". Jakkolwiek jest w sprawie autorstwa nagrań i przecieków, zwolennicy wersji, że chodzi o spisek (politycy obozu rządzącego, dziennikarze), podkreślają, iż moment został precyzyjnie wybrany: trwa zmasowana krytyka Tuska za wybory prezydenckie i obecnie jest on najbardziej podatny na uderzenie. Tym bardziej z własnego zaplecza.

BRUTUS ZAWSZE BLISKO CEZARA

Jeśli faktycznie chodzi o spisek przeciw Tuskowi, gra toczy się o to, czy szef rządu się przestraszy i prawidłowo odczyta komunikat, że nagrań może być więcej i są o wiele bardziej obciążające od tych ujawnionych. Jeśli chodzi o wymianę premiera, to racjonalne byłoby nie tyle wywalanie wszystkiego na stół i czekanie na efekt, ile stopniowanie straszenia tym, że nagrań jest więcej, a to, co opublikowano, stanowi tylko przedsmak tego, co może się ukazać, gdyby wydarzenia nie poszły po myśli tych, którzy żonglują nagraniami.

Z takimi nagraniami jest jak z górą lodową: niby ważne jest to, co wystaje z wody, ale najważniejsze może być to, co schowane, nieodgadnione i nie wiadomo, jak niebezpieczne. Choć gdyby nie było niebezpieczne, mielibyśmy do czynienia z bardzo pewnym siebie blefującym. Zgodnie z wersją o spisku, „na wabia" ujawniono te fragmenty, gdzie pojawia się określenie „zjeby" na wyborców ze wschodniej Wielkopolski czy Radomia. Żeby ci, na których nagrania mają działać i popychać ich w określonym kierunku, potraktowali je poważnie. A to, co obecnie pozornie wydaje się mało istotne, było tylko watą wypełniającą czas oczekiwania na coś, co faktycznie ma moc.

Roman Giertych był i jest pełnomocnikiem Donalda Tuska. Reprezentował go w licznych sprawach prawnych, m.in. przed prokuraturą, komisją śledczą ds. Amber Gold, komisją ds. VAT oraz o naruszenie dóbr osobistych (np. przeciwko Patrykowi Jakiemu). Był także adwokatem członków rodziny Tuska, w tym Michała i Katarzyny Tusków, w procesach przeciwko wydawcy „Faktu". Ta bliska współpraca wskazuje na zaufanie szefa rządu, ale może też oznaczać posiadanie „wrażliwej" wiedzy o nim.

Nagrania z 2019 r. ujawnione przez TV Republika pokazują Giertycha i Tuska jako wyjątkowo „zaprzyjaźnionych" i zależnych od siebie. I zgodnych np. w krytyce byłego przewodniczącego Platformy Grzegorza Schetyny. Tylko że może to być pułapka mająca ukryć prawdziwe intencje i uśpić czujność. Podobnie jak to, że w 2023 r. Giertych startował z list KO w wyborach parlamentarnych „na prośbę" Tuska, a w 2024 r. przewodniczący PO mianował go wiceprzewodniczącym klubu KO ds. rozliczeń PiS. Problemem pozostaje to, że Brutus zawsze jest bliski Cezarowi, na którego dybie. Przecież rzymski Cezar darzył Brutusa sympatią i zaufaniem, traktując go niemal jak syna. Wspierał jego karierę, darując mu życie po wojnie domowej i mianując go na wysokie stanowiska.

Sikorski także jest blisko Tuska, choć ich relacje są podszyte nieufnością od czasu, gdy obecny szef MSZ nie dostał w 2014 r. żadnego ważnego stanowiska w strukturach Unii Europejskiej. Poza tym Tusk dawał swoim współpracownikom do zrozumienia, że jeśli Giertych i Sikorski działają w Opus Dei, to trzeba im patrzeć na ręce z wyjątkową uwagą. Raczej nieprzypadkowo Sławomir Nitras w rozmowie w Kanale Zero stwierdził, że słabszy niż oczekiwano wynik Trzaskowskiego wynikał z „brudnej kampanii" prowadzonej przez Opus Dei, które określił jako „organizację międzynarodową, finansowaną całkowicie z zagranicy". Jego słowa sugerowały, że Opus Dei prowadziło intensywną kampanię przeciwko kandydatowi Koalicji Obywatelskiej, choć nie przedstawił na to żadnych dowodów.

Fot. Andrzej Wiktor x3

eprasa.pl 2c3697ce2f

ZAMACH?

W 2021 r. i 2022 r. Roman Giertych twierdził publicznie, że był inwigilowany za pomocą systemu Pegasus, a głównym celem tej operacji był Donald Tusk. W wystąpieniach w Senacie i Parlamencie Europejskim podkreślał, że inwigilacja jego telefonu miała na celu uzyskanie informacji o planach Tuska, szczególnie w kontekście jego ewentualnego startu w wyborach prezydenckich w 2020 r. Oznacza to, że Giertych odgrywał rolę sojusznika Tuska, ale mogła to być tylko „zmyłka". Podobnie jak wpis na platformie X, jakoby nagrania z 2019 r. były nielegalnie przechwycone przez Pegasusa i że „wyniesienie kopii rozmów, ich przekazanie do mediów oraz publikacja to bardzo poważne przestępstwa".

Sprytnym posunięciem Giertycha może być to, że w czerwcu 2025 r., odpowiadając na spekulacje o spisku przeciwko Tuskowi, napisał na platformie X: „Współpracuję z Donaldem Tuskiem już prawie 20 lat. Podobnie R[adosław] Sikorski. I mielibyśmy zamach na niego robić? Nie wszystkie banialuki są warte powtarzania". Tylko że takie odcinanie się należy do klasyki dezinformacji. Nikt, kto przygotowuje spisek, nie mówi o tym otwarcie, a nawet wskazuje na wyjątkowe więzi łączące go z „ofiarą".

Zresztą osoby blisko współpracujące z Tuskiem wskazują, że jego zaufanie do Giertycha i Sikorskiego to tylko pozory, a *de facto* szef rządu podejrzewa ich o złe intencje wobec siebie, szczególnie obecnego szefa MSZ. Sikorski jako jeden z prominentnych polityków PO w przeszłości bywał pomijany w kluczowych decyzjach partyjnych. W 2023 r. w rozmowie z Radiem ZET wyraził frustrację, że jego doświadczenie w polityce międzynarodowej nie jest w pełni wykorzystywane przez Tuska, szczególnie w kontekście polityki zagranicznej rządu. Stwierdził: „Mam doświadczenie, które mogłoby służyć Polsce, ale decyzje podejmuje przewodniczący". Obeznani w polskiej polityce wiedzą, że Tusk zawsze najgorzej traktował „przyjaciół", o czym mówili i pisali Jan Rokita, Paweł Piskorski czy Janusz Palikot. Nie mówi o tym oficjalnie Grzegorz Schetyna, ale właściwie wszyscy jako tako poinformowani wiedzą, że ich przyjaźń, szczególnie przed dymisją Schetyny w 2009 r., to kompletna fikcja i hucpa. Pod tym względem Tusk nigdy się nie zmienił, a Giertych i Sikorski dobrze o tym wiedzą. Dlatego sami odgrywają rolę przyjaciół „kierownika".

Jedynym „zagończykiem" otwarcie występującym przeciwko Tuskowi jest senator Michał Kamiński. To on ostro skrytykował premiera w Polsat News (3 czerwca 2025 r.), domagając się jego dymisji i sugerując, że Radosław Sikorski byłby lepszym kandydatem na prezydenta niż Rafał Trzaskowski. Kamiński zarzucał Tuskowi błędy w prowadzeniu kampanii wyborczej oraz brak skuteczności w polityce międzynarodowej, szczególnie w relacjach z prezydentem USA Donaldem Trumpem. Stwierdził m.in.: „Stało się wszystko, by Tusk przestał być premierem. Czy ja mam zaufanie do kogoś, kto losy mojej koalicji powierzył w ręce ludzi, którzy w noc wyborczą tańczyli na własnym pogrzebie? Nie". Albo: „Człowiek, który nie wierzył, że Nawrocki wygra, [zostanie] prezydentem i nawyzywał go od alfonsów. Nie wierzył, że Trump wygra, [zostanie] prezydentem i nawyzywał go od agentów KGB, jest w stanie prowadzić skuteczną polską politykę. [...] Nie chcę takiego premiera". Choć Kamiński nie wskazał konkretnego następcy, jego wypowiedzi były interpretowane jako wsparcie dla Radosława Sikorskiego. Może on więcej, gdyż korzysta ze statusu politycznego rozrabiaki, co pozwala mu otwarcie wyrażać ostrą krytykę i nie kamuflować jej gładkimi słowami.

> Jedynym „zagończykiem" otwarcie występującym przeciwko Tuskowi jest senator Michał Kamiński. To on ostro skrytykował premiera w Polsat News, domagając się jego dymisji i sugerując, że Radosław Sikorski byłby lepszym kandydatem na prezydenta niż Rafał Trzaskowski

Aby zachować pozory, wicemarszałek Sejmu Piotr Zgorzelski z PSL odciął się od wypowiedzi Kamińskiego, podkreślając, że nie odzwierciedlają one stanowiska koalicji. Z kolei Anna Maria Żukowska z Lewicy zasugerowała, że to Kamiński powinien ustąpić, a nie Tusk. Ale ona raczej zakłada, że trójcy Sikorski–Giertych–Kamiński właściwie w niczym nie można wierzyć.

WŁADZA KOSZTEM TUSKA

W ujawnionych nagraniach Giertych wciąga Tuska w ocenę wyborców ze wschodniej Wielkopolski czy Radomia i ten połyka przynętę: na „same shity" Giertycha odpowiada „zjebami". Nie zmieni to opinii o Giertychu, natomiast dla Tuska jako premiera stanowi duży kłopot. Podobnie jak kosztowna licytacja między rozmówcami, kto jest bardziej Niemcem, mimo że chodziło o żart. Ale w polityce żarty też mają swoją cenę. Dlatego gdy Roman Imielski z „Gazety Wyborczej" twierdzi, że to nie wzbudzi reakcji „szerszego elektoratu", zaklina rzeczywistość.

Pewne jest to, że po przegranych przez Rafała Trzaskowskiego wyborach prezydenckich Donald Tusk jest pod wyjątkową presją, a nagrania są i będą wykorzystane do dalszego podważania jego autorytetu. Obecny premier nie odniósł się bezpośrednio do nowych nagrań, ale musi pamiętać, że te ujawnione w latach 2014–2015 kosztowały jego partię utratę władzy. W tym kontekście ewentualny spisek z udziałem Sikorskiego, Giertycha i Kamińskiego może być przedstawiany (w odpowiednim momencie) jako pozytywne działanie dla układu rządzącego, ratujące przed utratą władzy, a okupione „tylko" pozbyciem się „kierownika". I spiskowcy mogą mówić, że ta cena nie jest wygórowana.

Reklama | 03/0425/ZAL

eprasa.pl 2c3697ce2f

SALTUS | 30 lat
UBEZPIECZENIA

Dbamy o to, co się liczy.

Ubezpieczenie mieszkań i domów jednorodzinnych SALTUS – Mój DOM

Szeroki zakres ochrony, który możesz dopasować do swoich potrzeb.

Oferta dostępna w placówkach Spółdzielczych Kas oraz Banków Spółdzielczych

Informacja o charakterze reklamowym i marketingowym

Prezydent zagoni rząd do roboty

O kulisach kampanii i planowaniu pierwszych tygodni prezydentury z *Pawłem Szefernakerem*, szefem sztabu Karola Nawrockiego i przyszłym szefem jego gabinetu, rozmawia Marek Pyza

To była pana najtrudniejsza kampania?

Paweł Szefernaker: To była pierwsza kampania, którą miałem możliwość i zaszczyt kierować. Wcześniej byłem w sztabach, ale nie odczuwałem presji, która towarzyszy prowadzeniu kampanii. Na szczęście miałem wokół siebie zespół ludzi świetnie współpracujących i wierzących w zwycięstwo. To bardzo pomagało w codziennym funkcjonowaniu.

A były momenty, w których pomyślał pan: „Ech, tego nie przeskoczymy, to zbyt poważny problem"?

To była ciężka kampania, bo od pierwszego dnia Karola Nawrockiego permanentnie atakowano. Na początku mieliśmy ten paszkwil, nazywany w mediach raportem, później pojawiały się kolejne informacje, często na podstawie jakichś anonimów. Trzeba było reagować na to błyskawicznie. Było kilka trudnych chwil, ale każdy kryzys jest też szansą na wyjście do przodu. Ta kampania pokazała, że można osiągnąć sukces, jeżeli przygotuje się dobrą strategię, ma się świetnego kandydata i ekipę, która go mocno wspiera. Mieliśmy też ruch społeczny, który w kampanii zaowocował m.in. zbiórką ponad 23 mln zł. Wszystkim, którzy się zaangażowali, bardzo za to dziękuję.

To wszystko brzmi cukierkowo. Nie wierzę, że nie było żadnych raf. W co najmniej dwóch sprawach kandydat sztabowi nie pomógł: gdy nie poinformował was o tym, jak bardzo jest uzależniony od nikotyny oraz gdy zataił, że nie wie, gdzie znajduje się pan Jerzy, od którego kupił kawalerkę. Nie pomyślał pan wówczas: „O czym jeszcze nie wiemy"?

Karola Nawrockiego próbowano zaatakować wieloma różnymi tematami, które były nieprawdziwe. Byliśmy przygotowani na jeszcze więcej, mieliśmy sygnały, że coś się kroi. Ale być może media głównego nurtu uznały, że to będą już prowokacje zbyt grubymi nićmi szyte.

eprasa.pl 2c3697ce2f

Czyli woreczek nikotynowy aplikowany w czasie debaty nie był dla was zaskoczeniem?

Wiedzieliśmy, iż Karol Nawrocki na co dzień korzysta ze snusów, robił to od początku kampanii. Jednak sytuacja z debaty telewizyjnej była wyjątkowa. Uwypuklono ten detal, by przykuł uwagę opinii publicznej i zminimalizował zdecydowane zwycięstwo nad Rafałem Trzaskowskim. Przyjęliśmy zasadę, że następnego dnia po debatach kandydat idzie na duży wywiad, aby wzmocnić efekt telewizyjnego pojedynku. W tym przypadku był umówiony w RMF FM z Krzysztofem Ziemcem i miał możliwość odnieść się do sprawy snusa, zadeklarować przeprowadzenie testów zdrowotnych, a przede wszystkim wezwać Trzaskowskiego, żeby i on zrobił badania na obecność różnych substancji w organizmie.

Opowie pan o tym, w jaki sposób sztab prześwietla kandydata na samym początku?

Zanim PiS zdecydowało, kogo poprze, odbywały się różne spotkania specjalnego zespołu, nie byłem jego członkiem. Gdy było już wiadomo, kto będzie naszym kandydatem i kto pokieruje kampanią, wielokrotnie rozmawialiśmy z Karolem Nawrockim o tym, czego o nim nie wiemy, jakie materiały mogą o nim powstać. Wszystko wyjaśnialiśmy na bieżąco, przewidywaliśmy, jak przeciwnik może uderzyć.

Czyli funkcjonowało to na zasadzie zaufania. Musiał pan brać za dobrą monetę to, co słyszał od kandydata, bo nie było jak tego zweryfikować.

Bez zaufania daleko się nie zajedzie. Ale opieraliśmy się nie tylko na nim. Jeżeli Karol Nawrocki w ciągu ostatnich 16 lat za różnych rządów (Donalda Tuska, Ewy Kopacz i później Zjednoczonej Prawicy) uzyskiwał od służb poświadczenie bezpieczeństwa, był obiektywny miernik tego, że wszystkie te sprawy zawsze były rozstrzygane na jego korzyść.

Zapytam więc o szczegół: tatuaże. Powiedział pan Karolowi Nawrockiemu: „Pokaż, co tam masz wymalowane"?

Powiem tak: nie wszystkie działania na zapleczu należy omawiać publicznie. Ale nie był to nieznany nam temat.

Teraz pewnie będzie pan bardziej wylewny, bo dotkniemy pana pasji. Czego szef sztabu może się nauczyć w kampanii od menedżerów piłkarskich?

Analogii między światem sportu a polityki jest więcej, niż się wydaje. W kampanii wyborczej też trzeba najpierw stworzyć dobry, profesjonalny zespół, który uwierzy w zwycięstwo i będzie o nie walczył. Musi skupiać osoby o różnych talentach, grające na wspólny sukces. Kolejna kwestia to relacje z szefostwem. Każdy menedżer musi mieć zaufanie właściciela klubu, w polityce – kierownictwa formacji. Nieustannie czułem wsparcie zarówno Jarosława Kaczyńskiego, jak i innych członków władz PiS, w szczególności Joachima Brudzińskiego, na którego pomoc zawsze mogę liczyć. Idźmy dalej: odporność. Ani polityka, ani sport nie są dziedzinami dla ludzi o słabych nerwach. W kampanii jest szalenie ważne, by umieć je utrzymać na wodzy. Sztab codziennie jest poddawany rygorystycznym recenzjom swoich działań. Pojawiające się opinie trzeba brać pod uwagę, lecz nie wolno stać się ich zakładnikiem. Tak samo bywa w sporcie – po każdym meczu menedżerowie czy sportowcy są poddawani drobiazgowej ocenie.

Jest pan w stanie wskazać jakiś konkret, którego nauczył się od Ancelottiego, Fergusona czy Guardioli?

Nigdy nie sympatyzowałem z Realem Madryt, wręcz przeciwnie, ale dużo dała mi lektura książki Carla Ancelottiego „Dyskretne przywództwo". Już jej tytuł wskazuje, jak należy myśleć o tej funkcji. Zarówno w sporcie, jak i w polityce głównym zadaniem, jakie się sobie stawia, powinno być osiągnięcie dobrego wyniku, nic innego. Weźmy np. wywiady – politycy i sportowcy uwielbiają ich udzielać. Ale skupianie się na tym, by błysnąć w rozmowie z dziennikarzem, może nas odciągnąć od głównego celu. Dlatego przez kilka tygodni po objęciu funkcji szefa sztabu odmawiałem wywiadów. Uznałem, że pierwszy miesiąc to czas na budowanie zespołu, a nie chodzenie po mediach. Niektórym kolegom ciężko było to zrozumieć. Ale tych kilkadziesiąt odmów dało czas na przygotowanie dobrego gruntu na kolejne etapy kampanii.

To porozmawiajmy o zarządzaniu zasobami ludzkimi. Joanna Mucha z Polski 2050 utyskiwała, że Tusk przejął kampanię Trzaskowskiego, podczas gdy wy mądrze „ukryliście" prezesa Kaczyńskiego. Tak było?

Nie zgadzam się z tą tezą. Zacznijmy od tego, o czym już mówiłem – że zaufanie prezesa Jarosława Kaczyńskiego do działań sztabu, w szczególności moich oraz Piotra Milowańskiego, sekretarza generalnego PiS, było kluczowe. Szalenie nam pomogło, bo dzięki niemu mogliśmy się trzymać przyjętej strategii i nie zajmować tym, co się mówiło dookoła. Od początku pojawiały się niepochlebne komentarze, ale ta krytyka nie zachwiała naszym planem. Zresztą to Jarosław Kaczyński go tworzył i się w niego wpisywał. W oczywisty sposób było potrzebne jego wsparcie także w terenie, więc prezes odbywał spotkania z wyborcami tak jak w innych kampaniach.

Czy dobrze rozumiem, że wypełniał przede wszystkim rolę mobilizatora własnych szeregów?

Przede wszystkim prezes Kaczyński jest architektem tego sukcesu. Gdy już klamka zapadła co do kandydata, trzeba było zrobić wszystko, żeby skonsolidować nie tylko Prawo i Sprawiedliwość, lecz także różne ruchy prawicowe, patriotyczne. I to się udało – wszystkie środowiska wokół PiS zaangażowały się w kampanię Karola Nawrockiego. To było możliwe dzięki autorytetowi i szacunkowi, jakim jest darzony Jarosław Kaczyński. Trzeba też pamiętać, że Karol Nawrocki był idealnym kandydatem, który wychodził poza pewną bańkę tradycyjnego elektoratu prawicy. Te dwa czynniki pozwoliły zmobilizować wszystkich, których potrzebowaliśmy, i osiągnąć cel.

eprasa.pl 2c3697ce2f

Jak się załatwia spotkanie z Donaldem Trumpem?

O szczegóły musi pan zapytać Adama Bielana, który stoi za wyjazdem do USA w czasie majówki. Jego doświadczenie w tej kampanii bardzo nam pomogło. Myślę też, że amerykańska administracja była dobrze zorientowana w naszych wyborach. Gdy zatem zapowiedzieliśmy wizytę u Polonii w Chicago, to w naturalny sposób pojawiła się także perspektywa spotkania ze współpracownikami prezydenta Trumpa, a nawet z nim samym.

Długo za tym chodziliście? Czas takiej operacji mierzy się w dniach czy tygodniach?

W polityce na pewne relacje pracuje się latami. W tym przypadku zaowocowały właśnie doskonałe kontakty budowane od długiego czasu. Nie będę odsłaniał całej kuchni, ale może pan być pewien, że po 6 sierpnia Polacy nie będą musieli się martwić o stosunki na linii Warszawa–Waszyngton.

To prawda, że Donald Tusk jest w Białym Domu persona non grata, a Trump nie spotka się z polskim premierem?

Gołym okiem widać, jak wyglądają te relacje, odkąd Donald Tusk jest szefem rządu. Jedyną szansą na dobrą współpracę z administracją Donalda Trumpa pozostaje Karol Nawrocki. Nie chcę wchodzić w dodatkowe kwestie. Wszystkim nam powinno zależeć na dobrych stosunkach z naszym najważniejszym sojusznikiem. Lecz czy wszystkim zależy?

Ilu wewnętrznych szpiegów wykrył pan w czasie kampanii?

Polityka to taka dziedzina, w którą angażują się ludzie o wielkich ambicjach. W ciągu pół roku kampanii różne osoby miewają odmienne refleksje odnośnie do różnych wydarzeń. Doprowadza to do pewnych napięć, konfliktów. Ale to też gra zespołowa. Trzymaliśmy się tego i dzięki temu odnieśliśmy sukces.

Chce mnie pan zbyć, a przecież wiemy, że pojawiały się różne przecieki do wrogich wam mediów. Wiemy, że namierzył pan ich źródła. Czy ci, którzy zostali zdemaskowani, mieli świadomość, że wpadli?

Powtórzę: w polityce najważniejsza jest skuteczność. Gdybyśmy w kampanii zaczęli rozliczać, kto ile pracuje, jakie działania podejmuje, to nie byłoby tego efektu, który mamy dziś. Trzeba umieć rozwiązywać problemy, a nie w nich grzęznąć. Trzeba mieć zespół, który potrafi wsłuchiwać się w wartościowe pomysły. Jednocześnie trzeba być czujnym, gdy zauważa się osoby, które – co częste w polityce – nie są zbyt szczelne. My zachowaliśmy szczelność. Jednym z dowodów jest wspomniana wizyta w Stanach Zjednoczonych i spotkanie z Donaldem Trumpem. Innym – pojawienie się prezydenta Andrzeja Dudy na konwencji Karola Nawrockiego w Łodzi. Nikt się tego nie spodziewał. Dzięki temu wydźwięk mocnego przemówienia prezydenta był jeszcze lepszy.

Rozumiem, że trzeba to było załatwiać bezpośrednio z prezydentem, a nie z jego otoczeniem?

Szczegóły zachowam dla siebie, ale faktem jest, że o obecności głowy państwa na tej konwencji wiedziało zaledwie parę osób, choć wszystko zostało zaplanowane kilka tygodni wcześniej.

Kto z waszej strony pilotował relacje z Konfederacją, ze Sławomirem Mentzenem?

Są tematy, które szef sztabu musi wziąć na siebie i je skoordynować. Mam na myśli również kwestie związane np. z organizacją wspólnych spotkań, chociażby między pierwszą a drugą turą.

To może być cenne doświadczenie w horyzoncie 2027 r., lecz o tym za chwilę. Jarosław Kaczyński bez problemu puści pana do Kancelarii Prezydenta RP? Czy może wręcz do tego zachęca, by mieć lepsze relacje z pałacem niż w czasie kadencji Andrzeja Dudy?

Zanim zapadły decyzje, rozmawiałem oczywiście z Karolem Nawrockim, który wyszedł z tą propozycją, z żoną, bo mówimy przecież o ważnych decyzjach życiowych, a także z prezesem. Jarosław Kaczyński od początku wspierał pomysł prezydenta.

Przemysław Czarnek powiedział, że nawet w Kancelarii Prezydenta RP będzie lojalnym członkiem partii. Czy pan by się podpisał pod takim zdaniem?

Oczywiście. W Kancelarii Prezydenta można pełnić służbę dla wszystkich Polaków, a jednocześnie być wiernym swoim poglądom. Nie widzę tutaj żadnego konfliktu.

Czy prezydent Nawrocki będzie grał na wcześniejsze wybory, doprowadzenie do upadku rządu Tuska przed konstytucyjnym terminem?

Dziś Polska nie wykorzystuje swojej szansy rozwojowej. Tracimy czas, bo rząd składa się z wielu partii reprezentujących interesy różnych środowisk i buksuje. A trzeba iść do przodu, zagonić rząd do roboty i Karol Nawrocki to zrobi. Czy gabinet będzie

eprasa.pl 2c3697ce2f

potrafił zająć się fundamentalnymi sprawami kraju, czy też szybciej się rozpadnie od wewnętrznej niemocy – to się okaże.

Według niektórych Karol Nawrocki ma być łącznikiem między PiS a Konfederacją w perspektywie ich wspólnych rządów.

Rolą prezydenta jest współpraca z każdym środowiskiem politycznym, które chce realizować dobre postulaty dla Polski. Karol Nawrocki był popierany przez PiS i dzięki wsparciu całego naszego środowiska uzyskaliśmy wyborczy sukces. W drugiej turze nie byłby możliwy taki wynik, gdyby nie głosy Polaków, którzy wcześniej poparli innych kandydatów. To było możliwe dzięki dużej mobilizacji prawicy, a także dzięki temu, że Karol Nawrocki był kandydatem do zaakceptowania dla wyborców, którzy w pierwszej turze głosowali na pretendentów odległych od konserwatyzmu.

Czy w waszym obozie snuje się już plany bliskiej współpracy z Konfederacją, czy jest na to za wcześnie?

Jestem przekonany, że dziś jedyną szansą na realizację dobrego programu dla Polski jest zdecydowane zwycięstwo PiS w wyborach parlamentarnych. Ale na pewno będziemy współpracować ze wszystkimi, którzy będą chcieli nam pomagać we wdrażaniu tego dobrego programu.

Jak mogą wyglądać relacje prezydenta Nawrockiego z gabinetem Tuska? Na razie premier scedował je na Władysława Kosiniaka-Kamysza, który reprezentował rząd np. w czasie uroczystości na Zamku Królewskim.

Jeżeli te relacje będą bazowały na pracy dla Polski, to są możliwe i będą bardzo potrzebne. Zgodnie z polskim prawem Rada Ministrów potrzebuje prezydenta do tego, żeby móc skutecznie rządzić. Donald Tusk będzie musiał uznać reguły demokracji i znaleźć formułę pozwalającą na współpracę z prezydentem.

Prezes PSL dojrzał już do najpoważniejszych gier w polityce? Jest gotowy rzucić Tuskowi wyzwanie, a tym samym zbudować siebie i uratować PSL?

Władysław Kosiniak-Kamysz już kilkakrotnie miał okazję podjąć decyzje, które w oczach opinii publicznej przedstawiłyby go jako odważnego i samodzielnego polityka. Niestety nie skorzystał z nich. Ale to nie znaczy, że nie zrobi tego przy kolejnej sposobności. Warto obserwować działania polityków, którzy funkcjonują w koalicji rządzącej. Polacy dali temu układowi czerwoną kartkę. To dobry czas, by niektórzy przejrzeli na oczy i zobaczyli, że dalsze poddawanie się Donaldowi Tuskowi spowoduje, iż ich pozycja w obozie władzy będzie dużo słabsza. Ostatecznie może doprowadzić do tego, że w przyszłości znajdą się poza parlamentem.

Jak realnie „zburzyć mury nienawiści", co zapowiadał Karol Nawrocki? Czy jest na to pomysł, czy to na razie tylko takie zgrabne hasło przed inauguracją prezydentury?

Jestem przekonany, że dla prezydenta Nawrockiego środkiem do osiągnięcia tego celu będzie konkretne realizowanie działań. W polityce mamy różne zdania o innych partiach, ale musimy się nauczyć wspólnie wspierać projekty, które są dobre dla kraju i obywateli. Od tego może się zacząć burzenie tych murów. Mam nadzieję, że druga strona też to dostrzeże.

Czy ustawy, które prezydent Nawrocki skieruje do parlamentu, już się piszą?

Nie ukrywam, że czas po wyborach bywa bardziej wymagający niż ten kampanijny. A to dlatego, że Karol Nawrocki wymaga od swojego zaplecza, aby od pierwszego dnia kadencji krok po kroku realizować to, co obiecywał w kampanii wyborczej. Te ustawy są więc faktycznie przygotowywane, ale nie tylko o nie chodzi. Pracujemy już nad kształtem pierwszych tygodni prezydentury. Gwarantuję, że będzie ona aktywna.

> Karol Nawrocki wymaga od swojego zaplecza, aby od pierwszego dnia kadencji krok po kroku realizować to, co obiecywał w kampanii wyborczej. Te ustawy są więc faktycznie przygotowywane

Jak Karol Nawrocki podchodzi do regionalnych formatów międzynarodowych, które budował Andrzej Duda? Mam na myśli Grupę Wyszehradzką, inicjatywę Trójmorza czy Bukaresztańskiej Dziewiątki. Chce to kontynuować?

Tak. W trakcie kampanii odbyliśmy wiele spotkań z ekspertami na temat formatów, które także mieszczą się w prerogatywach prezydenta. Jestem przekonany, że tutaj aktywność Karola Nawrockiego również będzie na najwyższym poziomie. Są międzynarodowe tematy ważne nie tylko dla Polaków, lecz także dla innych państw Unii Europejskiej, chociażby związane z Zielonym Ładem. Myślę, że wokół nich w różnych formatach można tworzyć korzystne dla nas koalicje i jestem przekonany, że prezydent będzie bardzo aktywny na tym polu.

Jeśli zostanie zaprzysiężony, bo niektórzy wierzą w ponowne przeliczenie głosów i odwrócenie wyniku wyborów.

Platforma nie umiała wygrać wyborów, a dziś nie potrafi ich godnie przegrać. Próba podważenia autorytetu prezydenta to główny cel tej kampanii przygotowanej dla twardego elektoratu PO. Ale nie ma żadnych przesłanek ku temu, żeby podważać wyniki wyborów. 6 sierpnia Karol Nawrocki rozpocznie kadencję prezydenta, która będzie bardzo dobra dla Polski.

eprasa.pl 2c3697ce2f

Czerwiec 2025 r. to jeden z najlepszych momentów w politycznym życiu Krzysztofa Bosaka. Jednogłośnie został szefem swojej partii, czyli Ruchu Narodowego. Jeszcze większym prezentem od losu jest dla niego wygrana Karola Nawrockiego w wyborach prezydenckich. A dodatkowo także to, że Sławomir Mentzen – a nie on – wypchnął z Konfederacji Grzegorza Brauna, a ten i tak nie utonął. To wszystko sprawia, że przed 43-letnim wicemarszałkiem Sejmu rysują się obiecujące perspektywy

Bosak na

PIOTR GURSZTYN

Przypomnijmy sobie scenę z 24 maja br. – wieczór, gdy Rafał Trzaskowski pojechał do Sławomira Mentzena. Bohater tego tekstu, Krzysztof Bosak, był wtedy gościem w Kanale Zero. Nagle na wizji dowiedział się, że lider jego ugrupowania właśnie ugaszcza piwem Trzaskowskiego. Zdezorientowana mina Bosaka należała do tych, o których mówi się ironicznie, że są „bezcenne".

W tamtym czasie Krzysztof Bosak był w trudnym momencie. Kibicował Karolowi Nawrockiemu, ale musiał okazywać to ostrożnie. Jego relacje z Mentzenem nie były najlepsze. Sam nigdy nie został zaproszony do pubu w Toruniu na piwo, a los jego ugrupowania całkowicie zależał od głównego szefa, czyli Mentzena. Wprawdzie Ruch Narodowy to środowisko bardzo prężne i stosunkowo przebojowe, ale nie miałoby szansy na samodzielne wejście do Sejmu w razie wyborów parlamentarnych.

DOBRE RELACJE Z NOWYM PREZYDENTEM

Po 1 czerwca sytuacja jest już inna. Bosak ma bardzo dobre relacje z prezydentem elektem. Nawrocki jeszcze jako prezes IPN zawsze pamiętał, aby zapraszać wicemarszałka na ważne uroczystości patriotyczne, a Bosak pamiętał, aby przyjmować te zaproszenia. Efekt jest taki, że obaj polubili się także prywatnie. Drugą konsekwencją, mniej widoczną dla opinii publicznej, ale szeroko komentowaną wśród polityków prawicy od Konfederacji po PiS, jest to, że Bosak i cały RN raczej anemicznie włączyli się we wspieranie kampanii prezydenckiej Mentzena. Szybko było

eprasa.pl 2c3697ce2f

fali

widać, komu bardziej kibicują, niezależnie od różnych maskujących wypowiedzi i gestów.

Namacalnym i ważnym politycznie znakiem tych dobrych relacji było to, że obaj spotkali się po wyborach, a fotografie z tego spotkania ujrzała opinia publiczna. To ważny sygnał. Tak samo niebagatelnym znakiem są pogłoski o tym, że Nawrocki weźmie do swojej kancelarii kogoś z Konfederacji. Na razie nikt tego oficjalnie nie potwierdził, ale jeśli się to stanie, wiadomo, że będzie to ktoś od Bosaka, a nie Mentzena.

Co można zatem powiedzieć o planach, zamierzeniach i ogólnie przyszłości Krzysztofa Bosaka, człowieka młodego jak na polityka, ale jednocześnie z wielkim bagażem doświadczeń?

Po pierwsze, cechy osobowościowe wskazują, że nie jest to człowiek, który celuje w stanowisko premiera. Ma zdolności przywódcze, ale nie jest typem brutalnego satrapy. Woli co innego: życie parlamentarne, gabinetowe pertraktacje, dyplomatyczne zabiegi. Zatem nie aspiruje do stanowiska szefa rządu, a obecnie dla polityka Konfederacji nie jest to przecież coś niewyobrażalnego. Już teraz widać, że to całkiem realny scenariusz, iż w rządzie koalicyjnym, nawet liczebnie zdominowanym przez PiS, premierem zostanie ktoś z Konfederacji. Ale w tej roli widzi się przede wszystkim Przemysław Wipler, bo z kolei Mentzen mówi o chęci objęcia Ministerstwa Finansów. Zapewne jest w tym szczery, bo podobno cechuje go silne poczucie misji, czyli chęć przebudowy systemu podatkowego według swoich wizji. Konfederacja bardzo chce mieć premiera, bo obecnie to partia wiecznej opozycji. Cały czas byli recenzentami i chcą się pozbyć tej etykietki. Uważają, że dojrzeli do tego, by spróbować mieć władzę w państwie.

Gdzie w tym wszystkim jest Bosak? Jeśli chodzi o jego marzenia, to najprędzej są to funkcje marszałka Sejmu, ewentualnie szefa MSZ. Wystarczy popatrzeć na jego występy w mediach. Nie wdaje się w emocjonalne awantury, woli zimne, dobrze wykalkulowane riposty i trzeba przyznać, że jest w tym bardzo dobry. Jego *modus operandi* dokładnie oddaje sposób odpowiedzi na pytania w sprawie ostatniej awantury, którą wywołał w Sejmie Grzegorz Braun. Chodzi o zdemolowanie wystawy o tematyce LGBT+. Bosak odpowiedział, że też jest przeciwny wystawom tego typu, ale nie odpowiadają mu metody Brauna, bo uważa je za kontrskuteczne. „To cały Bosak" – takie komentarze można usłyszeć od ludzi, którzy go dobrze znają. Na szczęście dla wicemarszałka nie jest to odbierane przez prawicową część opinii publicznej jako lawiranctwo. Przynajmniej obecnie, a to dzięki temu, że jednocześnie Bosak bardzo jednoznacznie wypowiada się na tematy światopoglądowe.

Sondażowa dynamika pokazuje, że sny o wielkości Bosaka i ogólnie Konfederacji mogą się spełnić. Oczywiście nie samodzielnie, lecz w porozumieniu z PiS. Na prawicy żywa jest teraz pozytywna emocja „byle nie Trzaskowski". To się udało i udzieliło także wielu konfederatom. Widać to po Bosaku, a także Konradzie Berkowiczu i Przemysławie Wiplerze, czyli ludziach z Nowej Nadziei.

NIEUFNOŚĆ WOBEC PIS

Pytanie, jak trwała będzie ta emocja. Z tym mogą być problemy. Rozbieżności między PiS a Konfederacją to nie tylko różnice programowe i konkurencja polityczna, lecz także osobiste urazy. Po stronie polityków Konfederacji, w tym Bosaka. Jest on bardzo nieufny wobec Prawa i Sprawiedliwości. Cały czas wypomina aroganckie zachowania pisowskich członków prezydium Sejmu z czasów marszałek Elżbiety Witek. Powtarza także powszechne w Konfie pretensje za ignorowanie przez TVP podczas rządów Zjednoczonej Prawicy.

Dodajmy, że konfederaci alergicznie reagują na prawdziwe i urojone przejawy poczucia wyższości ze strony PiS. Czasem są to nieporozumienia niezawinione, a wynikające z różnic pokoleniowych. Czołówka polityków PiS to przeważnie ludzie w wieku 50+, w Konfederacji o dziesięć lat mniej. Np. siedmiu posłów Ruchu Narodowego w Sejmie plus dwójka europosłów to ludzie wszyscy urodzeni w latach 1981–1991. Z tego powodu czują się też pewnie, bo uważają – nie do końca zasadnie – że procesy demograficzne będą premiowały rozwój ich formacji.

Wracając do samego Bosaka, podczas tych wyborów prezydenckich skończył się dla niego czas całkowitego uzależnienia od Mentzena. Już nie musi się wpraszać na piwo. Po pierwsze, może liczyć na jakieś wsparcie ze strony prezydenta Nawrockiego. Drugim polem, które otworzyło się dla wicemarszałka do samodzielnej politycznej gry, jest fakt, że Braun przetrwał wyrzucenie z Konfederacji. A uzyskując dobry wynik w pierwszej turze wyborów

eprasa.pl 2c3697ce2f

prezydenckich, stworzył spory potencjał polityczny. To dobra wiadomość dla Bosaka – to Mentzen, a nie on, wypychał Brauna z Konfy.

Te nowe możliwości Bosaka oraz ogólnie nowa dynamika Konfederacji budzą w PiS mieszane uczucia. Wrogości w zasadzie nie ma. Nie słychać już o podejrzeniach wobec wicemarszałka, że utrzymuje jakieś tajne kontakty ze swym byłym szefem z Młodzieży Wszechpolskiej i LPR Romanem Giertychem, a za jego pośrednictwem z Donaldem Tuskiem. Bieg zdarzeń z dłuższego czasu nie tylko nie potwierdził tych podejrzeń, lecz także dał wskazówki, że między nadwornym mecenasem Tuska a jego dawnym podwładnym panuje wzajemna niechęć.

Z punktu widzenia liberalnego establishmentu Bosak popełnił zresztą straszliwy „grzech" – w apokaliptycznym boju między „demokratami" a „faszystami" jawnie przyczynił się do przegranej Rafała Trzaskowskiego. Świadczy o tym zresztą groteskowy fakt, czyli to, że na ujawnionych niedawno taśmach Giertych mówił o Bosaku oraz Robercie Winnickim (wtedy także liderze Ruchu Narodowego), że są „debilami". Warto zaznaczyć, że to wypowiedź sprzed kilku lat, więc może świadczyć o tym, że od bardzo dawna nie ma już żadnych relacji między nimi.

Problemem w relacjach dwóch ugrupowań prawicowych jest co innego. Po pierwsze, nastawienie większej część kierownictwa PiS, czyli przyzwyczajenie do tego, że to oni są duzi i potężni, a Konfederacja mała i słaba. W mniejszości są ludzie tacy jak Przemysław Czarnek czy Janusz Kowalski, którzy od dość dawna głoszą hasła nawiązania bliskiej współpracy. Kowalski przebąkiwał m.in. o pomyśle „paktu senackiego" między PiS a Konfą, ale podejście wielu jego kolegów jest nacechowane rezerwą. Uważają bowiem, że kandydaci Konfederacji wjadą do Senatu na pisowskich plecach.

Przy czym nie jest tak, że ci pisowscy sceptycy nie mają żadnych argumentów. Nie ma usprawiedliwienia dla poczucia wyższości, ale ostrożność ma swoje uzasadnienie. W Konfederacji widać bowiem przejawy euforii po dobrym wyniku Mentzena w wyborach prezydenckich. Część polityków tej partii uwierzyła w to, że Konfa łatwo wskoczy na stały poziom poparcia w sondażach powyżej 20 proc. Jest to możliwe, ale tylko kosztem PiS. Trudno oczekiwać, że w takiej sytuacji partia Jarosława Kaczyńskiego wywiesi białą flagę i podda się bez walki.

BĘDZIE WSPÓŁPRACA?

Do agresji Konfederację zachęcają wydarzenia z kilku ostatnich wyborów, gdzie niektórzy kandydaci tego ugrupowania skutecznie „spustoszyli" dotychczasowe mateczniki PiS. Widać to po pierwszej turze wyborów prezydenckich, gdzie w wiejskich gminach województw takich jak lubelskie czy podkarpackie Mentzen niespodziewanie „wykręcił" bardzo dobry wynik (podobnie Braun). Konfederaci pamiętają też m.in. bardzo skuteczną kampanię Anny Bryłki w wyborach europejskich, która też uszczknęła masę niedawnych pisowskich głosów. W tym kontekście Bosak prezentuje się jako bezpośrednia konkurencja, bo pod względem oferty programowej zwraca się do tych samych wyborców co PiS (inaczej niż Mentzen, którego elektorat ma przeważnie inny profil ideowy).

> Bosak ma bardzo dobre relacje z prezydentem elektem. Nawrocki jeszcze jako prezes IPN zawsze pamiętał, aby zapraszać wicemarszałka na ważne uroczystości patriotyczne, a Bosak pamiętał, aby przyjmować te zaproszenia. Efekt jest taki, że obaj polubili się także prywatnie

Rysuje się zatem scenariusz, na który wyborcy prawicy reagują alergicznie. Szczególnie ci starsi, którzy pamiętają smutne lata 90. XX w. To jednak okoliczność, która bardziej krępuje PiS niż Konfederację. Ci uczuleni starsi wyborcy to przede wszystkim elektorat Prawa i Sprawiedliwości i to oni na różnego rodzaju spotkaniach, także w mediach społecznościowych, apelują o jedność. Zwolennicy Konfederacji, zazwyczaj dużo młodsi, nie przeżyli tamtej traumy, więc mają łatwość w atakowaniu PiS i zachęcaniu swoich politycznych reprezentantów do ostrej walki z „kaczystowską" konkurencją.

Przy czym w ostatnim czasie Bosak zrobił się mniej wyrywny w konfrontowaniu się z PiS. Rzadziej np. słychać z jego ust o stawianiu znaku równości między Prawem i Sprawiedliwością a Platformą Obywatelską. Być może dostrzegł, że hasło „PiS–PO, jedno zło" dobrze rezonuje w stosunkowo wąskim gronie zwolenników Konfy, ale skutecznie zraża wyborców PiS.

I tutaj cały na biało wchodzi Karol Nawrocki – jako rozjemca i patron porozumienia między PiS a Konfederacją. Ten obrazek to nie żart, ale scenariusz, który wielu polityków na prawicy – tych o bardziej chłodnych głowach – przedstawia jako sposób na wyjście z wyżej zarysowanych sprzeczności.

W tej chwili Nawrocki ma tak wielki autorytet, że powinien dać radę pogodzić oba konkurujące ze sobą, ale nieodległe ugrupowania. Będzie on rósł, niż spadał, a to za sprawą... Donalda Tuska. Już dzisiaj widać, że coraz mniej popularny premier za jedyny sposób prowadzenia polityki uważa atakowanie nowo wybranego prezydenta. Jest więc oczywiste, jakie emocje zaczną dominować na całej prawej stronie polskiej sceny politycznej. Zarówno wśród polityków, jak i wyborców. Oni też mogą wymusić zgodną współpracę obu nurtów polskiej prawicy.

eprasa.pl 2c3697ce2f

Polska schodzi na psy

W polskich gospodarstwach domowych jest dziś więcej psów niż dzieci. Jednocześnie mamy najniższy w Europie współczynnik urodzeń. Komu oddamy w spadku nasze państwo i nasz majątek? Obcym?

KONRAD KOŁODZIEJSKI

Trudno nie lubić psów. Jednak w ostatnich latach naturalna sympatia do tych zwierząt zaczęła się zamieniać w coś niepokojącego. Pies staje się nawet nie tyle namiastką człowieka, ile jego bardziej wartościowym zamiennikiem. Przywiązanie do psów, troska o ich dobrostan, bywają niekiedy znacznie większe niż wobec drugiego człowieka.

Ilustracją tego zjawiska w języku stało się słowo „psiecko", będące połączeniem psa i dziecka. Bo coraz więcej jest ludzi, którzy traktują swoje psy w ten właśnie sposób – jak własne dzieci. Kiedyś zapewne uznalibyśmy to za objaw psychicznego lub emocjonalnego zawirowania. Dziś takie zachowanie mieści się w ogólnie przyjętym standardzie postępowania.

ZACIERANIE GRANICY

Od pewnego czasu w sklepach, galeriach handlowych i kawiarniach widuje się osoby prowadzące swoje psy na smyczy. Zazwyczaj nie stanowi to problemu, zwłaszcza jeżeli czworonóg jest ułożony i spokojny. Jest to jednak przełamanie dotychczasowych norm, które wyznaczały wyraźną i powszechnie akceptowaną granicę, która zakazywała wprowadzania zwierząt do większości miejsc publicznych. Zwierzę, choćby najbardziej słodkie i pocieszne, nie jest człowiekiem, co jeszcze niedawno każdy doskonale rozumiał. Teraz ta granica między zwierzęciem i człowiekiem zaczyna się zacierać.

Niedawno widziałem w galerii handlowej zadbanego, starszego pana z jamnikiem. Pies był spokojny i zrelaksowany do tego stopnia, że w pewnej chwili pośrodku alejki sklepowej załatwił swoją potrzebę. Nieco zawstydzony tą sytuacją właściciel najpierw rozejrzał się dyskretnie dookoła i oceniwszy, że nikt niczego nie zauważył, spokojnie poszedł ze swoim pupilem dalej. Ale nawet gdyby zareagował inaczej i posprzątał po swoim psie, nie zmieniłoby to faktu, że coś takiego w ogóle nie powinno się przydarzyć. I nie przydarzyłoby się, gdyby nie wprowadził psa do sklepu. Kiedyś byłoby to nie do pomyślenia, jednak dziś nikt mu nie zwrócił uwagi.

Jeśli dziś komukolwiek coś przeszkadza w miejscach publicznych, to najczęściej nie są to psy, lecz małe dzieci. Upiorne, wrzeszczące bachory, które faktycznie mogą doprowadzić postronnych do szału. Są już knajpy, gdzie psy są mile widziane, a dzieci – niekoniecznie. Istnieją też hotele i ośrodki wypoczynkowe, gdzie małe dzieci w odróżnieniu od psów mają wstęp wzbroniony.

Spokój jest rzeczą cenną. Zwłaszcza podczas urlopu czy wypoczynku. Jednak to nie dzieci ponoszą winę za jego zakłócanie. Za to są odpowiedzialni przede wszystkim ich rodzice, którzy nie potrafią zapanować nad swoim potomstwem. Zamiast uczyć właściwego zachowania, ekscytują się krzykami swoich dzieci w przekonaniu, że ich maluchy są pępkami świata („No przecież to takie słodkie, kreatywne dziecko. Jak ono mogłoby komukolwiek przeszkadzać?"). Potem z takich dzieci wyrasta kolejne pokolenie egoistycznych niedojd, które nie potrafią zmierzyć się z żadną, nawet najmniejszą przeciwnością losu. Bo przecież zawsze na wszystko im pozwalano i zawsze było z górki.

Tacy ludzie często nigdy nie dojrzewają. Nie decydują się na trwałe związki i co za tym idzie – na posiadanie dzieci. To w ogóle nie powinno dziwić, bo przecież sami mentalnie pozostają dziećmi. A gdy w pewnym momencie swojego życia poczują dookoła siebie pustkę, mogą zapełnić ją zwierzęciem – jakimś miłym pieskiem lub kotkiem, na którego przeleją wszystkie zasoby niezrealizowanej rodzicielskiej miłości. Dla psa nie trzeba się poświęcać, a on i tak pozostanie całkowicie oddany i wszystko wybaczy.

Powszechna niedojrzałość i nieodpowiedzialność nie ogranicza się wyłącznie do prywatnego życia. To powszechny problem społeczny i kulturowy, który wywraca nasz świat do góry nogami. Można powiedzieć, że współcześni Polacy – w ślad za całą Europą – oblali test z rodzicielstwa. Rodzi się coraz mniej dzieci, a większość z tych, które przyszły na świat w ostatnich dwóch dekadach, może nie zapewnić przetrwania narodowi i państwu.

eprasa.pl 2c3697ce2f

NARÓD NA WYMARCIU

Wszystkie dane demograficzne biją na alarm. Według portalu Birth Gauge, w 2024 r. wskaźnik urodzeń (TFR) wyniósł w Polsce zaledwie 1,11, co daje najniższy poziom w całej Europie i zarazem jeden z najniższych wśród krajów OECD (gorzej od nas wypadły jedynie Chile i Korea Południowa). Oznacza to, że na 100 kobiet w wieku rozrodczym (15–49 lat) przypadało 111 urodzonych dzieci, tymczasem dla zapewnienia wzrostu demograficznego na 100 takich kobiet powinno przypadać co najmniej 210 dzieci, współczynnik dzietności powinien zatem osiągać wartość 2,1.

Jeśli ta tendencja się utrzyma, to Polsce grozi powolne wyludnienie. Wiadomo o tym nie od dziś. Zgodnie z prognozą GUS z 2014 r. liczba ludności Polski spadnie w 2050 r. do niespełna 34 mln osób, a więc do poziomu z końca 1974 r. Co gorsza, jedną trzecią spośród tych 34 mln mają stanowić osoby powyżej 65. roku życia. Z kolei według prognozy demograficznej ONZ w 2100 r. populacja Polaków wyniesie 14,5 mln ludzi, i to przy założeniu, że współczynnik dzietności nie spadnie poniżej 1,3. Jeśli będzie niższy, to do końca tego stulecia będzie nas mniej niż 10 mln.

Ten czarny scenariusz potwierdzają szacunki na obecny rok. Zgodnie z nimi możemy się spodziewać wskaźnika urodzeń na poziomie 1,03, a więc poniżej połowy zastępowalności pokoleń. Dla porównania w 2023 r. Polska miała wskaźnik urodzeń na poziomie 1,16, a w 2022 r. – 1,28. Z kolei w 1990 r. współczynnik dzietności w Polsce wynosił ponad 2.

Jeżeli więc w ciągu najbliższych lat nic się nie zmieni, czeka nas powolne wymieranie. Są w Polsce gminy – głównie na Podlasiu – gdzie w ciągu całego ub.r. urodziło się zaledwie kilkoro dzieci. W tych miejscach niebawem nie będzie już szkół, miejsc pracy ani żadnego transportu. Życie nie znosi jednak próżni. Nasze miejsce zajmą inni. Już zaczęli zajmować.

Z wyliczeń ZUS wynika, że aby skompensować obecne problemy demograficzne, w ciągu najbliższych 10 lat należałoby ściągnąć do Polski co najmniej 3 mln nowych imigrantów. Warto zauważyć, że wraz ze spadkiem urodzeń liczba przybyszy koniecznych do zasypania dziury demograficznej będzie stale rosła. Problem w tym, że gdyby zdecydować się na takie rozwiązanie, to po kilku kolejnych dekadach Polacy mogliby się stać mniejszością we własnym kraju. Należy też wątpić – biorąc pod uwagę doświadczenia Europy Zachodniej – w jakąkolwiek przydatność przymusowo relokowanych imigrantów dla polskiego rynku pracy. Nie wspominając już nawet o zagrożeniach wynikających z różnic kulturowych i ich negatywnego wpływu na nasze bezpieczeństwo.

NIECHĘĆ DO RODZICIELSTWA

Gdyby spytać przeciętnego Polaka, co jest dla niego najważniejsze w życiu, większość (60 proc.) odpowie, że „szczęśliwy związek". Rodzina jest już odrobinę mniej ważna (59 proc.), a jej znaczenie ciągle spada, zwłaszcza w młodym pokoleniu. Zdecydowanie gorzej jest z rodzicielstwem. Według najnowszych badań panelu Ariadna chęć posiadania dzieci i spełnienia jako rodzic deklaruje już tylko 30 proc. ankietowanych.

Upadek rodzicielstwa najlepiej widać w podziale na generacje. Wśród osób urodzonych przed 1965 r. (tzw. baby boomers) ma ono znaczenie dla 40 proc. osób, ale z każdym kolejnym pokoleniem spada o ok. 10 proc. W generacji Z (urodzeni w latach 1995–2010) rodzicami chciałoby być zaledwie 16 proc. badanych. Swój opór przed posiadaniem dzieci tłumaczą oni przede wszystkim problemami finansowymi, brakiem mieszkania oraz niestabilną sytuacją zawodową.

W niektórych przypadkach rzeczywiście tak jest. Czasami jednak

W polskich domach mieszka dziś ponad 8 mln psów i 7 mln kotów. Można byłoby się z tego cieszyć, gdyby nie fakt, że dzieci jest u nas zaledwie 7 mln

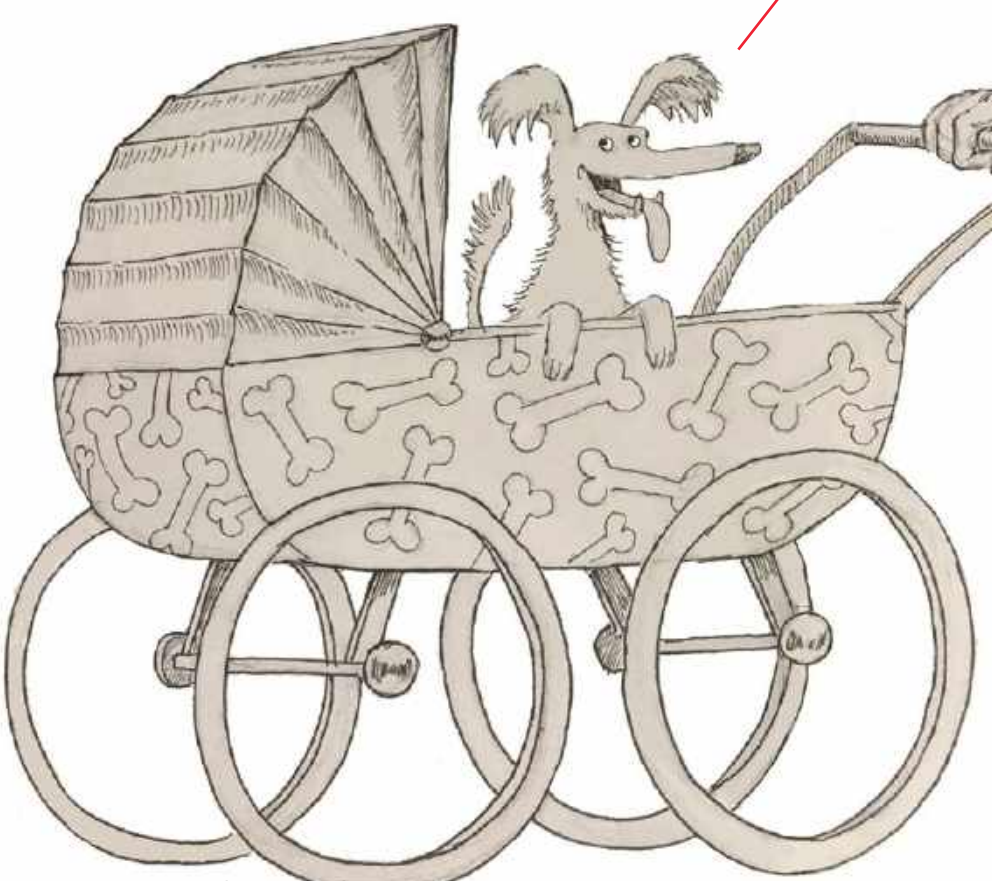

eprasa.pl 2c3697cc2f

deklarowane kłopoty materialne są jedynie objawem zmian kulturowych. Chodzi o to, że dzisiejsze oczekiwania młodych ludzi bywają inne niż kiedyś. Gdy ankietowani mówią o problemach finansowych, nie zawsze oznacza to, że brakuje im pieniędzy. Oni kalkulują inaczej. Wiedzą, ile kosztuje wychowanie dziecka i obawiają się, że nie zdołają utrzymać dotychczasowego standardu życia, jeśli zdecydują się na potomstwo. Z niczego nie chcą rezygnować. Myślą przede wszystkim o swoim komforcie, nie wybiegają w przyszłość. Gdyby było inaczej, to młodzi wywodzący się z bogatych domów powszechnie decydowaliby się na dzieci. Tak jednak nie jest.

Co ciekawe, również wśród obecnych 30–40-latków, a więc osób w wieku, w którym z biologicznego punktu widzenia powinno się mieć dzieci, rola rodzica nie jest już postrzegana jako istotny cel życiowy. Potwierdza to hipotezę, że kwestie materialne bywają dla niektórych wymówką, dzięki której można usprawiedliwić własne wygodnictwo i egoizm.

WIĘCEJ PSÓW NIŻ DZIECI

Niechęć do posiadania potomstwa nie oznacza jednak braku uczuć rodzicielskich. Tyle że przenosi się je na zwierzęta domowe. Z danych statystycznych wynika, że Polska jest psią i kocią potęgą. W polskich domach mieszka dziś ponad 8 mln psów i 7 mln kotów. Można by było się z tego cieszyć, ale jeżeli uświadomimy sobie, że dzieci (do 17. roku życia) jest u nas zaledwie 7 mln, to uśmiech powinien błyskawicznie zniknąć z naszej twarzy.

W Polsce brakuje wyczerpujących badań na temat przyczyn tak wielkiej popularności psów i kotów. W 2023 r. zrobiono je za to w Stanach Zjednoczonych, gdzie były częścią szerszego raportu o pokoleniu Z i milenialsach. Ludzi urodzonych po 1981 r. zapytano m.in. o ocenę własnego uczucia do zwierząt domowych. Odpowiedzi były dość szokujące. 81 proc. ankietowanych stwierdziło, że kocha swoje zwierzę bardziej niż przynajmniej jednego członka najbliższej rodziny, połowa zaś przyznała, że kocha je bardziej niż własną matkę. Pytano również o gotowość poświęcenia się dla zwierzęcia. W odpowiedzi niemal połowa badanych zadeklarowała, że podjęłaby dodatkową pracę, gdyby koszt opieki medycznej nad zwierzakiem przekroczył ich możliwości finansowe, a 25 proc. sprzedałaby swój samochód, żeby zdobyć pieniądze na ratowanie zdrowia czworonoga.

Oczywiście wyniki podobnego badania, gdyby przeprowadzono je w Polsce, mogłyby wyglądać inaczej. Nie zmienia to jednak faktu, że ogólna tendencja budowania „rodziny wielogatunkowej", w której zwierzę przejmuje rolę dziecka, na naszych oczach staje się nowym trendem cywilizacyjnym, który, jeśli nic się nie zmieni, rozpowszechni się również w Polsce. W tej nowej rzeczywistości człowiek przestaje odgrywać najważniejszą rolę, a jego życie traci swoją szczególną wartość.

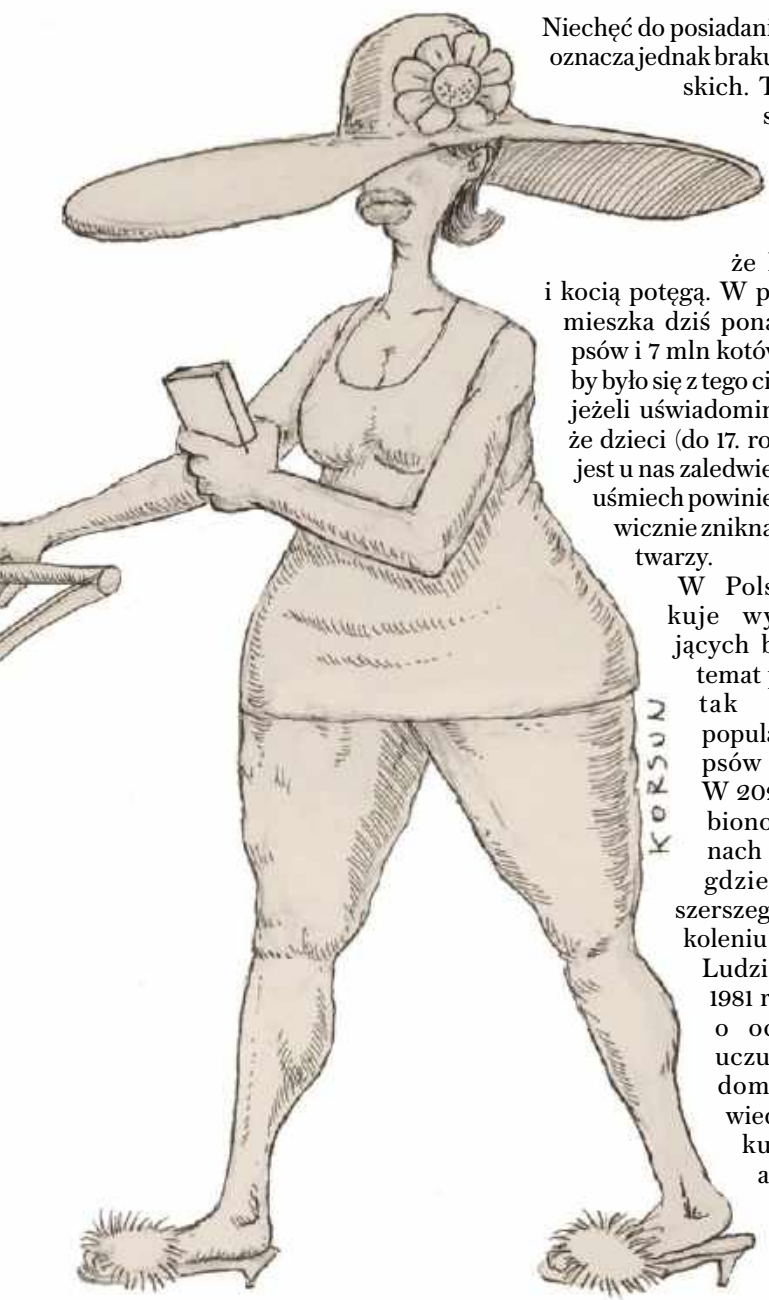

> W 2024 r. wskaźnik urodzeń wyniósł w Polsce zaledwie 1,11, co daje nam najniższy poziom w całej Europie i zarazem jeden z najniższych wśród krajów OECD

Dlatego trudno jest uwierzyć, że kryzys demograficzny ma wyłącznie podłoże materialne. Tak nie jest. Ten kryzys tkwi w głowach ludzi, jest skutkiem powszechnej niedojrzałości i braku odpowiedzialności za siebie samych i wspólnotę, w której żyjemy. To także kryzys życia w najczystszej postaci. Co jest bowiem warte życie, jeśli z własnego wyboru nie chcemy się nim z nikim dzielić? Dla kogo żyjemy? Dla kogo się poświęcamy? Komu zostawimy dorobek naszego życia? Psu czy kotu?

eprasa.pl 2c3697ce2f

Dramat w parku Glazja

Noc z 11 na 12 czerwca 2025 r., Toruń, środek tygodnia. Większość mieszkańców już spała. W parku Glazja, zielonym terenie o powierzchni ok. 5,5 ha położonym na osiedlu Jakubskie Przedmieście, o tej porze słychać głównie szelest liści. Ale tej nocy było słyszalne coś jeszcze

DOROTA ŁOSIEWICZ

24-letnia Klaudia K. wracała z pracy w jednym z popularnych barów przy ul. Żeglarskiej. Dorabiała tam jako barmanka. Do domu miała ok. 30 minut pieszo. W tym samym czasie po centrum Torunia przechadzał się pijany Yomeykert R.-S. Przy sobie miał też 8,5-cm nóż. Powoli zmierzał w kierunku swojego domu. Wbrew plotkom w sieci nie mieszkał w tej samej klatce, co ofiara. Jak podaje portal o2.pl, drogi Wenezuelczyka i Klaudii K. przecięły się na przejściu dla pieszych przy rondzie Pokoju Toruńskiego (ok. 400 m od miejsca napadu). Ze wstępnych ustaleń śledczych wynika, że tam mężczyzna zwrócił uwagę na 24-latkę. Najpierw minął kobietę, ale zmienił zdanie i próbował za nią iść. Niewykluczone, że napastnik chciał zgwałcić kobietę. Wywiązała się szarpanina. Yomeykert R.-S. wyciągnął nóż (w sieci pojawiła się także wersja, że w ręku miał śrubokręt), którym zadał wiele ciosów w korpus i głowę swojej ofiary.

URATOWANA PRZEZ ŚWIADKA

Kludia zawdzięcza życie przypadkowemu świadkowi. Jak poinformowała asp. Dominika Bocian, oficer prasowy Komendy Miejskiej Policji w Toruniu, w nocy z 11 na 12 czerwca po godz. 1.00 policjanci otrzymali zgłoszenie dotyczące ataku na kobietę, do którego miało dojść w parku Glazja. „Dzięki szybkiej reakcji przypadkowego świadka, który

19-letni Wenezuelczyk usłyszał zarzut usiłowania zabójstwa. Grozi mu kara od 10 lat do dożywotniego pozbawienia wolności

z mieszkania usłyszał krzyki wzywające ratunku, a następnie pobiegł z pomocą, używając gazu pieprzowego, a wcześniej zawiadamiając o zdarzeniu dyżurnego policji, agresor został spłoszony" – relacjonuje asp. Bocian, a jej relację cytuje portal Bydgoszcz.tvp.pl. Dyżurny natychmiast skierował w to miejsce patrole.

Policjanci szybko namierzyli napastnika i zatrzymali go przy ul. Wojska Polskiego (ok. 1 km od miejsca zdarzenia). Śledczy mówią, że mężczyzna był w amoku, nie był w stanie wypowiedzieć słowa, miał na sobie liczne ślady krwi. Trafił do komendy policji. Napastnikiem okazał się 19-letni Wenezuelczyk Yomeykert R.-S., który mieszkał w Polsce od lutego 2025 r. Nie pracował, nie studiował. Przebywał u rodziny. W chwili zatrzymania był nietrzeźwy – badanie wykazało ponad 1,2 promila alkoholu. Policja zabezpieczyła narzędzie zbrodni, prokuratura postawiła mu zarzut usiłowania zabójstwa. Może mu grozić kara dożywotniego pozbawienia wolności. Został tymczasowo aresztowany na trzy miesiące. Śledczy nie wykluczają motywu seksualnego.

Według portalu o2.pl mężczyzna już wcześniej miał sprawiać problemy swojej matce (pracownicy jednej z toruńskich restauracji) i jej partnerowi. Kobieta pracuje w restauracji, którą dzieli od baru, w którym dorabiała Klaudia K., zaledwie 800 m. Kobieta jest w Polsce od dłuższego czasu. Zaczęła układać sobie życie na nowo. Jak ustalili toruńscy dziennikarze, znalazła partnera. Zamieszkali razem. W lutym 2025 r. do kobiety przyleciał jej syn Yomeykert. Jak słyszymy, „mężczyzna miał szukać lepszego życia". Nie podjął jednak pracy, większość czasu spędzał w domu, grając na konsoli. Wiadomo też, że 19-latek nie był w Polsce karany. Służby ustalają, jaka była jego przeszłość w Wenezueli.

STAN STABILNY

Klaudia trafiła do szpitala w stanie krytycznym. Chirurdzy natychmiast przystąpili do operacji. Przez wiele godzin walczono o jej życie. Nieoficjalnie mówi się, że kluczowe było szybkie powstrzymanie ataku i natychmiastowa pomoc. Dziś jej stan jest stabilny, ale powrót do zdrowia będzie długi i wymagający. Rodzina nie chce się wypowiadać publicznie. Poprosiła o uszanowanie prywatności. Specjalistyczny Szpital Miejski im. Mikołaja Kopernika w Toruniu wydał w tej sprawie komunikat: „Uprzejmie informujemy, że dane osobowe dotyczące stanu zdrowia pacjentów – zarówno osób publicznych, jak i prywatnych – objęte są ścisłą ochroną prawną. Zgodnie z przepisami ustawy z dnia 6 listopada 2008 r. o prawach pacjenta i Rzeczniku Praw Pacjenta, każdemu pacjentowi przysługuje prawo do poszanowania intymności i godności oraz do zachowania w tajemnicy wszelkich informacji związanych z jego zdrowiem, diagnozą, leczeniem i danymi osobowymi. Dodatkowo na podstawie Rozporządzenia Parlamentu Europejskiego i Rady (UE) 2016/679 (RODO) dane osobowe dotyczące zdrowia stanowią szczególną kategorię danych osobowych. Ich przetwarzanie, w tym udostępnianie, jest co do zasady zgodnie z art. 9 powyższego aktu prawnego niedozwolone bez wyraźnej zgody osoby, której te dane dotyczą lub innej wyraźnej podstawy prawnej. W związku z tym szpital nie udziela żadnych informacji o stanie zdrowia pacjentów mediom, opinii publicznej, ani osobom postronnym czy nieupoważnionym – chyba że istnieje jednoznaczna, pisemna zgoda pacjenta lub jego prawnego przedstawiciela. Apelujemy do przedstawicieli mediów i społeczeństwa o respektowanie konstytucyjnego prawa pacjentów i członków ich rodziny do prywatności i powstrzymanie się od działań mogących naruszać ich dobra osobiste. Wszelkie zapytania prasowe będą rozpatrywane wyłącznie w granicach obowiązujących przepisów prawa, z pełnym poszanowaniem praw pacjenta i innych osób".

24-letnia Klaudia K. to doktorantka w Szkole Doktorskiej Nauk Humanistycznych, Teologicznych i Artystycznych UMK w Toruniu. Kobieta rozpoczęła studia doktoranckie w tym roku akademickim. Jak mówią nam jej znajomi, wcześniej z sukcesami studiowała filologię angielską. Była m.in. na stażu w Hongkongu.

MIASTO W SZOKU

Mieszkańcy Torunia są wstrząśnięci. Park Glazja to miejsce lubiane przez studentów, rodziny z dziećmi, rowerzystów. „Nigdy nie słyszałem o tak brutalnym ataku tutaj. To zmienia wszystko" – mówił mediom Krzysztof, mieszkaniec pobliskiego osiedla.

Oświadczenie w sprawie napaści w parku wydał prezydent Torunia. Paweł Gulewski wyraził współczucie poszkodowanej Klaudii oraz jej rodzinie. Podziękował również mężczyźnie, który podjął próbę powstrzymania napastnika i uratowania życia młodej kobiety. Prezydent poinformował, że zwołał spotkanie z przedstawicielami policji, Straży Miejskiej oraz odpowiednich służb miejskich. „Podkreślam, że Toruń jest bezpiecznym miastem. Zdarzenie, które miało miejsce w parku Glazja, choć dramatyczne, nie może rzutować na ogólną ocenę poziomu bezpieczeństwa w naszym mieście" – zaznaczył Gulewski. Dodał też, że służby miejskie oraz policja podjęły intensywne działania mające na celu zapewnienie mieszkańcom większego poczucia bezpieczeństwa.

CORAZ WIĘCEJ MIGRANTÓW W POLSCE

Kilka dni po ataku odbył się spontaniczny protest, w którym uczestniczyło ok. 200 osób. Pochód przeszedł od pomnika Mikołaja Kopernika na Rynku Staromiejskim do miejsca w parku Glazja, gdzie doszło do napaści. Uczestnicy protestu przeciwstawiali się imigracji.

Przypomnijmy, że unijny pakt w sprawie migracji i azylu ma zacząć obowiązywać w połowie 2026 r. Przepisy zawierają tzw. mechanizm obowiązkowej solidarności, który zakłada rozlokowanie co roku co najmniej 30 tys. migrantów. Państwa, które nie będą chciały rozpatrzyć ich wniosków o azyl (co może, ale nie musi się skończyć ich przyjęciem), będą musiały zapłacić 20 tys. euro za każdy nierozpatrzony wniosek lub zapewnić tzw. alternatywne środki solidarnościowe, takie jak np. delegowanie personelu.

Rząd oficjalnie twierdzi, że nie wdroży paktu. Jednak rzecznik Komisji Europejskiej Markus Lammert, który na

Fot. PAP

eprasa.pl 2c3697ce2f

początku lutego został zapytany o to, kiedy KE oceni, czy Polska jest jednym z krajów znajdujących się pod presją migracyjną i czy zgodnie z paktem pozwoliłoby to na wyłączenie jej z mechanizmu obowiązkowej solidarności, odpowiedział: „Prawo UE jest wiążące dla państw członkowskich i pakt migracyjny w związku z jego wejściem w życie jest obowiązującym prawem".

Pakt migracyjny to nie wszystko. W kwietniu portal Interia podał, powołując się na oficjalne dane otrzymane od niemieckiej policji, że w ciągu 14 miesięcy (lata 2024 i 2025) Niemcy na podstawie obowiązujących procedur, m.in. rozporządzenia Dublin III, zawróciły do Polski ponad 10 tys. migrantów. Gdy w kampanii wyborczej słyszeliśmy od polskich polityków koalicji rządzącej, że nie będziemy przyjmować nielegalnych migrantów, niemieckie media chwaliły Polskę za przyjmowanie odsyłanych do naszego kraju migrantów. Poseł PiS Paweł Jabłoński opublikował w sieci fragmenty tekstu niemieckiej gazety „BZ", w którym Niemcy narzekają na Włochów i chwalą Polskę. „Włochy przyjęły od nas tylko czterech migrantów" – skarżyli się Niemcy, z kilku tysięcy, których im zaproponowano. „BZ" jednocześnie chwali rząd Tuska: „Polska jest zupełnie inna – przyjmują każdego".

MIGRACJA ZAGROŻENIEM DLA BEZPIECZEŃSTWA?

Z holenderskich badań opublikowanych m.in. przez PAP wynika, że osoby o pochodzeniu migracyjnym spoza Europy ponadtrzykrotnie częściej popełniają przestępstwa. W 2021 r. 2,4 proc. Holendrów pochodzących z pozaeuropejskich krajów migracyjnych było podejrzanych o popełnienie przestępstwa, wśród rodowitych Holendrów współczynnik ten był ponadtrzykrotnie niższy (0,7 proc.).

„Analizując poziom przestępczości w różnych grupach pochodzenia okazuje się, że osoby o pochodzeniu migracyjnym spoza Zachodu są nadreprezentowane w statystykach dotyczących przestępczości" – komentował dr Edwin Kruisbergen, specjalista ds. przestępczości w Ministerstwie Sprawiedliwości i Bezpieczeństwa. Wskazywał on jednocześnie, iż nie tylko częściej popełniają oni przestępstwa, lecz także częściej padają ich ofiarami niż rdzenni Holendrzy. Jednocześnie aż 44 proc. Algierczyków było podejrzanych o popełnienie w 2022 r. przestępstwa – wynika z opublikowanego w czerwcu 2023 r. raportu instytutu badawczego tamtejszego resortu sprawiedliwości. W 2022 r. o 38 proc. wzrosła liczba incydentów i przestępstw popełnionych przez osoby przebywające w ośrodkach dla azylantów prowadzonych przez Centralną Agencję ds. Przyjmowania Osób Ubiegających się o Azyl (COA).

Okazuje się, że stopień zaangażowania w działalność przestępczą znacząco różni się między ubiegającymi się o prawo pobytu w Niderlandach narodowościami. Największe kłopoty sprawiają młodzi mężczyźni z Afryki Północnej, którzy mają niewielkie szanse na otrzymanie prawa pobytu. Na czele zestawienia znajdują się też osoby narodowości algierskiej, Marokańczycy oraz Tunezyjczycy.

Mówiąc o przestępczości wśród migrantów, nie sposób nie wspomnieć o dramatycznym sylwestrze z 2015 r. w Kolonii. Tak relacjonowała te zdarzenia niemiecka Deutsche Welle: „»Setki mężczyzn«, »wiele rąk na pośladkach, piersiach, w torbach«, »palce wpychane między nogi«, »zdzierane z ciała ubrania«" – takie szczegóły pojawiają się w relacjach ofiar sylwestrowej nocy 2015 r. w Kolonii. Policja była bezradna wobec brutalnych ataków. Jeszcze na długo przed północą było wiadomo, że ok. 200 policjantów przydzielonych w okolice głównego dworca kolejowego nie zapanuje nad sytuacją. W godzinach szczytu na placu między dworcem a katedrą przebywało do 1,5 tys. osób. Policja obawiała się wybuchu masowej paniki. Ok. północy zaczęła usuwać tłumy z placu między katedrą a dworcem. To dodatkowo ułatwiło sprawcom molestowanie i okradanie ofiar. Jeszcze w sylwestra na policję zgłaszały się pierwsze ofiary molestowania seksualnego i kradzieży. Mówiły, że zostały otoczone przez grupę mężczyzn i dotykane w intymnych miejscach, a potem okradane. Ginęły telefony, portmonetki, biżuteria. Sprawcy mieli „cudzoziemski wygląd" i „mówili po arabsku". Wiele ofiar zgłosiło się na policję dopiero po upływie kilku dni. Łącznie kolońska policja odnotowała 1205 zawiadomień o przestępstwie. W 509 przypadkach napad miał podłoże seksualne, a w 28 chodziło o gwałt lub próbę gwałtu – czytamy na stronach „DW".

> 19-letni Wenezuelczyk mieszkał w Polsce od lutego 2025 r. Przyjechał do matki. Nie pracował, nie studiował, większość czasu spędzał w domu, grając na konsoli. W chwili zatrzymania miał ponad 1,2 promila alkoholu we krwi

Warto też zwrócić uwagę na dane Europolu dotyczące wzrostu ataków terrorystycznych w państwach UE. Europol co roku publikuje sprawozdanie, w którym analizuje najnowsze tendencje, zagrożenia i działania związane z różnymi rodzajami terroryzmu. Informacje pochodzą z krajów Unii, partnerów Europolu i publicznie dostępnych źródeł. Sprawozdanie z 2024 r. zostało przedstawione Komisji Spraw Wewnętrznych Parlamentu Europejskiego w styczniu 2025 r. przez Jeana-Philippe'a Lecouffe'a, zastępcę dyrektora wykonawczego w Dziale Operacyjnym Europolu. Zgodnie ze sprawozdaniem w 2023 r. w UE odnotowano 120 ataków terrorystycznych, w tym 98 przeprowadzonych skutecznie, 9 nieudanych i 13 udaremnionych. To gwałtowny wzrost w porównaniu z 2022 r., kiedy było 28 ataków i z 2021 r, gdy było ich 18.

eprasa.pl 2c3697ce2f

Wojna Izraela z Iranem zmieni cały świat

Celem tej wojny jest likwidacja irańskiego programu nuklearnego. Ale możliwy scenariusz stanowi także upadek reżimu ajatollahów. A to oznaczałoby globalne przemeblowanie układu sił, zdecydowanie wzmacniając pozycję Ameryki

MAREK BUDZISZ

„Izrael odwala brudną robotę w sprawie Iranu także za nas" – powiedział w rozmowie ze stacją telewizyjną ZDF w kuluarach szczytu G7 Friedrich Merz. „Też jesteśmy ofiarami tego reżimu. Ten reżim mułłów przyniósł światu śmierć i zniszczenie" – dodał. Zauważył też, że jeśli Teheran jest gotów ponownie usiąść do stołu rokowań i zrezygnować z kontynuacji programu nuklearnego, nie ma potrzeby kontynuowania nalotów. Jeśli jednak, w opinii niemieckiego kanclerza, nie widać takiej postawy, to „całkowite zniszczenie irańskiego programu nuklearnego" może być na porządku dnia.

O CO TOCZY SIĘ TA WOJNA?

Wypowiedź Merza w precyzyjny sposób pokazuje, o co toczy się wojna między Izraelem i Iranem. Jej stawką nie jest „rezygnacja" z dążenia do posiadania broni jądrowej, co po dwóch dniach nalotów oferował szef irańskiej dyplomacji, ale całkowity koniec programu wzbogacania materiałów rozszczepialnych. Porozumienie, które mogłoby zakończyć wojnę, musi oznaczać oddanie przez Iran posiadanych zasobów, zapasów surowców oraz likwidację służących temu zakładów i instalacji. Nie musi oznaczać rezygnacji z cywilnego programu energetyki jądrowej, bo Teheran może zaopatrywać się w pręty paliwowe w Rosji, co zresztą zaproponował Putin w ramach swej misji mediacyjnej. Problem polega na tym, że Iran odrzuca tego rodzaju porozumienia, a wraz z upływem czasu i postępującymi zniszczeniami rośnie stawka tej wojny. Lada moment będzie się ona toczyć o zniszczenie rządów mułłów i obalenie istniejącej od 1979 r. republiki islamskiej, do czego otwarcie wezwał zresztą Irańczyków w swym publicznym wystąpieniu premier Netanjahu.

CO ZROBI TRUMP?

Po pierwszym dniu szczytu państw G7, który odbywał się w kanadyjskim Kananaskis, sytuacja wokół Iranu zaczęła przyspieszać, a pętla – zaciskać się. Donald Trump niespodziewanie opuścił spotkanie i nocą zwołał posiedzenie przedstawicieli resortów siłowych, amerykańskich służb specjalnych i dyplomacji w „pokoju sytuacyjnym", w którym posiedzenia odbywają się zazwyczaj wtedy, kiedy Ameryka planuje użycie siły. Niedługo potem pasjonaci lotnictwa odkryli, że z amerykańskich lotnisk wystartowało wiele samolotów cystern i skierowało się do włoskiego Aviano oraz hiszpańskiej bazy w Morón. W tym samym czasie wiceprezydent J.D. Vance napisał w sieciach społecznościowych, że prezydent Donald Trump zachował „godną uwagi

Fot. BERNO/SIPA/SIPA/East News

eprasa.pl 2c3697ce2f

powściągliwość" w kwestii irańskiego programu nuklearnego, ale w każdej chwili może podjąć decyzję, że potrzebne jest „dalej idące działanie" w tej sprawie.

Zapowiedzi te zostały odczytane w kategoriach deklaracji o możliwości przyłączenia się USA do wojny, by zadać decydujący cios, zarówno uśmiercając program nuklearny Teheranu, jak i być może obalając reżim ajatollahów. Taką opcję publicznie proponował Israel Katz, minister obrony Izraela, który – podkreślając, że izraelskie lotnictwo rzeczywiście kontroluje przestrzeń powietrzną nad Iranem – stwierdził również, że „droga do Teheranu została otwarta". Oczywiście nie musi to oznaczać inwazji sił lądowych, ale eksperci rozważają wysłanie oddziałów marines, którzy wraz z obecnymi już w Iranie izraelskimi siłami specjalnymi mogliby zarówno wziąć na cel przedstawicieli chwiejącego się obozu władzy, jak i unieszkodliwić irańskie instalacje jądrowe.

Niedługo po deklaracjach J.D. Vance'a Donald Trump napisał w sieciach społecznościowych o „bezwarunkowej kapitulacji", co można interpretować, że podjął decyzję zarówno o ewentualnym zaangażowaniu się USA w wojnę przeciw Iranowi, jak i dążeniu do obalenia państwa islamskiego. Amerykański prezydent napisał też, że jego dotychczasowa cierpliwość „wyczerpuje się", dodając przy tym, że irański przywódca staje się łatwym celem i Biały Dom zna miejsce, w którym się schronił.

Na kalkulacje Donalda Trumpa mogły wpłynąć potwierdzone przez Agencję Reutera w pięciu niezależnych źródłach informacje o sukcesach Izraela, któremu udało się „zdziesiątkować" w wyniku precyzyjnych ataków otoczenie ajatollaha Alego Chamenei. W ciągu kilku dni 86-letni duchowy przywódca Iranu stracił ok. 15–20 zaufanych doradców, wśród których byli wojskowi wyższych rang, politycy i duchowni, zabici w wyniku precyzyjnych uderzeń izraelskiego lotnictwa lub zamachów przeprowadzanych przez siły specjalne. To powoduje, że „mózg" irańskiego państwa został poważnie osłabiony, a niektóre jego funkcje – sparaliżowane. Teheran nie jest też w stanie w zorganizowany sposób odpowiadać na nasilające się uderzenie i rośnie ryzyko popełnienia przezeń błędów strategicznych.

Jak oświadczył gen. Daniel Hagari, rzecznik prasowy sił zbrojnych, w ciągu trzech pierwszych dni Izrael zaatakował 720 celów na terenie Iranu, co oznacza zdolność do prowadzenia niezagrożonych uderzeń z powietrza. To może z kolei ułatwić Amerykanom podjęcie decyzji o wejściu do gry, tym bardziej że zdaniem specjalistów bez ich zaangażowania trudno jest zniszczyć irańskie centrum nuklearne w Fordow, które zbudowano głęboko pod ziemią, drążąc tunele w górze stanowiącej naturalną ochronę przez nalotami. Bez użycia specjalnych bomb burzących GBU-57 F/B o wadze 13,6 t zbudowanych przez koncern Boeing, które mogą penetrować ziemię i niszczyć bunkry znajdujące się na głębokości 60 m, Izrael ma małe szanse, aby zniszczyć irańskie instalacje nuklearne.

O tym, że Amerykanie mają zamiar zaangażować się w końcową fazę starcia i w ten sposób „dobić" irański reżim, może też świadczyć skierowanie w rejon Bliskiego Wschodu drugiej grupy okrętów, w tym lotniskowca Nimitz i trzech niszczycieli rakietowych. Znajdowały się one na Morzu Południowochińskim, a gorącym zwolennikiem ich redyslokacji miał być gen. Kurilla, dowódca odpowiadający m.in. za Central Command na Bliskim Wschodzie, wcześniej uczestniczący też w rokowaniach w sprawie irańskiego programu rozbrojeniowego. Jak donoszą media, przeciwnikiem osłabiania obecności wojskowej wokół Tajwanu miał być Elbridge Colby, człowiek nr 3 w Pentagonie, który uważał, iż tego rodzaju ruch osłabia Amerykanów w rejonie Indo-Pacyfiku i może skłonić Chińczyków do przyspieszenia rozgrywki o Tajwan. Lotniskowiec Nimitz potrzebuje tygodnia, aby dotrzeć w rejon Bliskiego Wschodu, co oznacza, że w tym czasie może się rozstrzygnąć zarówno przyszłość Iranu, jak i zmienić relacja sił między USA a Chinami.

OKRĄŻANIE IRANU

Zmiany w Teheranie osłabiają Pekin, mają też istotne znaczenie z punktu widzenia Indii, niedawno uwikłanych w krótką wojnę z Pakistanem. Asim Munir, dowódca pakistańskich sił zbrojnych i człowiek uchodzący za najpotężniejszego w tamtejszej polityce, w ubiegłym tygodniu przebywał w Ameryce, jadł nawet lunch z prezydentem Trumpem. Jego wizyta jest interpretowana w kategoriach sygnału o gotowości osłabienia silnych związków Islamabadu i Pekinu, choć nie ma mowy o zmianie sojuszy strategicznych, ale może być odczytana jako element amerykańskiego planu „okrążenia" Iranu.

Zwolennikiem kooperacji z Pakistanem jest gen. Kurilla, który publicznie mówił o „fenomenalnej współpracy" i wspólnej walce z zagrożeniem związanym z odradzaniem się ISIS. Jest to o tyle istotne, że niektórzy politycy Zachodu, choćby prezydent Macron, publicznie przestrzegają przed obaleniem reżimu ajatollahów, bo ich zdaniem efektem tego nie będzie przejście Iranu do umownego obozu Zachodu, a raczej wojna domowa, chaos i odrodzenie się radykalnych ruchów islamistycznych.

Amerykańsko–pakistańskie rozmowy mają też znaczenie z innych powodów. Jak powiedział dziennikowi „The Financial Times" Maleeha Lodhi, były ambasador Pakistanu w Stanach Zjednoczonych, „nie ma równoważności w stosunkach Pakistanu z USA i Chinami. Strategicznym priorytetem Pakistanu są jego stosunki z Chinami. Dzieje się tak, ponieważ Chiny zaspokajają zarówno potrzeby ekonomiczne, jak i obronne Pakistanu". Oceny te potwierdzają ostatnie doniesienia o planach zakupu przez Islamabad w Chinach „trzech tuzinów" myśliwców J-35, które sprawdziły się w czasie ostatniej wojny z Indiami lepiej, niż się spodziewano. Tego rodzaju transakcja będzie oznaczać, iż Pekin utrzyma swą pozycję największego dostawcy sprzętu wojskowego dla Pakistanu i najważniejszego partnera handlowego tego kraju, budującego też wielki kompleks portowy Gwadar.

Paradoksalnie Amerykanom może nie przeszkadzać chińsko-pakistański sojusz strategiczny, bo jego funkcjonowanie może ułatwić decyzję Pekinu o nieangażowaniu się w rozgrywkę o przyszłość Iranu. To, jak dalej potoczą się wydarzenia wokół Iranu, może zależeć od decyzji Xi Jinpinga.

eprasa.pl 2c3697ce2f

SŁABE CHIŃSKIE WSPARCIE

Brytyjski dziennik „The Telegraph" donosił o trzech dużych chińskich samolotach transportowych, które już po wybuchu wojny wyleciały z Chin i „zniknęły z radarów" w okolicach Iranu, znajdując się w przestrzeni powietrznej Uzbekistanu. Spekuluje się, że mogły one mieć na pokładzie pomoc wojskową, w tym rakiety, którymi Iran ostrzeliwuje Izrael. Skala dotychczasowych ataków odwetowych wymierzonych zarówno w Tel-Awiw oraz okoliczne miejscowości, jak i w Hajfę, choć bolesnych, okazała się mniejszą, niż się spodziewano. Uważa się, że głównie dlatego, iż izraelskie lotnictwo, tropiąc magazyny z irańskimi rakietami, skoncentrowało wysiłki na niszczeniu wyrzutni. Jak deklarowali przedstawiciele izraelskich sił zbrojnych, do tej pory udało się wyeliminować ich ok. 200. Według ocen zachodnich analityków przed wojną Iran miał ich ok. 340, co może wyjaśniać mniejszą intensywność uderzeń na cele w Izraelu. Trzy chińskie samoloty transportowe z bronią, nawet jeśli potwierdzą się informacje o ich przybyciu do Iranu, z pewnością nie wpłyną na równowagę sił i nie świadczą o zaangażowaniu Chin na masową skalę. To mogłoby sugerować, że ostrożny Xi Jinping nie zaryzykuje i będzie obserwował rozwój wydarzeń.

OSŁABIONY PUTIN

A co na to Putin? Z pewnością Rosja nie jest zadowolona z rozwoju wypadków, tym bardziej że w styczniu rosyjski prezydent podpisał ze swym irańskim odpowiednikiem pakt „o partnerstwie strategicznym", w którym jest też mowa o „pogłębieniu współpracy wojskowej". Upadek reżimu w Teheranie nie tylko ośmieszyłby Moskwę, lecz przede wszystkim pokazałby liderom orientujących się na Rosję państw afrykańskich i latynoamerykańskich, że jej gwarancje mają w istocie „papierowy charakter", a na realną pomoc nie ma co liczyć. Te straty reputacyjne, zwłaszcza po upadku reżimu Asada w Syrii, na utrzymanie którego Rosjanie wydali miliardy w ostatnich latach, będą miały negatywne konsekwencje dla bliskowschodniej pozycji Moskwy.

Co więcej, w kanałach informacyjnych na platformie Telegram jest mnóstwo doniesień, jakoby izraelskie myśliwce miały też startować z Azerbejdżanu, od czasów wojny z Armenią utrzymującego bardzo bliskie relacje z Izraelem. Baku oficjalnie temu zaprzeczyło, a nawet zdecydowało się na otwarcie zamkniętych od czasu pandemii przejść granicznych z Iranem, by ułatwić ewakuację obywateli Federacji Rosyjskiej. Sytuację komplikuje fakt, że w północnych prowincjach Iranu mieszka – według różnych szacunków – 6,5–20 mln Azerów. Stanowią oni największą mniejszość etniczną o wyraźnie ukierunkowanych sympatiach, o czym świadczyły proazerskie demonstracje nad graniczną rzeką Araks w czasie wojny z Armenią. Jeśli centralistycznie nastawiona władza w Teheranie upadnie lub ulegnie znacznemu osłabieniu, to separatystyczne nastroje wzrosną, co może otworzyć drogę do utworzenia „wielkiego Azerbejdżanu", a z pewnością wzmocni znaczenie Turcji i orbitujących wokół niej państw z tej samej grupy językowej na południowym Kaukazie.

> O tym, że Amerykanie mają zamiar zaangażować się w końcową fazę starcia i w ten sposób „dobić" irański reżim, może też świadczyć skierowanie w rejon Bliskiego Wschodu drugiej grupy okrętów, w tym lotniskowca Nimitz i trzech niszczycieli rakietowych

Rosja nie chce takiego obrotu spraw, bo mimo bombastycznych deklaracji o współpracy z Baku i Ankarą, a także państwami Azji Środkowej, w istocie w regionie ma miejsce brutalna walka o wpływy. Turcja zawiera sojusze wojskowe, a osłabiona w wyniku wojny z Ukrainą Rosja jest powoli, ale systematycznie wypierana. Z tego powodu Putin zaproponował „pośrednictwo w rozmowach", których nieskrywanym celem ma być utrzymanie w Iranie reżimu ajatollahów. Kreml chce też stać się gwarantem tego, iż Teheran nie powróci na drogę wzbogacania uranu, proponując, że przejmie będące w posiadaniu Iranu zasoby wzbogaconych materiałów rozszczepialnych i w przyszłości będzie dostawcą prętów paliwowych do zastosowań w energetyce cywilnej.

Te propozycje, które jeszcze kilka tygodni temu mogły się okazać przełomowe, teraz przez nikogo nie są brane na poważnie, bo gra toczy się o coś zupełnie innego i na innym poziomie. Kreml, który przez lata ogniskował swą politykę zagraniczną na przeciwdziałaniu „kolorowym rewolucjom", może się znaleźć w sytuacji, kiedy zostanie zmuszony do pogodzenia się z faktem, że wśród sojuszniczych państw w czasie nieco więcej niż pół roku miały miejsce już dwie, które obaliły zaprzyjaźnione reżimy.

* * *

Jak spekuluje zachodnia prasa, wszystko rozstrzygnie się w ciągu najbliższego tygodnia, ale to, co już się stało, nawet jeśli stary reżim w Iranie się utrzyma, będzie miało geostrategiczne skutki, które można porównać jedynie z regionalnym trzęsieniem ziemi. Natomiast jeśli islamska republika upadnie, to w Waszyngtonie zwycięży pogląd, że najlepszą opcją na przyszłość jest posiadanie uzbrojonych i zdolnych do działania sojuszników, takich jak Izrael, którzy będą w stanie samodzielnie, przy niewielkim wsparciu Waszyngtonu, rozstrzygać lokalne konflikty.

Na to też wyraźnie gra Merz, którego wypowiedzi świadczą o tym, że chce, aby Berlin odzyskał rolę najlepszego sojusznika USA w Europie, państwa, które się zbroi i wydaje najwięcej, ale w zamian ma wolną rękę, aby według własnego uznania ułożyć sprawy na naszym kontynencie.

eprasa.pl 2c3697ce2f

Kamień z serca

W centrum Berlina miał powstać pomnik polskich ofiar niemieckiej okupacji. Zamiast tego jest ważący 30 t głaz z meklemburskiego kamieniołomu. Niech służy jako świadectwo stosunków polsko-niemieckich

ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Jesienią 2017 r. powstała inicjatywa na rzecz upamiętnienia polskich ofiar niemieckiej okupacji w latach 1939–1945. Wsparły ją liczne osobistości niemieckiego społeczeństwa obywatelskiego, polityki, nauki i kultury.

Głównym pomysłodawcą był architekt i urbanista Florian Mausbach, emerytowany szef Federalnego Urzędu Budownictwa. Chciał on, by pomnik stanął na pl. Askańskim w centrum niemieckiej stolicy, nieopodal ruin zburzonego w czasie wojny dworca kolejowego. Miał on przypomnieć Niemcom, że Polska podczas okupacji była nie tylko miejscem zagłady europejskich Żydów, lecz także iż bombardowania, deportacje i masowe egzekucje były skierowanie przeciwko Polakom – jako państwu, społeczeństwu i narodowi.

Inicjatywa trafiła do Bundestagu i została przemielona przez niemiecką maszynę polityki historycznej. Dziś, prawie osiem lat później, pomnika wciąż nie ma. Jest za to kamień. Ważący 30 t, przywieziony z kamieniołomu w Meklemburgii-Pomorzu Przednim, stanął między Reichstagiem a urzędem kanclerskim w miejscu dawnej Opery Krolla, gdzie w 1939 r. Hitler ogłosił zbrojną napaść na Polskę.

16 czerwca br. został uroczyście odsłonięty w obecności polskiej minister kultury Hanny Wróblewskiej, która w wymiętym stroju i zabrudzonych trampkach wyglądała, jakby została wysłana do Berlina za karę, i to w ostatniej chwili.

WYOSTRZENIE SUMIENIA

Niemieckie władze są dumne z kamienia, co dziwi tym bardziej, że wcale go nie chciały. To, że jest, wynika wyłącznie z zaangażowania inicjatorów powstania pomnika, sfrustrowanych brakiem postępu w jego realizacji. Z polskiego punktu widzenia kamień może wygląda śmiesznie, ale z perspektywy Mausbacha stanowi postęp, bo choć to nie pomnik, jest lepszy niż nic. By przynajmniej jeszcze za życia ostatnich świadków tamtej epoki symbolicznie uczcić ofiary.

Różni niemieccy oficjele pospieszyli więc wychwalać „tymczasowe" miejsce pamięci, zapewniając, że nie zapomną o niemieckich zbrodniach na Polakach. Pełnomocnik rządu federalnego ds. kultury i mediów Wolfram Weimer orzekł, że kamień jest symbolem ciężaru historii. „Napis na nim w języku niemieckim i polskim jest rodzajem przysięgi" – mówił. „Cierpienie narodu polskiego, które miało swój początek na ziemi niemieckiej, nigdy nie powinno zostać zapomniane" – dodał.

Takich wzniosłych deklaracji niemieckich polityków było więcej. Portal RND cytował koordynatora rządu Niemiec ds. współpracy z Polską Knuta Abrahama, który stwierdził, że odsłonięcie kamienia stanowi dowód na to, że „Niemcy w końcu znalazły drogę, aby upamiętnić napaść na Polskę i okupację sąsiedniego kraju podczas II wojny światowej". Były szef MSZ Niemiec Heiko Maas zapewniał zaś Polaków o tym, „jak ważni są dla Niemców". Gazety tymczasem pisały o „wyostrzeniu sumienia" Niemców i „godnym" upamiętnieniu

Fot. MKIDN

eprasa.pl 2c3697ce2f

(„Der Tagesspiegel") oraz o „wielkiej nadziei" na powstanie Domu Polsko-Niemieckiego („Die Tageszeitung").

KONIEC KONIUNKTURY

Z tą nadzieją raczej nie należy przesadzać, w każdym razie jeśli chodzi o trwałe miejsce pamięci. Nie da się ukryć, że dużej części niemieckich elit od początku było nie po drodze z pomysłem pomnika. Argumenty (polityków i historyków) przeciw sięgały od rzekomej „relatywizacji" wyjątkowości zbrodni Holokaustu, „konkurencji ofiar", bo Ukraińcy i Białorusini też będą chcieli swoje pomniki, po „nacjonalizację" historii oraz „przysparzanie sukcesów populistom", czyli PiS. Gdzieś w tle byli jeszcze wypędzeni, którzy wprawdzie stracili za Odrą na politycznym znaczeniu, bo jest ich po prostu coraz mniej, ale wciąż stanowią część wyborczej bazy CDU, a od niedawna AfD.

Nic więc dziwnego, że początkowy entuzjazm dla pomnika uległ w Niemczech wyraźnemu ostudzeniu. Jak w 2020 r. podkreślił historyk prof. Krzysztof Ruchniewicz w wywiadzie dla „Deutsche Welle", koniunktura na pomniki za Odrą „się skończyła". A ci, którzy mieli go realizować, w tym Peter Oliver Loew, dyrektor Niemieckiego Instytutu Spraw Polskich w Darmstadt, zadeklarowali, że pomniki to takie miejsca „zrzutu wieńców". Coś zbędnego, niemodnego.

Wydaje się, że skończyła się koniunktura na pamięć o niemieckich zbrodniach. Niemiecka polityka historyczna od lat rozwija się w kierunku tropienia objawów prawicowego ekstremizmu we współczesnej polityce (niemieckiej, ale nie tylko) pod hasłem: „Niech się to nigdy więcej nie powtórzy!". Ważne są wnioski, które możemy wyciągnąć z przeszłości, a nie sama przeszłość. Ta została już przepracowana – bez względu na to, co myślą o tym Polacy. Dlatego z punktu widzenia Berlina dyskusja o reparacjach jest tak niewygodna, wręcz bezsensowna. W latach 90. XX w. może była moda na pomniki i reparacje. Nie załapaliście się, Polacy? Trudno. Za późno.

Jest natomiast moda na centra edukacyjne, uświadamianie młodzieży i dialog bilateralny. W tę modę znakomicie się wpisuje Dom Polsko-Niemiecki, który ma powstać obok pomnika.

DOPIEŚCIĆ POLAKÓW

A co będzie w tym domu? Jak powiedziała Claudia Roth, za rządów SPD, Zielonych i FDP minister kultury, oprócz upamiętniania zbrodni na Polakach, „tysiącletniego sąsiedztwa obu narodów" będzie tam trochę o Solidarności, o „wieloetnicznych" miastach, takich jak Gdańsk, lub regionach, takich jak Śląsk czy Mazury, trochę o migracjach z i do Niemiec, o polsko-niemieckim pojednaniu oraz integracji obu krajów z UE i NATO. No i oczywiście o przyszłości, wspólnym kształtowaniu Europy itd. Przy okazji Niemcy mają zyskać wiedzę o swojej przeszłości, a „Polacy dowiedzieć się czegoś nowego o sobie".

> Pełnomocnik ds. współpracy z Polską Knut Abraham dwa tygodnie przed odsłonięciem kamienia, z którego był taki dumny, podkreślił, że temat reparacji „jest prawnie zamknięty"

Symboliczny kamień, efemeryczny pomnik i dom spotkań, w którym młodzież będzie się mogła dowiedzieć, jak dobrze żyło się razem Polakom i Niemcom (z wyjątkiem krótkiego, trwającego 12 lat nieprzyjemnego epizodu) – oto stan polsko-niemieckich relacji i świadectwo stosunku Niemców do własnych zbrodni.

A reparacje? Ten sam pełnomocnik ds. współpracy z Polską Knut Abraham dwa tygodnie przed odsłonięciem kamienia, z którego był taki dumny, podkreślił, że temat reparacji „jest prawnie zamknięty". Macie więc kamień, drodzy Polacy, może w przyszłości, za jakieś 10, 20 lat pomnik i dom spotkań, i to powinno wam wystarczyć. A reparacje? Nie ma mowy. Bo tak to będzie wyglądało. Kamień zamiast 1,3 bln euro za straty poniesione w wyniku II wojny światowej. Zresztą zdaniem redaktora naczelnego „Berliner Zeitung" Tomasza Kurianowicza „Polacy szukają zastępczych dyskusji, aby zwrócić na siebie uwagę, domagać się szacunku". Wystarczy ich pogłaskać po główce, pochwalić za ich – jak zaznaczył – „sukces gospodarczy" i się odczepią. Szczególnie pod rządami liberalnej koalicji z Donaldem Tuskiem na czele, jak mogliśmy przeczytać na łamach portalu nadawcy publicznego ARD. „Liberalna Platforma Obywatelska, rządząca Polską pod przewodnictwem premiera Donalda Tuska, uznaje dobrą wolę Niemców w tej inicjatywie [pomnika – red.]" – twierdzi portal. Ponadto po cichu uznaje niemiecką narrację w sprawie reparacji. Jest więc zapewne gotowa zaakceptować cokolwiek w miejsce odszkodowań, które się Polakom należą.

Ile może kosztować taki pomnik i miejsce spotkań? Kilka milionów? A przez następne dekady Berlin będzie mógł trąbić o swoim pięknym geście, który raz na zawsze powinien zamknąć dyskusję o reparacjach. Prawdziwy kamień z serca, jak napisała na platformie X była premier Beata Szydło.

ONI ZAPOMNIELI, MY PAMIĘTAMY

Tylko tygodnik „Der Spiegel" próbował tłumić entuzjazm Niemców. Według gazety żądania reparacji popiera większość Polaków, nie tylko ci z PiS. „Debata ma nie tylko wymiar prawny i polityczny, lecz także emocjonalny. Za tym nie kryje się chęć odwetu ani zemsty. Obraz Niemiec wśród Polaków, regularnie mierzony w barometrze niemiecko-polskim, jest na to zbyt pozytywny i przyszłościowy. Znacznie bardziej chodzi o głęboko odczuwane poczucie niesprawiedliwości" – czytamy. I to poczucie się nie zmieni – ani przez jakiś kamień, ani pochwały. „Niemcy najwyraźniej w dużej mierze zapomnieli, co zrobili swojemu sąsiadowi podczas II wojny światowej. Polacy nie" – twierdzi gazeta. I długo nie zapomną.

eprasa.pl 2c3697ce2f

Leon XIV zmienia oblicze

Z każdym dniem nowego pontyfikatu uwidacznia się jego kontrast z rządami Franciszka. Nie wywołuje to entuzjazmu środowisk lewicowo-liberalnych

GRZEGORZ GÓRNY

Podstawowe pytanie, jakie zadawali sobie wszyscy w Watykanie po wyborze Leona XIV, brzmiało: czy nowy papież będzie kontynuował linię Franciszka, czy jego pontyfikat zapoczątkuje odwrót od „rewolucji Bergoglia". Minęło jeszcze zbyt mało czasu od konklawe, by o tym przesądzać. Czekamy na dokumenty programowe i kluczowe nominacje Ojca Świętego. Niemniej po pierwszych jego gestach i wypowiedziach można zaryzykować pewne prognozy.

SYMBOLE, ZNAKI, GESTY

Zacznijmy od gestów, ponieważ to one najbardziej zapadają w pamięć. Gdy Leon XIV po raz pierwszy pojawił się przed wiernymi na placu św. Piotra, w odróżnieniu od swego poprzednika był odziany nie w białą sutannę, lecz przewidziany na tę okazję strój pontyfikalny. Nie przywitał zebranych: „Dobry wieczór", lecz słowami Chrystusa. Nie zamieszkał w Domu św. Marty, lecz postanowił przenieść się do Pałacu Apostolskiego. Przesiadł się też z fiata 500L do mercedesa G. Powrócił do porzuconej 12 lat temu tradycji spędzania papieskich wakacji w Castel Gandolfo. Wskrzesił też zarzucony w 2013 r. zwyczaj, że po każdorazowym wyborze biskupa Rzymu wszyscy pracownicy Państwa Watykańskiego otrzymują z tej okazji jednorazową premię (w tym roku w wysokości 500 euro). Pozwala całować się w pierścień rybaka, nie wyrywając wiernym swej dłoni. Zabrania robienia selfie z pielgrzymami. Nie wymienia się piuskami z innymi biskupami. W tym wszystkim różni się od swego poprzednika.

Z poważniejszych spraw: zdjął parasol ochronny Watykanu z dwóch dewiantów seksualnych, bp. Gustava Zanchetty i ks. Marka Rupnika, którzy byli przyjaciółmi Jorgego Maria Bergoglia. Zapowiedział wznowienie zarzuconego 10 lat temu przez Franciszka rytuału osobistego wręczania przez papieża paliuszy nowym arcybiskupom metropolitom. Podczas każdej mszy po konsekracji chleba i wina przyklęka w adoracji, jak przewiduje prawo liturgiczne.

Nic dziwnego, że nagle ostygł entuzjazm lewicowo-liberalnych mediów, które przywitały wybór Roberta Prevosta z nadzieją, że na tronie Piotrowym zasiądzie ktoś w rodzaju Franciszka II. Co prawda regularnie odwołuje się on do swojego poprzednika, ale jest w tym raczej podkreślenie ciągłości pełnienia urzędu niż przywiązanie do programu argentyńskiego papieża. Dużo mówi np. o synodalności, jednak nie precyzując, czy rozumie to pojęcie zgodnie z wielowiekową tradycją Kościoła, czy współczesnymi eksperymentami teologicznymi. Wiadomo jednak, że jako prefekt Dykasterii ds. Biskupów zdecydowanie sprzeciwiał się pomysłom niemieckiej drogi synodalnej.

Wspomniany zwrot papiestwa szybko dostrzegła nawet Agencja Reutera, która depeszę poświęconą inauguracyjnej mszy Leona XIV opatrzyła znamiennym nagłówkiem: „Papież Leon XIV rozpoczął swoje panowanie od zwrócenia się do konserwatystów, którzy czuli się osieroceni pod rządami jego poprzednika, wzywając do jedności, obiecując zachowanie dziedzictwa Kościoła katolickiego i ślubując, że nie będzie rządził jak »autokrata«". Tak odebrano zwłaszcza jego zapowiedź, że będzie rządził, „nie ulegając pokusie stania się samotnym przywódcą czy wodzem wywyższonym nad innych, stając się panem powierzonych mu ludzi".

eprasa.pl 2c3697ce2f

papiestwa

Fot. Fabrizio Maffei/Shutterstock.com

DWA RODZAJE OJCOSTWA

O peronistycznym stylu sprawowania rządów przez Franciszka najwięcej mogliby powiedzieć duchowni kurii watykańskiej i archidiecezji rzymskiej. Przez 12 lat przyzwyczaili się do tego, że są obiektem nieustannej krytyki ze strony papieża, który zarzucał im wszelkie możliwe przewinienia. Podczas spotkania z kurią rzymską 24 grudnia 2014 r. Franciszek powiedział zebranym, że są jak biblijni głupcy, ponieważ nie wierzą, iż kiedyś umrą, albo jak Marta z Ewangelii zajmująca się nie tym, co trzeba, mają serce z kamienia, są sztywni, cierpią na „duchowego Alzheimera" i „egzystencjalną schizofrenię", nie potrafią pracować zespołowo, rywalizują ze sobą, szukają próżnej chwały, prowadzą podwójne życie, są hipokrytami, którzy plotkują, szemrają i podgryzają się nawzajem, zachowując się jak szatan; to karierowicze i oportuniści, którzy nie czczą Boga, lecz własnych przełożonych, licząc na awans, to obojętni na los innych ludzi ponuracy, którzy nie potrafią cieszyć się życiem, gonią za dobrami materialnymi, bo jest w nich wewnętrzna pustka, tworzą zamknięte kliki, ponieważ dążą do władzy itd.

Jeśli była to mowa motywacyjna, to zapewne nie odniosła skutku. Powyższy katalog grzechów przypisanych kurialistom został wymieniony przez Franciszka podczas tylko jednego spotkania, a takich zebrań było znacznie więcej. Wielu duchownych szło na każde z nich niczym na ścięcie. Od 12 lat kapłani pracujący w kurii i archidiecezji rzymskiej przywykli, że są celem nieustannych oskarżeń, jakby samo kapłaństwo było jakąś skazą, a nie stanem, który wymaga wsparcia zwierzchnika, na dodatek mieniącego się ojcem.

Nic więc dziwnego, że pierwsze spotkanie z Leonem XIV przyniosło pozytywną odmianę. Duchowni archidiecezji usłyszeli pod swoim adresem dawno niesłyszane słowa. Na początku papież powiedział: „Chciałbym prosić o wielkie brawa dla wszystkich obecnych i dla wszystkich księży i diakonów Rzymu. Drodzy księża i diakoni, którzy służą w diecezji rzymskiej, drodzy seminarzyści, pozdrawiam was wszystkich z miłością i przyjaźnią! [...] Dziękuję wam za wasze życie poświęcone służbie Królestwa, za wasz codzienny wysiłek, za waszą hojność w wykonywaniu waszej posługi, za wszystko, co przeżywacie w milczeniu, któremu czasami towarzyszy cierpienie lub niezrozumienie. Wykonujecie różne posługi, ale wszystkie są cenne w oczach Boga i w wypełnieniu jego planu".

Następnie Leon XIV zachęcił księży, by dążyli do świętości. Mówił: „Proszę was sercem ojca i pasterza: zobowiążcie się wszyscy do bycia wiarygodnymi i wzorowymi kapłanami! Jesteśmy świadomi ograniczeń naszej natury, a Pan zna nas głęboko, ale otrzymaliśmy niezwykłą łaskę, powierzono nam cenny skarb, którego jesteśmy sługami. A od sługi wymaga się wierności". To zupełnie inny rodzaj duchowego ojcostwa niż ten prezentowany przez Franciszka.

RÓŻNE ROZUMIENIE MAŁŻEŃSTWA

To nie jedyny kontrast między obydwoma papieżami. Powyższy przykład dotyczył sposobu zarządzania Kościołem. W pierwszych tygodniach urzędowania Leona XIV ujawniła się też rozbieżność dotycząca spraw doktrynalnych. Dla przeciętnego katolika być może jest ona nieuchwytna, ale dla watykanistów była aż nadto czytelna.

1 czerwca podczas przemówienia z okazji Jubileuszu Rodzin papież powiedział do małżonków zgromadzonych na placu św. Piotra: „Małżeństwo nie jest ideałem, ale kanonem prawdziwej miłości między mężczyzną a kobietą: miłości całkowitej, wiernej, płodnej". To zdanie zostało odebrane jako wyraźne odejście od linii Franciszka, a zwłaszcza jego adhortacji apostolskiej „Amoris laetitia", w której wyraz „ideał" odgrywa kluczową rolę.

Na czym polega owa różnica? W koncepcji Bergoglia małżeństwo jest ideałem, do którego należy dążyć. Pary żyjące w związkach niesakramentalnych nie spełniają tego ideału, ale znajdują się na drodze, by go osiągnąć. Nie żyją w stanie grzechu, lecz w stanie niedoskonałości, nieadekwatnym do propozycji przedstawionej w Ewangelii. Nie można więc potępiać ich relacji, lecz pomagać ją rozwijać i ulepszać. Zarówno małżeństwa sakramentalne, jak i pary niesakramentalne kroczą zatem po tej samej drodze, ale jedne są bliżej, a drugie nieco dalej od celu. Tak więc również w związkach „nieregularnych" – jak czytamy w „Amoris laetitia" – możemy „odkryć z jakąś pewnością moralną, że jest to dar, jakiego wymaga sam Bóg pośród konkretnej złożoności ograniczeń, chociaż nie jest to jeszcze w pełni obiektywny ideał".

eprasa.pl 2c3697ce2f

Franciszek posunął się jeszcze dalej, gdy 16 czerwca 2016 r. opowiadał o sytuacji w swojej ojczyźnie. Mówił wówczas: „Na wiejskich terenach północno-wschodniej Argentyny pary mają dzieci i mieszkają razem. Biorą ślub cywilny, gdy dziecko idzie do szkoły, a gdy zostają dziadkami, pobierają się w kościele". Następnie dodał: „Widziałem wiele wierności w takich związkach i jestem pewien, że są to prawdziwe małżeństwa. Mają łaskę prawdziwego małżeństwa dzięki swojej wierności". W podobnym tonie wypowiedział się w swoim wystąpieniu do Roty Rzymskiej 25 lutego 2017 r.

Oczywiście powyższe stanowisko jest całkowicie sprzeczne z odwiecznym nauczaniem Kościoła. Przed konsekwencjami takiego podejścia alarmował nieżyjący już kard. Velasio de Paolis, pisząc: „Tym, co jest niedopuszczalne dla prawa moralnego i boskiego, pozostaje właśnie to, że dwie osoby, które nie są małżonkami, żyją w taki sposób. [...] Byłoby to całkowite zniszczenie związku małżeńskiego i rodziny, a całe prawo moralne dotyczące seksualności by upadło".

Taka koncepcja legła jednak u podstaw wywiedzionej z adhortacji „Amoris laetitia" zgody na dopuszczanie do Eucharystii osób rozwiedzionych i utrzymujących relacje seksualne w ponownych związkach. Polemizując z tą ideą, kard. Carlo Caffarra (zmarły w 2017 r.) mówił: „Nierozerwalność, a ogólniej małżeństwo rozumiane w sensie chrześcijańskim, nie jest ideałem, rodzajem celu, do którego należy dążyć i który należy osiągnąć. Chciałbym zobaczyć reakcję żony, której mąż powiedział: »Spójrz, moja wierność tobie jest dla mnie ideałem, do którego staram się dążyć, ale którego jeszcze nie osiągnąłem«".

W tym kontekście staje się zrozumiałe, że Leon XIV opowiada się w owym sporze nie po stronie Franciszka, lecz całej wcześniejszej tradycji Kościoła. Być może nie odrzuci on oficjalnie „Amoris laetitia", lecz dokona jej wykładni w świetle dotychczasowej doktryny katolickiej. Wspomniana adhortacja jest bowiem napisana w tak wieloznaczny sposób, że pozostawia miejsce na różne interpretacje. Nie jest jednak wykluczone, że nowy papież opublikuje własny dokument, w którym skoryguje tezy poprzednika.

KONIEC WOJNY Z TRADYCJONALISTAMI?

Podczas konklawe głównym oczekiwaniem wyrażanym wobec nowego następcy św. Piotra było pragnienie, by doprowadził do jedności w mocno podzielonym Kościele. Jednym z pól konfliktu, które argentyński papież pozostawił swojemu następcy w spadku, jest spór ze środowiskami tradycjonalistycznymi o mszę w nadzwyczajnej formie rytu rzymskiego. W 2021 r. Franciszek wydał list papieski *motu proprio* „Traditionis custodes", w którym radykalnie ograniczył możliwość odprawiania mszy w tym obrządku.

> Podczas przemówienia z okazji Jubileuszu Rodzin Leon XIV powiedział do małżonków zgromadzonych na placu św. Piotra: „Małżeństwo nie jest ideałem, ale kanonem prawdziwej miłości między mężczyzną a kobietą: miłości całkowitej, wiernej, płodnej". To zdanie zostało odebrane jako wyraźne odejście od linii Franciszka, a zwłaszcza jego adhortacji apostolskiej „Amoris laetitia"

Wkrótce po wyborze Leona XIV pojawiła się wiadomość, że bp Michael Martin z Charlotte w USA planuje zakazać na terenie swej diecezji nie tylko mszy trydenckiej, lecz także używania łaciny, balasek, przyjmowania komunii na kolanach czy odmawiania egzorcyzmu Leona XIII, czyli modlitwy do Michała Archanioła. Byłby to pierwszy za obecnego pontyfikatu akt wymierzony w środowiska tradycjonalistyczne.

Nagle sytuacja uległa jednak zmianie. 3 czerwca papież przyjął na audiencji prefekta Dykasterii ds. Kultu Bożego kard. Arthura Roche'a. Jeszcze tego samego dnia bp Martin niespodziewanie ogłosił, że zawiesza swą decyzję do 1 października. Zdaniem niektórych komentatorów istnieje związek przyczynowo-skutkowy między tymi wydarzeniami, a jesienna data nie jest przypadkowa. Do tego czasu jest bowiem spodziewane wydanie przez Leona XIV dokumentu regulującego status mszy trydenckiej w Kościele.

Taki wniosek można wysnuć m.in. na podstawie wypowiedzi kard. Raymonda Burke'a, który po swym niedawnym spotkaniu z papieżem oświadczył: „Mam nadzieję, że położy on kres prześladowaniom wiernych w Kościele, którzy pragną czcić Boga zgodnie z nadzwyczajną formą rytu rzymskiego; prześladowania te pochodzą z wnętrza Kościoła. [...] Oczywiście, miałem już okazję wyrazić to Ojcu Świętemu. [...] Mam nadzieję, że tak szybko, jak to będzie rozsądnie możliwe, podejmie on zbadanie tej kwestii [...], a nawet będzie kontynuował rozwijanie tego, co papież Benedykt XVI tak mądrze i z miłością ustanowił dla Kościoła".

Podsumowując 40 dni pontyfikatu, amerykański publicysta Phil Lawler napisał o Leonie XIV: „Wykazał się dobrą znajomością zasad teologicznych, lecz niechęcią »przesuwania granic«. Jego siła tkwi w prawie kanonicznym: normach, które regulują prawidłowe funkcjonowanie Kościoła powszechnego. A czyż nie tego pragniemy w Kościele katolickim dzisiaj, po latach zamętu i podziałów? Dzięki swojej dyskrecji wykazał już pewną zdolność łagodzenia napięć, demonstrowania i zachęcania do pobożności, a przede wszystkim zwracania uwagi na proste i niezmienne prawdy Wyznania Wiary". Trudno o większy kontrast z Franciszkiem.

eprasa.pl 2c3697ce2f

Karol Nawrocki

Fot. Andrzej Wiktor

J.D. Vance

Fot. Daniel Torok/White House

To nie jest czas na „Bążurów"

W niespokojnych czasach świat potrzebuje wyrazistych liderów, ludzi z krwi i kości. Takich jak Trump, Vance, Meloni, Nawrocki

DARIUSZ MATUSZAK

Już pół roku przed wyborami Karola Nawrockiego, wówczas jeszcze kandydata na kandydata, porównywano do amerykańskiego wiceprezydenta elekta J.D. Vance'a. Podobieństwa nasuwały się same. Obaj wysocy, mierzący 1,88 m (Vance o 2 cm wyższy), potężnie zbudowani niemal równolatkowie – urodzony w 1983 r. Nawrocki o rok starszy, z młodymi małżonkami (rocznik 1986), obaj ze środowisk niepredestynujących do wielkich karier, a wręcz mogących być przeszkodą. Te więzy pokoleniowe mogą się okazać szczególnie cenne, gdyby Vance wygrał wybory prezydenckie w 2028 r. Pewnie oglądali te same filmy na kasetach VHS, słuchali podobnej muzyki, w tym samym czasie wchodzili w świat spraw dla dorosłych, mieli podobnych bohaterów sportowych – choć Vance pewnie nigdy nie zrozumie pasji do piłki nożnej i doświadczeń kibica gdańskiej Lechii, ale tematów do rozmów pozapolitycznych – takich, które budują relacje osobiste – im nie zabraknie.

Najważniejsze są jednak doświadczenia ludzi, którzy z dumą mogą mówić, że wszystko zawdzięczają sobie. Dla takiego jak Vance – czerwonego karczycha (red neck), białego śmiecia (white trash) z patologicznej rodziny, przepijającej życie w jakiejś dziurze w Pensylwanii, dla Nawrockiego – chłopaka z gdańskiego osiedla robotników, ze śmierdzącej potem siłowni i salki bokserskiej, nie przewidziano miejsca na salonach. Ba, tak naprawdę mieli tam zakaz wstępu i wdarli się na nie niemal siłą.

CZŁOWIEK Z NIEMIECKICH KOSZMARÓW

Już po wyborach na to podobieństwo pochodzenia zwrócił uwagę nawet niemiecki historyk prof. Felix Ackermann, który dla dziennika „Frankfurter Allgemeine Zeitung" porównał obu polityków. To szczególnie cenne, ale nie dlatego, że jego pochlebna dla Nawrockiego analiza jest wyjątkowa,

eprasa.pl 2c3697ce2f

ale z tego powodu, że ma „europejski" zasięg i uświadamia Niemcom, z kim będą mieć do czynienia. Vance'a – po jego przemówieniu na monachijskiej konferencji bezpieczeństwa, w którym wiceprezydent zrugał europejskie jaśniepaństwo – już znają. Teraz niech się jeszcze spodziewają twardego zawodnika zza Odry – Nawrockiego.

Być może ta konstatacja po pierwotnie spokojnym przyjęciu wyników wyborów wprawiła niemieckie elity w prawdziwe rozedrganie. Szczególne więzy, jakie przy prezydencie Nawrockim mogą łączyć Polskę z Ameryką Trumpa i Vance'a, zagrażają pozycji Berlina. Do tego dochodzi otwarcie deklarowany sprzeciw wobec przymusowych przesiedleń nielegalnych imigrantów, co jest nazywane paktem migracyjnym, i opór wobec szaleństw Zielonego Ładu. Dla Niemców Nawrocki to prezydent z najgorszych koszmarów – człowiek, którego dotychczasowym najważniejszym działaniem była praca na rzecz pamięci narodu polskiego, stanie po stronie bohaterów i ofiar. Taki prezydent w przeciwieństwie do obecnego rządu nie pozwoli, by kwestie win za zbrodnie II wojny światowej, sprawę reparacji, Niemcy skryli pod 30-tonowym głazem rzuconym gdzieś na posypany żwirkiem czy jakimiś kamykami placyk w Berlinie. I na koniec jeszcze ta germańska buta, owa *superbia teutonica*, która nie pozwala na to, by jakiś nierasowy Europejczyk, byle ochroniarz prezydent z jakiejś tam byle Polski miał wpływ na politykę Starego Kontynentu, NATO, Unii Europejskiej i np. utrudniał wytęsknione deale z Rosją.

To wszystko są tematy na oddzielne opowieści, ale wspominamy o tym dlatego, że to właśnie niemiecki historyk Ackermann tak trafnie porównał Nawrockiego i Vance'a i niewątpliwie wzmógł czujność Berlina. Uświadomił, że nie będą mieli do czynienia z kimś łatwym w tresurze, z kimś, kto będzie składał hołdy jak Adam Bodnar czy Radosław Sikorski. Ackermann wskazał, że „strukturalnym powodem" zwycięstwa Nawrockiego i „porażki wyborczej Platformy Obywatelskiej Donalda Tuska był niewypowiedziany klasizm". Inaczej mówiąc, był to pojedynek lud kontra samozwańcze elity.

W przeciwieństwie do wielu polskich jaśnie oświeconych komentatorów Ackermann docenił też siłę pamięci historycznej, tożsamości narodowej, którą jak w Ameryce wzmocniło delegitymizowanie ludowego kandydata poprzez próby zawstydzania go, wbijania w swoje kompleksy. Znamy tę pedagogikę wstydu. Niemiecki historyk konkluduje, że polska prawica konsekwentnie przyjmuje praktyki trumpowskiego ruchu MAGA, ale Nawrocki nie jest jednak polskim Donaldem Trumpem, „lecz gdańską odmianą wiceprezydenta USA J.D. Vance'a".

Wbrew pozorom Karol Nawrocki ma jednak wiele wspólnego z obecnym lokatorem Białego Domu. Tak naprawdę reprezentuje bowiem – albo też ma wielkie zadatki – nowy typ przywództwa. Trzeba bowiem jakiejś dawki zdrowego szaleństwa, odmienności, braku pokory, by rzucić wyzwanie elitom i je pokonać.

AMERYKAŃSKI NAWROCKI

Po dekadach, które upłynęły od zakończenia II wojny światowej, po upadku bloku sowieckiego obserwowaliśmy znikanie ze sceny politycznej charyzmatycznych postaci,

Giorgia Meloni

Fot. Alessia Pierdomenico/Shutterstock.com

przywódców ludu czy czegoś tak znienawidzonego przez elity, jak naród. Odchodzili żołnierze, konspiratorzy, opozycjoniści walczący z komuną, a ich miejsce zajmowali kierownicy państw i urzędów, administratorzy unijnych prowincji, dworacy czy bezpostaciowe produkty marketingu politycznego. Kolejni prezydenci Francji albo Stanów Zjednoczonych, kanclerze Niemiec, premierzy Belgii, Holandii itd. – wszyscy z niemal takimi samymi życiorysami, z tym samym doświadczeniem. Jakiś staż przy zawodowym polityku, robota działacza partyjnego albo w fundacji czy organizacji pozarządowej, jakieś kursy, stypendia, czasami, jak w przypadku Friedricha Merza czy Emmanuela Macrona, kariera w korporacji i wielkie pieniądze. Na takich placówkach najcięższe obrażenia, jakie można odnieść, to opuchlizna alkoholowa, przyduszenie sproszkowanym węgorzem i suchość w ustach czy kontuzja kręgosłupa od ciągłych ukłonów.

Teraz obserwujemy powrót na scenę polityczną liderów wojowników. W miejsce nudnych eurokratów, urodzonych karierowiczów zaczynają wchodzić ludzie o pokręconych, niejednoznacznych, często budzących emocje życiorysach i doświadczeniach. Tacy, którzy leżeli na deskach, jak Trump bankrutowali, zbierali ciosy i podnosili się, bo wyznawali zasady, które Vance'owi wpoili dziadkowie. Wiceprezydent opisał w swej książce „Elegia dla bidoków", czego uczyła go posiadająca 19 sztuk broni babcia, o której mówił Mamaw, i dziadek – Papaw: „Nigdy nie poddawaj się przeciwnościom losu. Padłeś, to powstań. Kochaj swoją ojczyznę i szanuj tradycyjne wartości, jak wiara, patriotyzm i duma z amerykańskiego stylu życia. Bądź lojalny wobec rodziny i społeczności, bo tego wymaga kultura Appalachów, z której wywodzi się

eprasa.pl 2c3697ce2f

twój ród. Szanuj więzi rodzinne, wspieraj swoich bliskich mimo chaosu w ich własnym życiu". Wypisz, wymaluj nasz Nawrocki.

Dzisiejsi prawdziwi przywódcy są wojownikami. Jest nim Trump, który podnosił się nie tylko po bankructwach, porażkach w wyborach i sądach, lecz także dosłownie, gdy po zamachu stanął z wzniesioną do góry zaciśniętą pięścią i krzyczał: „Walcz, walcz". Jest nim Nawrocki, który brał udział w grupowych pojedynkach i stał jako ochroniarz w sopockim Grand Hotelu, a także Vance, który służył w piechocie morskiej. Oczywiście poza skalą są przywódcy Izraela, z których każdy był na wojnie, służył w armii, często jak Binjamin Netanjahu czy Ehud Barak w najbardziej elitarnych oddziałach – Sajjeret Matkal czy specjalnej Jednostce 101 jak Ariel Szaron.

Przy okazji warto wspomnieć o wojennych przygodach znanego w Polsce ze swych kłamstw i antypolonizmu byłego premiera i ministra spraw zagranicznych Yaira Lapida. Ten żałosny człowiek miał służyć w brygadzie pancernej albo w siłach obrony powietrznej – zdumiewające, że są różne wersje – i wedle jednego życiorysu jako pancerniak dostać ataku paniki zwanej astmą w czasie działań w Libanie, a wedle alternatywnego życiorysu przydarzyło mu się to w czasie zwykłych ćwiczeń na poligonie. Jakkolwiek było, ewakuowano go za biurko wojskowego tygodnika „Bamahane", gdzie spędził resztę swej służby.

Tradycja przywódców wojowników przetrwała w Ameryce Południowej, choć niestety byli to najczęściej dawni członkowie lewackich grup terrorystycznych czy band jak prezydent Kolumbii Gustavo Petro.

BOKSERZY W BIAŁYM DOMU

Świat znał już bokserów, którzy zostawali prezydentami. Oprócz George'a Washingtona i Abrahama Lincolna był nim chyba najwybitniejszy przywódca Stanów Zjednoczonych – Theodore Roosevelt, nie mylić z Franklinem Rooseveltem, który w Jałcie sprzedał Stalinowi pół Europy, w tym Polskę. W czasie swej prezydentury w latach 1901–1909 organizował nawet ustawki – pojedynki w Białym Domu. Być może Karol Nawrocki zmierzy się w oktagonie z poznanym już w Waszyngtonie szefem Komisji Sprawiedliwości Izby Reprezentantów Jimem Jordanem, który za młodu był zapaśnikiem. Inicjatorem i sponsorem pojedynku mógłby być sam Trump, który przez lata promował i organizował walki w cyrkowych amerykańskich zapasach, a także UFC oraz bokserskie, w tym dla Mike'a Tysona i Władimira Kliczki.

Bokserem był przywódca Południowej Afryki Nelson Mandela, a i prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski za młodu uczył się pięściarskiego fachu. Najbardziej znany bokser polityk to wielokrotny mistrz świata w kick boxingu, wicemistrz świata amatorów w boksie, a dziś mer Kijowa Witalij Kliczko.

Całkowicie pozbawionymi wyobraźni durniami są więc ci, którzy uważają, że przyprawiana Nawrockiemu gęba osiłka, przeszłość kibola i ochroniarza to coś, co będzie mu szkodzić na światowych salonach. Jaśniepaństwo mogą sobie co najwyżej nędznie szydzić za plecami, jak na dworze Ludwika XV.

MACHURILO Z PIŁĄ ŁAŃCUCHOWĄ

Oczywiście nie chodzi o umiejętność bicia się, ale o siłę i charakter, którą wykuwa się w sporcie, o pewną niepospolitość, jak choćby u prezydenta Argentyny Javiera Mileia, który dorobił się przezwiska „el Loco" – szaleniec. Ten za młodu był bramkarzem w drugoligowej drużynie Chacarita Juniors i wokalistą rockowego zespołu Everest, z którym występował w knajpach Buenos Aires, a nawet na deskach teatru we własnej sztuce „El consultario de Milei" („Gabinet Mileia"). Już jako profesor ekonomii dzięki szaleńczym radiowym i telewizyjnym tyradom o ekonomii i polityce bankrutującej przez socjalizm Argentyny stał się jednym z najbardziej popularnych showmanów w kraju.

Milei jest jeszcze bardziej postrzelony niż Trump. Sprzeciwia się przymusowym szczepieniom, twierdzi, że globalne ocieplenie to kłamstwo lewicy wymyślone, by zdobyć kontrolę nad ludźmi, uważa się za wyznającego judaizm katolika, chce likwidacji banków centralnych, publicznie wyzywa feministki, a swą kampanię prezydencką prowadził, wymachując na wiecach piłą łańcuchową. Te choreograficzne układy oznaczały rżnięcie biurokracji i wydatków państwowych. Wywiad, którego jeszcze jako kandydat udzielił w październiku 2023 r. amerykańskiemu publicyście Tuckerowi Carlsonowi, miał na platformie X 430 mln wyświetleń, co do dziś jest niepobitym rekordem. Milei pozostaje przeciwko aborcji na życzenie, a tych, którzy chcą „zmieniać" dzieciom płeć, nazywa pedofilami. Ideologię LGBTCOŚTAM+ w jej skrajnym, negującym tożsamość płciową wydaniu określa jako „największe nieodwracalne okrucieństwo wobec dzieci". Lewica odwdzięcza mu się mianem faszysty, a feministki – machirulo (coś w rodzaju szowinistycznego heteropatriarchalnego samca/świni).

Spójrzmy na Giorgię Meloni. W przeciwieństwie do osób kobietopodobnych, takich jak Merkel, przewodnicząca von der Leyen czy premier Danii Mette Frederiksen, jest wciąż pełną pasji, wdzięku i temperamentu dziewczyną z rozbitej rodziny z robotniczej dzielnicy Rzymu Garbatella, znającą życie kelnerką i barmanką z nocnego klubu „Piper Club". To takich jak ona Nawrocki chronił przed pijanymi i naćpanymi chamami.

Gdybyśmy rzeczywiście mieli do czynienia z końcem historii, jak to błędnie wieścił Fukuyama, z czasami postpolityki, to na liderów wystarczaliby nam pewnie nudni, zimni technokraci z arkuszem kalkulacyjnym i wykresami w miejscu duszy, a nawet postludzie, jak Emmanul Macron czy Pierre Trudeau. W czasach burz potrzeba jednak przywódców wyrazistych, charyzmatycznych, z krwi i kości, awanturników o niespokojnej krwi. W artykule dla „Wszystko co najważniejsze" Jan Śliwa pisze nieco z przesadą, ale ładnie, że Nawrocki i Vance „to postacie z Jacka Londona i Victora Hugo, Conrada, Balzaka i Dumasa, które pokazują, jak daleko odeszliśmy od tego, co uczyniło naszą cywilizację wielką".

Oczywiście prezydent Nawrocki zostanie otorbiony urzędniczą zoną, poddany formatowaniu, salonowemu myciu i strzyżeniu, ale miejmy nadzieję, że pozostanie chłopakiem, który na kasetach VHS ogląda kolejne filmy z Rockym. Cały świat będzie mówił o inauguracji jego prezydentury, gdy pojawi się na niej Sylvester Stallone w bluzie z napisem „NowRocky".

eprasa.pl 2c3697ce2f

Polak patrzy na Niemcy

Od dziesięcioleci mieszają się w nas zranienia, żal i niechęć wobec Niemiec oraz podziw i respekt. Im dalej od wojny, tym mniej odczuwamy rany, choć niemiecki fałszywy formalizm w odniesieniu do reparacji budzi gniew. Ale zauważamy też coś innego: Niemcy, które w polskich oczach zawsze jawiły się jako państwo doskonale zorganizowane, o silnej gospodarce, tracą swój blask

Co interesujące, sami Niemcy zaczynają się orientować, że w ich modelu funkcjonowania coś szwankuje i dobrze by było się zastanowić nad zmianą. Dla Polaka te refleksje są o tyle istotne, że Niemcy są i długo pozostaną gospodarką o wiele większą, więc dobrze jest wiedzieć, w jakim kierunku będzie ewoluować ten nasz największy partner.

Nieco na ten temat mówi wydana ostatnio, bardzo krytyczna książka niemieckiego dziennikarza ekonomicznego Wolfganga Münchaua, nosząca – szokujący chyba nie tylko dla polskiego odbiorcy – tytuł „Kaput. Koniec niemieckiego cudu gospodarczego". Münchau, który od 25 lat zajmuje się niemiecką i europejską gospodarką – m.in jako korespondent „Financial Times" – niewątpliwie jest kompetentnym i bystrym obserwatorem, choć jego diagnozy są skażone założeniem, że przyszłość światowej gospodarki należy wyłącznie do usług i cyfryzacji, a produkcja przemysłowa jest raczej obciążeniem niż atutem. Biorąc to pod uwagę, warto jednak prześledzić jego opowieść, aby zobaczyć, gdzie leżą niemieckie słabości. Bo bardzo możliwe, że w tym przypadku będzie podobnie jak z systemem bankowym, który Polska zaczęła reformować w latach 90., gdy w świecie następowała rewolucja kart kredytowych i dzięki temu nieomal przeskoczyliśmy etap czeków. Identycznie było z faksami, które do dziś są powszechnie używane w Niemczech, podczas gdy w Polsce młodzi ludzie zapewne nie bardzo wiedzą, co to takiego – wszystko dlatego, że gdy biura wyposażano w faksy, linie telefoniczne były u nas w opłakanym stanie, a kiedy ich jakość się poprawiła, były już e-maile i internet. Czy teraz mamy podobną szansę, aby przeskoczyć pewien etap, patrząc, jak europejska potęga gospodarcza grzęźnie w ślepej uliczce?

* * *

Zacznijmy od diagnozy autora. Ujmując rzecz w największym skrócie, Münchau opisuje Niemcy jako kraj, który postawił na selektywny rozwój przemysłu, pozwolił na atrofię sektorów inwestycyjnego i bankowego, przespał rewolucję cyfrową i nie jest mentalnie gotowy na przestawienie się na myślenie o tym, że przyszłość leży w nowoczesnych technologiach i usługach, a przez swoją skostniałą biurokrację i sposób myślenia odstrasza imigrację ludzi wysoko kwalifikowanych, których potrzebuje, jednocześnie swoim modelem socjalnym przyciągając imigrantów niskokwalifikowanych, których nie potrzebuje. W dodatku uzależnił się energetycznie od Rosji i gospodarczo od Chin, w obu przypadkach dodając do tego silne uwikłanie polityczne.

Gałęzie przemysłu, o których mowa na początku, to oczywiście produkcja samochodów i wielka chemia. Przez dziesięciolecia niemieckie samochody słynęły z jakości i zapewniały producentom wysoką marżę. Aż do chwili rewolucji związanej z produkcją samochodów elektrycznych, wobec której Niemcy byli i pozostali nieufni. Według autora symbolicznym wydarzeniem, które wyznaczyło to pęknięcie, było zamontowanie w autach Volkswagena słynnych czujników poprawiających jakość spalin, gdy wykrywały, że poddawany pojazd jest testowi. Szefowie koncernu woleli zainwestować w urządzenie oszukujące coraz bardziej śrubowane przepisy niż w nowoczesne technologie, których rozwój miały wymusić te przepisy. W efekcie liderami elektrycznych technologii w przemyśle samochodowym stali się Amerykanie i Chińczycy, a Niemcom pozostało tylko odraczać wyrok na swój przemysł przez przesuwanie w czasie wejścia w UE nowych, jeszcze bardziej restrykcyjnych przepisów.

Ta dwoistość jest charakterystyczna dla niemieckich elit: politycy działali na rzecz pełnej elektryfikacji przemysłu samochodowego, a jednocześnie przemysł, skądinąd blisko związany z tymi politykami, próbował raczej oszukać system, niż się do niego dostosować. To samo działo się z energetyką: politycy konsekwentnie realizowali program odejścia od energetyki jądrowej nawet wówczas, gdy było jasne, że sama energetyka odnawialna jej nie zastąpi, a rosyjski gaz przestał płynąć i trzeba włączyć najbardziej emisyjne elektrownie węglowe. Zgoda na ideologicznie motywowane zmiany w przepisach i niezdolność do adaptacji do nich gospodarki jest tu cechą wspólną.

Paradoksalnie zapóźnienie w cyfryzacji jest ściśle związane z poważnymi inwestycjami w łączność, które Niemcy ponosili stosunkowo wcześnie, bo w latach 80., gdy pokryli prawie cały kraj nowoczesną jak na owe czasy siecią kabli miedzianych.

eprasa.pl 2c3697ce2f

W efekcie tylko jedna trzecia gospodarstw posiada obecnie łącza światłowodowe, bo przecież szkoda po prostu wyrzucić tyle dobrych przewodów... Słynna jest anegdota sprzed kilku lat o pewnym fotografie, który chciał przesłać plik ze swoimi zdjęciami o wielkości 4,5 GB z pracowni do odległej o 10 km drukarni, ale ponieważ miał wolne łącze, włączył transfer i jednocześnie wziął płytkę, dosiadł konia i pogalopował, żeby sprawdzić, czy wygra wyścig z technologią. Wygrał.

Mówiąc poważnie, istnieją przykłady przedsięwzięć biznesowych, które nie mogły rozpocząć działalności tam, gdzie chciały, bo internet był za słaby. W dodatku niemieckie firmy były niechętne inwestowaniu w wysoce ryzykowne projekty cyfrowe i pakowały pieniądze w to, co robiły do tej pory. Gdy wreszcie w 2018 r. rząd Angeli Merkel ogłosił strategię w sprawie sztucznej inteligencji, na jej realizację przeznaczono ledwie 3 mld euro, które troskliwie rozdzielono między różne ministerstwa, żeby nikt nie poczuł się pokrzywdzony, a dużą część dokumentu poświęcono roli rad pracowniczych. Kwintesencją tego rodzaju podejścia do nowoczesnych technologii jest cytowane przez autora zdanie wysokiego urzędnika w rządzie Merkel, że „nadmierne skoncentrowanie się na nowoczesnych rozwiązaniach stanowiłoby ograniczenie – także w zakresie możliwości komercyjnych". Właśnie.

* * *

Münchau poświęca sporą część swojej książki samobójczej polityce Niemiec wobec Rosji i Chin. W obu przypadkach sądzono, że uda się zapanować nad partnerami i w obu przypadkach taka postawa obróciła się przeciwko Berlinowi. Import gazu z Rosji pokrywał 55 proc. niemieckiego zapotrzebowania praktycznie aż do chwili wysadzenia rurociągu Nord Stream 2 w lecie 2022 r. W dodatku ta zależność nie ograniczała się do gospodarki, rozciągając się na politykę – nazwisko Gerharda Schroedera jest tu tylko symbolem.

Z początku Chiny wydawały się znakomitym polem do inwestycji i czerpania zysków z taniej siły roboczej, a gdy okazało się, że chińskie firmy przejęły dominującą pozycję, było już za późno. Uzależnienie w imporcie z Państwa Środka sięga w wielu dziedzinach 80 proc., a wycofanie się z Chin niemieckich inwestorów nie jest brane pod uwagę, bo po prostu – jak pisze Münchau – „nie mają alternatywy".

Ta zależność sprawia, że wychodzące z Niemiec koncepcje rozwiązania światowych napięć politycznych i gospodarczych grzeszą skrajną naiwnością. Mowa o tym, aby nie stawać ani po stronie Chin, ani USA, tylko „budować mosty". Podobnie jak w przypadku cyfryzacji i energetyki mamy tu do czynienia z zamykaniem oczu na rzeczywistość, którą samemu pomogło się wykreować.

Ten sam rys mentalny jest widoczny w stosunku do imigracji. Niemieckie społeczeństwo się starzeje i napływ pracowników jest mu potrzebny – ale pracowników wykwalifikowanych. Münchau opisuje starania dwóch profesorów o przeniesienie się do Niemiec: jeden nie otrzymał zadowalającego wynagrodzenia (regulowanego centralnie), a drugiemu nie udało się posłać swojej córki do szkoły, bo jako cudzoziemka musiała spełniać wiele dodatkowych warunków. Nic więc dziwnego, że w dziesięcioleciu 2013–2023 luka zatrudnieniowa w grupie wysokokwalifikowanych wzrosła czterokrotnie: z 68 do 277 tys. Odwrotna tendencja jest w grupie pracowników niskokwalifikowanych, ale tych przybywa najwięcej. Ci pierwsi spotykają się z nieufnością i niechęcią Niemców, wśród których chcą żyć i pracować. Ci drudzy żyją w gettach, więc nie mają problemu z asymilacją. Münchau podsumowuje to tak: „Największy problem z Niemcami nie polega na tym, żeby wjechać do tego kraju, lecz by się w nim zadomowić".

* * *

Oczywiście te wszystkie krytyczne uwagi nie oznaczają, że Niemcy już za chwilę będą „kaput". Niedobrze by było, gdyby tak myślał kraj na dorobku, taki jak Polska, w dodatku silnie uzależniony od nich gospodarczo. Schadenfreude jest niewskazana. Co zatem robić? Pod pewnymi względami możemy mówić o niezłej sytuacji: nie jesteśmy uzależnieni od Rosji czy Chin, od jednego typu przemysłu, kraj jest stosunkowo dobrze pokryty sieciami światłowodowymi i komórkowymi, jesteśmy dynamiczni i chętni do konkurowania. Niskie są natomiast skłonność do inwestowania w ryzykowne innowacje oraz poziom akceptacji dla sensownej imigracji, która także w Polsce w większości dotyczy pracowników niskokwalifikowanych, choć potrzeba specjalistów. W dodatku konflikt o migrantów uniemożliwia spokojną rozmowę na ten temat. Jest też coś jeszcze, co według Wolfganga Münchaua pozostaje wpisane w niemieckie DNA, a niepokojąco przypomina zachowania Polaków. Otóż opisując skostnienie systemu bankowego bazującego na regionalnych Sparkasse zależnych od miejscowych polityków, dziennikarz wspomina o tym, jak w jego rodzinnym mieście, gdy był absolwentem, jedyne dostępne miejsce na staż bankowy, który otwierał drogę do dalszej kariery, przypadło córce naczelnika miejscowego oddziału tejże Sparkasse. Coś mi to przypomina.

Robert Bogdański

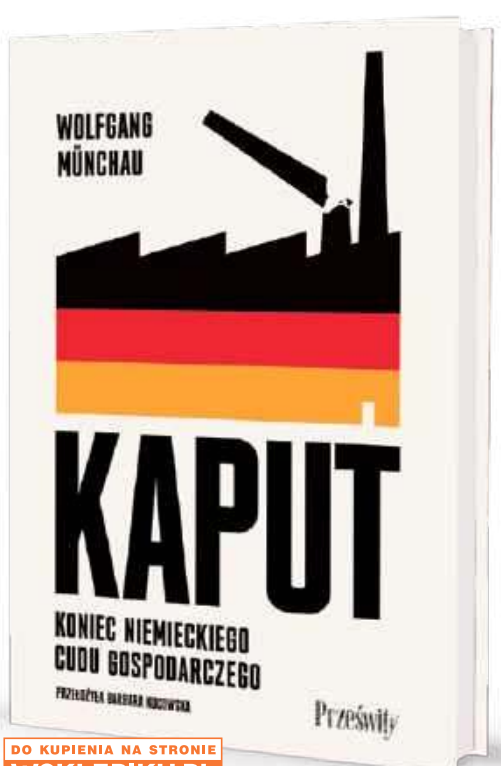

DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL
AUTOPROMOCJA

eprasa.pl 2c3697ce2f

Cezary Kulesza, to on zdecyduje, kto będzie następnym selekcjonerem reprezentacji Polski

Okręt bez steru i kapitana

Piłkarska reprezentacja Polski dryfuje bez celu. Michał Probierz zrezygnował z funkcji selekcjonera pomimo wcześniejszych zapewnień o tym, że rezygnować nie zamierza. Jego odejście to pokłosie konfliktu z najlepszym polskim piłkarzem Robertem Lewandowskim. Sztorm wokół kadry trwa, a reprezentacja przypomina dziurawą łajbę

MICHAŁ MUZYCZUK

Michał Probierz prowadził reprezentację od 20 września 2023 r. Na stanowisku zastąpił Portugalczyka Fernanda Santosa, który z reprezentacją swojego kraju sięgnął po Mistrzostwo Europy w 2016 r. Ale Santos rzadko odwiedzał Polskę, nie znał polskich zawodników, do swojej pracy miał nie do końca poważny stosunek i zaliczył fatalne wyniki w eliminacjach do Mistrzostw Europy 2024.

Cezary Kulesza, od 2021 r. prezes Polskiego Związku Piłki Nożnej, postanowił zastąpić aroganckiego Portugalczyka polskim szkoleniowcem, którego znał bardzo dobrze. Probierz był przecież długoletnim trenerem Jagiellonii Białystok w czasie, gdy Kulesza prezesował Dumie Podlasia. Na papierze decyzja o zatrudnieniu Probierza na najważniejsze trenerskie stanowisko w kraju miała sens. Urodzony w Bytomiu szkoleniowiec znał polską piłkę jak własną kieszeń. Jako selekcjoner reprezentacji U-21 miał najlepsze rozeznanie w krajowych talentach, a jako Polak miał polepszyć nadszarpnięty przez Santosa mental w kadrze. Według ówczesnych słów Kuleszy Probierz to „wybór najlepszy z możliwych". To teoria, ale praktyka okazała się inna.

Przyjrzyjmy się formie sportowej prezentowanej przez kadrę Probierza. „Polski Guardiola" poprowadził reprezentację Polski w 21 meczach. Jego bilans to 9 zwycięstw, 5 remisów i 7 porażek. Mimo awansu na Euro 2024 po barażach, występ na samym turnieju był rozczarowujący. Polska odpadła w fazie grupowej, przegrywając z Holandią (1:2) i Austrią (1:3) oraz remisując z Francją (1:1). Co prawda kibice dostrzegali światło w tunelu, jeśli chodzi o styl gry przeciwko Holandii i Francji, ale ogólny brak progresu pod względem wyników był wyraźnie widoczny. W Lidze Narodów Polska spadła z najwyższej dywizji.

Fot. Mikołaj Barbanel/Shutterstock.com

eprasa.pl 2c3697ce2f

Zwycięstwa nad niżej notowanymi rywalami były osiągane najczęściej po wielkich mękach. Po dwóch meczach eliminacji do mistrzostw świata w 2026 r. Polacy mieli komplet punktów, ale przecież pokonanie Malty i Litwy to obowiązek. Ostatnia porażka z Finlandią pogłębiła kryzys. Krytyka taktyki, braku spójnej wizji gry i problemów mentalnych drużyny była powszechna. Media i eksperci często zarzucali Probierzowi brak pomysłu i nadmierne eksperymentowanie z różnymi ustawieniami, które nie przynosiły oczekiwanych rezultatów. Tyle, jeśli chodzi o sportowe przyczyny tego, że Probierz już nie jest selekcjonerem. Ale przecież to nie wszystko.

KONFLIKT Z LEWANDOWSKIM

Robert Lewandowski jest niekwestionowanym liderem reprezentacji Polski, najlepszym zawodnikiem urodzonym w kraju nad Wisłą w jego historii. Dla wielu kibiców jego status ociera się o świętość. Nic dziwnego, że od 2014 r. „Lewy" pełnił funkcję kapitana kadry narodowej. Wyprowadzał zespół z opaską na ramieniu w 92 meczach – drugi w tej klasyfikacji Kazimierz Deyna zakładał opaskę kapitańską w 57 meczach.

Warto pamiętać, że Lewandowski przejął funkcję kapitana od Jakuba Błaszczykowskiego, co wcale nie odbyło się bez kontrowersji. W 2014 r. skrzydłowy Borussi Dortmund doznał długotrwałej kontuzji. Zbiegło się to w czasie z objęciem funkcji selekcjonera przez Adama Nawałkę, który postanowił skorzystać z prawa „nowej miotły" i zadecydował o mianowaniu kapitanem Lewandowskiego, który właśnie przeszedł z Dortmundu do Bayernu Monachium i szybko awansował na globalną gwiazdę futbolu. Nawałka dążył do scentralizowania przywództwa wokół najbardziej wpływowego gracza zespołu. Niektórzy twierdzą, że stworzył potwora, podkreślając długoterminowy wpływ tej decyzji na pozycję Lewandowskiego w reprezentacji. Od tamtej pory „Lewy" był nie do ruszenia, co oczywiście jest odzwierciedleniem jego wspaniałej kariery klubowej. Żaden inny zawodnik nawet nie zbliżył się do osiągnięć wychowanka Varsovii i nikt w historii polskiej piłki nie ma podjazdu do kariery „Lewego". Tak naprawdę nie istnieje selekcjoner, który byłby w stanie wejść do szatni reprezentacji i być ważniejszym od Lewandowskiego. A jednocześnie napastnik, zakładając koszulkę z orłem na piersi, nie osiągał poziomu, na który wznosił się w klubach, co często mu wytykano.

Jak wyglądała sytuacja w reprezentacji Probierza przed czerwcowym zgrupowaniem? Było wiadomo, że towarzyskie starcie z Mołdawią będzie pożegnalnym meczem w kadrze dla Kamila Grosickiego. Było też jasne, że starcie z niżej notowaną Finlandią w eliminacjach do mistrzostw świata w 2026 r. powinno być zwycięskie. Ale pod koniec maja gruchnęła wiadomość, że Probierz i Lewandowski wspólnie ustalili, iż najlepszy polski zawodnik nie pojawi się na zgrupowaniu. Dlaczego? Napastnik oświadczył: „Biorąc pod uwagę okoliczności oraz natężenie sezonu klubowego, wspólnie z trenerem uznaliśmy, że tym razem nie wezmę udziału w czerwcowym zgrupowaniu reprezentacji Polski. Gra w biało-czerwonych barwach zawsze była dla mnie spełnieniem marzeń, ale czasem organizm daje sygnał, że trzeba na chwilę odetchnąć".

Jego postawa podzieliła środowisko piłkarskie, ale prezes PZPN postanowił nie komentować nieobecności kapitana na zgrupowaniu: „Mają swoje ustalenia, ja w to nie wnikam. Szanuję każdą decyzję: jednego i drugiego. Nie wiem, jak wyglądały rozmowy, ten temat był poza mną".

Z jednej strony słowa Kuleszy mogły być traktowane jako umywanie rąk, ale z drugiej brak ingerencji prezesa w sportowe sprawy kadry mógł być chwalony. Pojawiły się głosy, że być może przyszedł czas na przemyślenie roli Lewandowskiego w kadrze. Jednocześnie „Lewy" wbrew swojemu oświadczeniu nie do końca odpoczywał, bo dzień przed meczem z Mołdawią bawił się do godz. 2.00 w klubie na Majorce. Co więcej, 6 czerwca napastnik pojawił się w Chorzowie na meczu z Mołdawią. Odśpiewał z kolegami hymn, a potem zasiadł na trybunach. Chciał osobiście pożegnać Grosickiego i podziękować mu za wspólną grę w reprezentacji.

Sytuacja stawała się napięta, a Probierz postanowił działać. 8 czerwca o godz. 21.00 PZPN wydał lakoniczne oświadczenie: „Decyzją selekcjonera Michała Probierza nowym kapitanem reprezentacji Polski został Piotr Zieliński. Selekcjoner osobiście poinformował o swojej decyzji Roberta Lewandowskiego, całą drużynę oraz sztab szkoleniowy". 40 min później wyraźnie zirytowany „Lewy" ripostował: „Biorąc pod uwagę okoliczności i utratę zaufania do selekcjonera reprezentacji Polski, postanowiłem do czasu, kiedy jest trenerem zrezygnować z gry w reprezentacji Polski. Mam nadzieję, że będzie dane mi jeszcze zagrać dla najlepszych kibiców na świecie". Burza rozpętała się na dobre.

Następnego dnia Michał Probierz na konferencji prasowej przed meczem z Finlandią uściślił pewne kwestie, a jego relacja brzmiała jak scenariusz filmu akcji: „Po meczu z Mołdawią, po rozmowach z wieloma zawodnikami i sztabem, miałem czas na analizę i podjęcie decyzji. Uznałem, że to odpowiedni moment, by dokonać zmiany kapitana [...]. Nie było innej możliwości, dlatego rozmawiałem z Robertem przez telefon. Poinformowałem go o swojej decyzji. Robert odpowiedział, że opaska nic nie znaczy i nic w tym zespole nie zmieni. [...] Mieliśmy zebranie wszystkich zawodników i członków sztabu. Przekazałem im informację. Następnie Piotrek przemówił do reszty zespołu, który mu pogratulował. To utwierdziło mnie w tym, że możemy iść w dobrym kierunku i wierzę, że tak będzie. [...] Kiedy wróciłem do pokoju, zobaczyłem, że dzwonił do mnie Robert. Oddzwoniłem do niego o 20:59 i spytałem, co się stało. Powiedział mi, że chciałby sam zrezygnować z tej opaski kapitana i podać taką informację. Przekazałem mu, że akurat tego nie zrobię, bo to jest moja decyzja. Następnie poinformowaliśmy o niej na stronie internetowej PZPN. Później dowiedziałem się z mediów społecznościowych, że Lewandowski zrezygnował z gry w reprezentacji [...]. W piłce i w życiu nie można się obrażać, bo wszystko jest możliwe. Jeśli jest wola z obu stron, zawsze można się porozumieć. Drzwi do reprezentacji nigdy nie są zamknięte".

eprasa.pl 2c3697ce2f

Robert Lewandowski

Fot. Maciej Rogowski Photo/Shutterstock.com

Michał Probierz

Fot. Dziurek/Shutterstock.com

Kulesza nie do końca stanął murem za Probierzem. PZPN postanowił zdystansować się od jego decyzji, oświadczając: „W związku z pojawiającymi się w przestrzeni medialnej informacjami, że rada drużyny reprezentacji Polski była inicjatorem zmiany zawodnika pełniącego funkcję kapitana kadry narodowej, Polski Związek Piłki Nożnej stanowczo zaprzecza tym doniesieniom. Nie doszło do spotkania selekcjonera Michała Probierza z radą zespołu, a decyzja została podjęta wyłącznie przez szkoleniowca".

OSTATNIE STARCIE

Rozegrane 10 czerwca spotkanie z Finlandią było meczem nie tylko o trzy punkty w eliminacjach. Probierz został wygwizdany przez polskich kibiców obecnych w Helsinkach, którzy przez cały mecz domagali się jego odejścia. Fatalna postawa drużyny (w meczu z powodu urazu nie zagrał nowy kapitan Zieliński) i przegrana 1:2 musiały mieć konsekwencje, chociaż początkowo miało być inaczej.

Na konferencji prasowej po zaskakującej porażce Probierz mówił: „Zdaję sobie sprawę, że to, co się wydarzyło, jest bolesne, ale nie mam zamiaru, by podać się do dymisji lub o czymś takim pomyśleć. [...] Ja nie jestem człowiekiem, który się poddaje. Uważam, że z tego wyjdziemy, jeśli będzie mi to dane". Nazajutrz, 11 czerwca, Kulesza miał oświadczyć, że nie zamierza zwalniać selekcjonera i wystąpi jako mediator w konflikcie pomiędzy dwoma najważniejszymi postaciami w reprezentacji. Przyjaciel i członek sztabu „Lewego" Tomasz Zawiślak w rozmowie z meczyki.pl powiedział: „W tej sytuacji nie ma potrzeby mediatora. Michał Probierz swoim postępowaniem – przy okazji zabrania opaski oraz w późniejszych wystąpieniach – nie wykazał się żadną refleksją, która mogła pomóc rozwiązać sytuację".

Tym samym los Probierza został przypieczętowany. Nie mógł wygrać otwartej wojny z najlepszym polskim zawodnikiem, bo zwyczajnie nie jest w stanie mu dorównać osiągnięciami czy autorytetem. Pewnie gdyby nie decyzja o odebraniu opaski kapitańskiej Lewandowskiemu, Probierz nadal pełniłby swoją funkcję, bo za porażkę z Finlandią zostałby obarczony właśnie „Lewy", któremu nie chciało się grać z orłem na piersi.

„Doszedłem do wniosku, że w obecnej sytuacji najlepszą decyzją dla dobra drużyny narodowej będzie moja rezygnacja ze stanowiska selekcjonera. Pełnienie tej funkcji było spełnieniem moich zawodowych marzeń i największym życiowym zaszczytem" – to oświadczenie Michała Probierza opublikowane rano 12 czerwca, półtorej doby po meczu z Finlandią, wstrząsnęło światem polskiej piłki. Według Instytutu Monitorowania Mediów afera wokół kadry wywołała zainteresowanie na „poziomie porównywalnym z medialnością wyborów prezydenckich", przy czym znakomita większość opinii była przychylna Lewandowskiemu.

Nie sposób oprzeć się wrażeniu, że w tej wojence nie ma zwycięzców. Obnażyła ona systemowe problemy polskiej piłki. Ciągłe roszady na ławce trenerskiej pokazują brak konsekwentnej długoterminowej strategii i nadmierne stawianie na doraźne rozwiązania. Widać również rysy na wizerunku Lewandowskiego, o czym przekonuje Antoni Piechniczek w wywiadzie dla „Przeglądu Sportowego": „Nie mogę go rozgrzeszyć, bo nawet największy piłkarz powinien czuć odpowiedzialność za drużynę, wznosić się ponad osobiste animozje [...]. Uważam, że Robert zabrnął za daleko. W klubie w podobnej sytuacji dałby sobie na wstrzymanie, a w reprezentacji uznał, że nie musi mieć takich hamulców". A najsmutniejsze w tym wszystkim jest to, że polska reprezentacja jest zwyczajnie słaba sportowo. Obecne wydarzenia pozasportowe tylko potęgują tę słabość.

DECYDUJE KULESZA

W chwili pisania tego tekstu nie wiemy, kto obejmie stery rozchybotanego okrętu, jakim jest reprezentacja Polski. Największym faworytem pozostaje Maciej Skorża, o czym oficjalnie informują władze PZPN. Ostatnimi czasy pracował w Japonii, a z Urawa Red Diamonds wygrał azjatycką ligę mistrzów. Kandydatami są także Jerzy Brzęczek, Nenad Bjelica, Gianni De Biasi i Jesús Casas, a pozostałe kandydatury obecne w przestrzeni medialnej należy traktować jako dziennikarskie rozważania. Lewandowski wciąż nie potwierdził, że odejście Probierza równa się z jego powrotem do kadry. Za to gotowość do powrotu zapowiedział... Grosicki, który przekazał w rozmowie z goal.pl, że „sytuacja wymaga reakcji. I na boisku, i poza nim".

Jeśli chodzi o przyszłość polskiej kadry, pewne są dwie rzeczy. Pierwsza – praca narodowego selekcjonera nie jest w tym momencie ciepłą posadką z marzeń, bo sztorm wokół kadry trwa, a dziurawa łajba nabrała już dość wody. Druga – Cezary Kulesza wygra zaplanowane na 30 czerwca wybory na prezesa PZPN, bo nie ma kontrkandydata. Z konfliktu selekcjonera i kapitana zarówno Lewandowski, jak i Probierz wyszli poranieni. Ale jedno jest niezmienne – ojciec chrzestny disco-polo nadal decyduje o przyszłości polskiej piłki.

eprasa.pl 2c3697ce2f

Dział przygotowywany we współpracy z miesięcznikiem GAZETA BANKOWA

Fot. Shutterstock

Do Chińczyka po elektryka, a po hybrydę do... Japonii

Drogi elektryczny, markowy spalinowy czy budżetowy, ale mniej prestiżowy, klasyczny benzyniak? A może jeden z kilku rodzajów napędów hybrydowych? No i jeszcze te tanie, „wszystkomające" produkty chińskiej motoryzacji. Przed takimi dylematami stają dziś kierowcy decydujący się na zakup, wzięcie w leasing czy wynajem długoterminowy nowego samochodu. To pokaźna grupa, bo szacuje się, że w 2025 r. nad Wisłą zostanie zarejestrowanych ok. 560 tys. nowych osobówek

eprasa.pl 2c3697ce2f

GRZEGORZ SZAFRANIEC

W pierwszym kwartale dealerzy samochodowi ulokowali na naszym rynku 142 tys. aut osobowych, czyli o 2,5 proc. więcej niż przed rokiem. Wśród nabywców klienci indywidualni są w mniejszości. Instytut Badań Rynku Motoryzacyjnego Samar wyliczył, że tylko co trzeci pojazd trafia do osoby fizycznej. Pozostałe dwie trzecie sprzedaży zasila floty służbowych aut w firmach.

TOYOTA WCIĄŻ NA CZELE

Od stycznia do maja liczbę rejestrowanych aut zwiększyły cztery marki z czołowej dziesiątki. Najszybciej rośnie Volkswagen, a największy spadek (o przeszło 11 pp.) odnotowała Toyota. To jednak ona wciąż ma największy udział w naszym rynku – ok. 17 proc. Jak podaje Samar, na pozycji wicelidera znajduje się Škoda (9,6 proc.), a podium uzupełnia Volkswagen (7,4 proc.). Za nimi plasują się Kia (5,8 proc.) i Audi (5,6 proc.). Od kilkunastu miesięcy w siłę rosną Chińczycy, których udział w sprzedaży nowych aut osobowych w Polsce sięga już 5,4 proc.

Najczęściej kupowanym modelem w 2025 r. pozostaje Toyota Corolla, ale zawdzięcza to głównie korporacjom taksówkarskim i dużym firmom, które doceniają sprawdzony i niemal bezawaryjny napęd hybrydowy. Corolla dystansuje Škodę Octavię, Toyotę C-HR, Kię Sportage i Toyotę Yaris Cross. Na próżno jednak szukać Corolli w pierwszej piątce ulubionych aut klientów indywidualnych. Tu dominują Toyota C-HR, Kia Sportage, Toyota Yaris Cross, Volkswagen T-Roc i Dacia Duster.

HIT CZY KIT?

Chińscy producenci od lat próbowali skraść serca europejskich kierowców, ale na tle Toyoty, Audi, Mercedesa czy Forda ich samochody wyglądały jak wyrób czekoladopodobny usiłujący konkurować z prawdziwymi słodyczami. Toporne, kiepsko spasowane, do bólu plastikowe, awaryjne i bez wsparcia serwisowego. To nie mogło się udać. Teraz jest inaczej.

Koncerny z Państwa Środka rozpoczęły zmasowaną ofensywę i mają przemyślaną taktykę. Jej elementem jest maksymalne wyposażenie – do tego stopnia, że jedyną opcją przy zakupie pozostaje wybór koloru nadwozia. Dziwne? Nie, tańsze. Nie trzeba bowiem przezbrajać linii produkcyjnych, żeby produkować auta mocno spersonalizowane i w różnych konfiguracjach.

> Od kilkunastu miesięcy w siłę rosną Chińczycy, których udział w sprzedaży nowych aut osobowych zbliża się do 6 proc.

Obecnie na polskim rynku działa ok. 50 producentów samochodów – z Europy, Stanów Zjednoczonych, Korei Południowej i Japonii. Tymczasem marek aut „made in China" jest już 23 i z pewnością będzie ich przybywać. W zasadzie nie ma tygodnia, żeby nie pojawił się nowy gracz z tego kraju (ostatnio wejście na nasz rynek ogłosiła marka Chery).

– Rok 2025 będzie stał pod znakiem ekspansji koncernów motoryzacyjnych z Państwa Środka. Na razie ich udział w rynku jest jeszcze jednocyfrowy, ale bardzo szybko rośnie. O tempie tej ofensywy może świadczyć fakt, że jeszcze pod koniec 2023 r. sprzedaż chińskich samochodów nad Wisłą była śladowa. Oczywiście nie wszystkie marki rodem z Chin przetrwają, bo nasz rynek nie jest przesadnie chłonny, a producenci z tego kraju będą konkurować również między sobą – prognozuje Dariusz Balcerzyk, ekspert IBRM Samar. Zauważa, że Chińczycy idą tą samą ścieżką, którą pod koniec lat 70. przemierzyły samochody z Japonii, a na początku XXI w. Koreańczycy. Ich auta były wtedy wyśmiewane za toporny design i dużą awaryjność, a dziś są synonimem niezawodności i kreują rynkowe trendy.

MECHANICY JUŻ WIEDZĄ

Pojawiają się już pierwsze opinie polskich mechaników o samochodach z Chin. Mają wątpliwości m.in. co do kosztów eksploatacji, które wcale nie muszą być takie niskie, jak się wydaje. Nie odosobnieni są w tych opiniach.

Na ocenę udało nam się namówić doświadczonego kierowcę taksówki, bo tak się złożyło, że był akurat na etapie zmiany swojej wysłużonej Škody na coś nowego, potencjalnie podobnie bezawaryjnego, ale nie za jakieś chore pieniądze. Przetestował dwa konkurencyjne modele SUV-ów – klasycznego benzynowego chińczyka oraz hybrydę popularnej budżetowej marki. Jego obserwacje dają do myślenia. Owszem, chińskie auto wyglądało spektakularnie, posiadało bogate wyposażenie, prowadziło się zadowalająco, ale dyskwalifikował je silnik. Miał relatywnie niewielką pojemność, był za to mocno wysilony, co przekładało się na wysokie spalanie, sięgające w mieście nawet 9 l na 100 km.

– Za to hybryda w przystępnej cenie, z trochę mniej spektakularnym wyposażeniem i nieco bardziej „plastikowym" wnętrzem, zadowalała się pięcioma litrami na setkę. Do tego przy umiejętnej jeździe zapotrzebowanie na paliwo w mieście może być jeszcze niższe. A ja przecież jeżdżę przede wszystkim po „miejskiej dżungli" – powiedział nam Jarosław Wiecha, kierowca jednej z dużych stołecznych korporacji taksówkarskich.

Wiele osób przyglądających się chińskim autom zwraca także uwagę na dużą utratę wartości oraz bardzo kiepskie opony, na jakich opuszczają fabrykę. Krótko mówiąc, kwalifikują się do natychmiastowej wymiany.

eprasa.pl 2c3697ce2f

Ciekawe światło na chińskie samochody rzucili eksperci z ProfiAuto. Ich zdaniem nie wszystkie marki trzeba wkładać do jednego worka. Najwyższą jakość oferuje MG, a najniżej jest oceniany Forthing. Analitycy są przy tym zgodni, że nawet najlepsze chińskie auta wypadają w tej kwestii słabiej od europejskich.

CO Z SERWISEM?

Ponadto klienci obawiają się problemów z dostępnością części zamiennych i autoryzowanych punktów serwisowych. Nie ulega wątpliwości, że jeśli samochody któregoś z chińskich producentów nie zyskają popularności, może się on wycofać z Polski, co utrudni zdobycie niezbędnych podzespołów. Jednak z reguły potrzebne elementy bez większych przeszkód da się ściągnąć z innych krajów europejskich. Mechanicy chwalą za to zabezpieczenie antykorozyjne, za pozytywny przykład stawiając m.in. MG. Zwracają jednak uwagę na inny problem – brak doświadczenia serwisowego niezależnych firm obsługujących egzotyczne (na razie) pojazdy.

OD ELEKTRYKÓW NIE MA ODWROTU

Rekordowy okazuje się również udział w rynku nowych elektrycznych samochodów osobowych, który w maju sięgnął 6 proc. Samar podaje, że w pierwszym kwartale br. kupiono i zarejestrowano w Polsce przeszło 5,1 tys. nowych elektryków. Oznacza to wzrost o 22 proc. w stosunku do I kwartału ub.r. Jednak auta na prąd widać przede wszystkim w dużych miastach – na prowincji to wciąż rzadkość. Sprzedają się jednak lepiej niż rok czy dwa lata temu.

> W 2025 r. co czwarty Polak chce kupić samochód – nowy lub używany

Najpopularniejsze marki nowych samochodów osobowych *(maj 2025)*

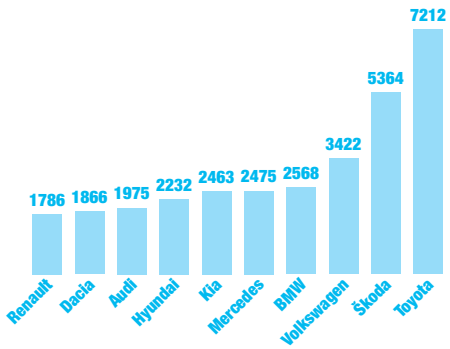

Najpopularniejsze modele nowych samochodów osobowych *(maj 2025)*

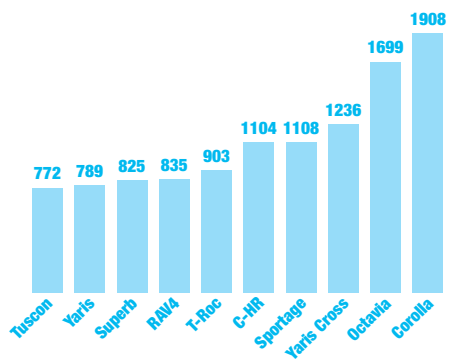

Źródło: Samar

– Zyskują coraz większy udział w rynku i wydaje się, że nie ma od tego odwrotu, wszak cezura wyznaczona na 2035 r. wciąż obowiązuje i od tej daty nie będzie możliwe w Europie zarejestrowanie nowego pojazdu napędzanego silnikiem spalinowym – mówi Dariusz Balcerzyk.

Daleko nam jednak do liderów, bo pod względem rejestracji nowych aut elektrycznych zajmujemy na Starym Kontynencie niechlubne trzecie miejsce od końca – mimo że sprzedaż elektryków wspiera państwo. Chodzi o program „NaszEauto", gwarantujący do 40 tys. zł dopłaty do samochodu elektrycznego. O dotacje do zakupu, leasingu czy wynajmu długoterminowego mogą się starać osoby fizyczne oraz prowadzący jednoosobową działalność gospodarczą. Do wsparcia kwalifikują się wyłącznie nowe samochody elektryczne kategorii M1 (osobówki mogące przewieźć do 8 osób bez kierowcy oraz dostawczaki o DMC do 3,5 tony), których cena nie przekracza 225 tys. zł netto.

HYBRYDA – ROZSĄDNY KOMPROMIS?

Diesle są w głębokiej defensywie. Stopniowo wypierają je pojazdy z napędem hybrydowym i może to być trend na najbliższe lata – szczególnie w przypadku aut klasy premium, a także we flotach. Hybrydy dzielą się na trzy podstawowe rodzaje: pełne (HEV), miękkie (MHEV) i typu plug-in (PHEV). Pierwsze charakteryzują się współpracą motoru spalinowego i elektrycznego, gdzie silnik elektryczny wspomaga spalinowy. Pełne hybrydy nie wymagają ładowania z zewnętrznego źródła, a ich akumulatory są ładowane podczas jazdy dzięki odzyskiwaniu energii. W miękkich hybrydach silnik elektryczny działa głównie jako wsparcie dla spalinowego, ale nie można nimi jeździć wyłącznie na prądzie. Z kolei hybrydy plug-in wyróżniają się możliwością ładowania akumulatora z zewnętrznego źródła, np. gniazdka elektrycznego.

NIEOCZYWISTE BARIERY

W przypadku niektórych napędów alternatywnych dla spalinowego pojawiła się ostatnio nieoczywista przeszkoda.

Otóż wspólnoty mieszkaniowe zawiadujące budynkami na osiedlach masowo wpisują do regulaminów obowiązujących mieszkańców zakazy wjazdu do garaży podziemnych elektryków i hybryd typu plug-in. Dlaczego?

– Zdecydowaliśmy się wprowadzić zakaz parkowania samochodów elektrycznych oraz hybryd plug-in, a więc z możliwością ładowania z gniazdka, ze względów bezpieczeństwa. Pożary tych aut nie zdarzają się co prawda zbyt często, ale są bardzo intensywne i brakuje technologii ich skutecznego gaszenia. Nie można ryzykować. Dobro mieszkańców to priorytet – mówi członek zarządu jednej ze wspólnot mieszkaniowych w warszawskiej dzielnicy Ursus.

Jaki jest efekt takiego podejścia? Sprzedawca jednego ze stołecznych dealerów Renault i Daci poinformował, że w Warszawie tego typu auta w zasadzie nie znajdują nabywców.

eprasa.pl 2c3697ce2f

Polsko-czechosłowacka wojna o Śnieżkę

Ledwo skończyła się II wojna światowa, a na nowej granicy polsko-czechosłowackiej zbierały się wojska gotowe do bitwy. Obie strony były zdeterminowane, by walczyć o sporne tereny w regionie Zaolzia, Raciborza i Kłodzka. Konieczna była interwencja z zewnątrz

STANISŁAW PŁUŻAŃSKI

80 lat temu Związek Radziecki zainstalował w krajach Europy Środkowo-Wschodniej zależne od siebie władze. Zarówno Czechosłowacja, jak i Polska wychodziły z wojny ze zmienionymi granicami. Oba państwa były zainteresowane pozyskaniem dawnych niemieckich terenów. W efekcie do walki stanęły wojska, a blokowi wschodniemu groziła „bratobójcza" wojna.

KOLEJNA ODSŁONA KONFLIKTU

Terytorialne zatargi między Polską a Czechosłowacją rozpoczęły się niemal natychmiast po uzyskaniu niepodległości przez oba państwa w 1918 r. Po upadku Austro-Węgier zarówno Polacy, jak i Czesi rościli sobie prawa do Śląska Cieszyńskiego. W styczniu 1919 r. doszło do krótkotrwałego konfliktu zbrojnego zakończonego arbitrażem Rady Ambasadorów, która przyznała Czechosłowacji większość spornego terenu. Polacy nigdy się z tym nie pogodzili, a spór o Śląsk Cieszyński przekreślił jakąkolwiek poważniejszą współpracę między obydwoma państwami. Polska i Czechosłowacja traktowały siebie wrogo mimo potężnego wspólnego zagrożenia, jakim były Niemcy.

W 1938 r., korzystając z rozpadu Czechosłowacji po układzie monachijskim, Wojsko Polskie wkroczyło na Zaolzie i przyłączyło ten przemysłowy region do II RP. Zajęto także Spisz i Orawę. Z kolei w 1939 r. Słowacy wsparli niemiecką agresję na Polskę,

Fot. NAC

eprasa.pl 2c3697ce2f

odbili utracone tereny i zajęli dodatkowo kilka przygranicznych miejscowości. W czasie II wojny światowej obie strony próbowały wypracować jakiś kompromis, aby nawiązać współpracę, ale bezskutecznie. Było niemal pewne, że spór o granice odżyje wraz z końcem wojny.

FLAGI NA SZCZYCIE

W 1945 r. Polska wychodziła z sześciu lat okupacji niemieckiej kompletnie zniszczona. W pierwszej połowie roku była w trakcie konsolidacji terytorialnej i tworzenia nowej, podporządkowanej Sowietom komunistycznej administracji. Zgodnie z decyzjami Wielkiej Trójki w ramach rekompensaty za utratę Kresów Wschodnich Polska miała otrzymać niemieckie ziemie na wschód od Odry. Czechosłowacja, po wojnie również podporządkowana Sowietom, wyszła z niemieckiej okupacji z lepszym zapleczem administracyjnym i mniej zniszczoną infrastrukturą. Południowy sąsiad także z zainteresowaniem patrzył na potencjalne łupy po przegranych Niemcach.

W nowej sytuacji geopolitycznej stary spór graniczny zaczął wykraczać daleko poza Zaolzie, Spisz i Orawę. Główne różnice dotyczyły ustalenia granicy przypisanego Polsce Dolnego Śląska. W pierwszej kolejności rząd czechosłowacki domagał się przyznania jej Kotliny Kłodzkiej, rejonu raciborskiego i głubczyckiego. Argumentowano, że Polska uzyskała zbyt dużo niemieckich obszarów. Jednak zakusy Czechów były znacznie większe. Śmielsze plany zakładały odebranie Polsce terenów na południe od Wrocławia, rejonów legnickiego, świdnickiego oraz miast, takich jak Nysa, Kłodzko, Opole, Gliwice, Rybnik i Pszczyna. Czechosłowacja powoływała się na historyczne powiązania tych ziem z ich krajem oraz obecność na tych terenach ludności czeskiej przed wojną.

Ale tu nastąpił opór. Po utracie Kresów Wschodnich polscy komuniści nie mogli sobie pozwolić na kolejne ustępstwa terytorialne. Obrona granic była dla nich konieczna. Nowo powstałe tzw. ludowe Wojsko Polskie nie było jednak w stanie w wystarczającym stopniu zabezpieczyć terenów przygranicznych powojennej Polski. Nakładały się na to problemy strukturalno-organizacyjne oraz ogólny chaos w kraju. Wykorzystywały to zarówno wojskowe, jak i milicyjne jednostki czechosłowackie, które bez problemu przedostawały się na drugą stronę granicy. Zapuszczały się one 10–12 km w głąb Dolnego Śląska, gdzie dopiero instalowała się polska administracja, i docierały nawet do Raciborza czy okolic Świeradowa.

Już wiosną 1945 r. doszło do licznych incydentów granicznych w regionach raciborskim, głubczyckim, nyskim i kłodzkim. Czesi bezkarnie okradali przygraniczne tereny z bydła i płodów rolnych. Zabierali nawet elementy infrastruktury przemysłowej i rolniczej. Strona polska protestowała przeciwko tym działaniom, jednak zwłaszcza na początku 1945 r. była w zasadzie bezradna.

Do jednej z konfrontacji w tym czasie doszło w rejonie Śnieżki. Najwyższy szczyt w Karkonoszach miał strategiczne znaczenie ze względu na komunikację radiową. 17 maja szczyt zajęli Czesi, zatknęli na nim swoją flagę i wstawili tablice w języku czeskim. Stacja meteorologiczna rozpoczęła wysyłanie raportów pogodowych do Pragi. W czerwcu 1945 r. na Śnieżce pojawiło się polskie wojsko, które przegoniło Czechów. Na miejscu zorganizowano polski posterunek, a czechosłowacka flaga została zdjęta.

„POMOC TOWARZYSZA STALINA"

Cały czas niespokojny był także Śląsk Cieszyński. W marcu 1945 r. polscy działacze na Zaolziu wystosowali apel do Rządu Tymczasowego o przyłączenie tych okolicy do Polski. Odpowiedzi udzielił im ówczesny minister obrony narodowej Michał Rola-Żymierski. Zapewnił o „dobrej woli i pomocy tow. Stalina, a także o gotowości rządu do zajęcia twardego stanowiska wobec Czechosłowacji" w sprawie odpowiedniego przebiegu granicy. W maju Polacy zaczęli tworzyć na spornym terytorium komitety obywatelskie i rady narodowe, a złożona z dotychczasowych żołnierzy AK Grupa Operacyjna „Zaolzie" sforsowała mosty na Olzie. W odpowiedzi Czesi wsparci przez żołnierzy Armii Czerwonej szybko rozbroili polskie oddziały.

Rząd Tymczasowy wysłał do Stalina memorandum, w którym przekonywał do wydania decyzji o wycofaniu czeskiego wojska i administracji ze spornego obszaru. Tymczasem Czesi przystąpili do organizowania akcji rejestrowania i wysiedlania zamieszkałej tam ludności polskiej. Pod koniec maja Czechosłowacja zwróciła Polsce miejscowości na pograniczu ze Słowacją, ale szybko zaczęła oskarżać polskie władze o dyskryminację i prześladowanie słowackiej mniejszości.

Między Warszawą a Pragą rosło napięcie, obie strony były gotowe do użycia siły w celu realizacji swoich planów. Czesi nie kryli się z zamiarem anektowania części Dolnego Śląska. Za wystarczający pretekst uznali jeden z rosyjskich dokumentów, czyli mapę sygnowaną przez ppłk. Jepifanowa ze sztabu 4. Frontu Ukraińskiego, najpewniej odpowiedzialnego za jej przygotowanie. Widniała na niej linia graniczna przebiegająca wzdłuż linii Krzyżanowice–Odra–Olza. Zgodnie z tym dokumentem Czechosłowacja miała otrzymać znaczną część spornych terenów. Szef sztabu szybko wydał odpowiednie instrukcje dowódcom czechosłowackich oddziałów. Gen. Bohumil Boček nakazał zająć miejscowości w Kotlinie Kłodzkiej i tereny między Głubczycami a Raciborzem. Armia miała także przejąć kontrolę nad ważnym węzłem kolejowym w Głuchołazach.

CZY TO JUŻ WOJNA?

Konflikt wszedł w nową fazę w czerwcu 1945 r. Na początku miesiąca wojska czechosłowackie skoncentrowały się przy granicy z Polską. Ich głównym celem było zajęcie Kłodzka, Raciborza i Głubczyc. 9 czerwca premier Edward Osóbka-Morawski otrzymał od Czechów notę dyplomatyczną o zamiarze przejęcia pierwszego z wymienionych miast. 10 czerwca 1945 r. granicę polsko-czechosłowacką w Chałupkach przekroczył czeski batalion piechoty wspierany przez pluton czołgów i dwa plutony wojsk zmotoryzowanych. Żołnierze

eprasa.pl 2c3697ce2f

wpadali do okolicznych budynków, wyrywali broń polskim strażnikom, zrywali polskie flagi i przeprowadzali rewizje w domach. Polakom kazano opuścić miejscowość. Od tej pory Chałupki miały być czechosłowackie. W tym czasie czołgi jechały dalej w celu zajęcia Raciborza. W krótkim czasie stanęły na przedmieściach miasta.

Wojska czechosłowackie przystąpiły do akcji także w rejonie Kotliny Kłodzkiej. 11 czerwca do Polski wjechał z Broumova pociąg pancerny Moskwa, przejechał przejście graniczne w Tłumaczowie i dotarł do stacji Ścinawka Średnia. „Milicja czeska, korzystając z otwartej granicy, weszła na 10–12 km w granice Dolnego Śląska, zajmując stację kolejową Lewin w obwodzie Kłodzko na linii prowadzącej do Pragi i stację kolejową Mittelwalde w obwodzie Bystrzyca (na linii do Wiednia)" – alarmował w depeszy do Warszawy Stanisław Piaskowski, pełnomocnik polskiego rządu na Dolny Śląsk. Do połowy czerwca kilkanaście miejscowości w Kotlinie Kłodzkiej było już w rękach Czechów, m.in. Lewin Kłodzki i Międzylesie. Tam również zatrzymywano polskich obywateli i konfiskowano mienie.

Dzień po agresji strona polska zażądała od Czechów wycofania się z zajętych terenów, a wojsko zostało postawione w stan najwyższej gotowości. Michał Rola-Żymierski rozkazał 1. Korpusowi Pancernemu przejść na rubież Prudnik-Cieszyn, natomiast 2. Armia została skierowana na linię Prudnik–Nysa. Polscy oficerowie mieli dać Czechom dobę na wycofanie się. W razie niewykonania tego żądania zajęte miejscowości miały zostać otoczone, wojska agresora zatrzymane i odstawione na drugą stronę granicy. W razie otworzenia ognia przez czeskie wojsko Polacy mieli odpowiedzieć tym samym.

14 czerwca z Wrocławia, Legnicy i kilku innych miast wyjechały ciężarówki z oddziałami straży przemysłowej. Do Kotliny Kłodzkiej dotarło w sumie 500 przeszkolonych ludzi, którzy mieli za zadanie nie dopuścić do zajęcia Kłodzka przez Czechów. Jednocześnie w rejonie Cieszyna zostało skoncentrowanych ok. 1 tys. polskich żołnierzy.

POD AUSPICJAMI MOSKWY

W tym momencie Polska i Czechosłowacja stanęły na skraju wojny. 17 czerwca Rola-Żymierski wygłosił w Cieszynie patriotyczne przemówienie. Tego samego dnia wydał rozkaz rozpoczęcia akcji odzyskiwania zajętych terenów w rejonie Kłodzka oraz ataku na Zaolzie. Dzień później odwołał przekroczenie Olzy. Czesi z kolei zrezygnowali z zajęcia Kłodzka, Raciborza i Głubczyc. Powodem była ostra reakcja Sowietów. Władze w Moskwie zareagowały natychmiast. Stalinowi nie był na rękę wybuch wojny między dwoma podległymi sobie państwami. Przez dowództwo 4. Frontu Ukraińskiego przekazał rozkaz wstrzymania wszelkich działań zaczepnych. 19 czerwca na teren powiatu kłodzkiego weszły formacje polskiej 10. Dywizji Pancernej. Tego samego dnia Czesi mieli opuścić wszystkie zajęte wcześniej miejscowości. Za granicę wycofał się także operujący pomiędzy Ścinawką Średnią a Kłodzkiem czechosłowacki pociąg pancerny. 22 czerwca w Kłodzku zaczęły funkcjonować polska komendantura wojenna i garnizon. Dwa dni później Wojsko Polskie weszło do Paczkowa i Głuchołaz.

> Czesi bezkarnie okradali przygraniczne tereny z bydła i płodów rolnych. Zabierali nawet elementy infrastruktury przemysłowej i rolniczej. Strona polska protestowała, jednak zwłaszcza na początku 1945 r. była w zasadzie bezradna wobec tych grabieży

Obsadzenie granicy ograniczyło wypady rabunkowe z południa, jednak sytuacja pozostawała niespokojna. 28 czerwca w okolicach Śnieżnika zostali ostrzelani polscy żołnierze. W późniejszym czasie Czesi twierdzili, że wzięli Polaków za Niemców. Co jakiś czas dochodziło do drobnych potyczek inicjowanych przez obie strony. Jedne oddziały rozbrajały drugie, przy różnych okazjach oddawano strzały ostrzegawcze. Przykładowo w okolicach Świeradowa polski dowódca, chcąc odzyskać kontrolę nad obsadzoną przez Czechów graniczną granią, nakazał strzelać nad ich głowami. Czesi się wycofali. W trakcie tych incydentów nie odnotowano śmierci żadnego żołnierza.

W tym samym czasie pod auspicjami Moskwy trwały rokowania dotyczące kształtu granic. Delegacje spotkały się m.in. w Pradze 16–25 lipca 1946 r. Strona polska przedstawiała kilka propozycji wymiany z Czechosłowacją spornych terenów, jednak wszystkie zostały odrzucone. W końcu pod naciskiem Stalina 10 marca 1947 r. Czesi podpisali układ o przyjaźni z Polską, jednak kwestie sporne pozostały otwarte.

Na ostateczne uregulowanie granicy trzeba było czekać jeszcze ponad 10 lat. Dopiero w porozumieniu z 13 czerwca 1958 r. ustalono zaakceptowanie granicy polsko-czechosłowackiej na Śląsku Cieszyńskim z 1920 r., Spiszu i Orawie z 1924 r. oraz dawną czechosłowacko-niemiecką granicę z 1938 r. na Dolnym Śląsku. Jedyną korektą było oddanie Czechosłowacji osady Tkacze.

Polsko-czechosłowacki spór o granicę z 1945 r. omal nie zakończył się wojną. Przez długie lata między krajami utrzymywała się wyraźna nieufność. Ostatecznie żadna ze stron nie uzyskała więcej niż to, co pierwotnie miała „zagwarantowane" przez Sowietów, a ustalone wówczas granice z małym wyjątkiem są niezmienione do dzisiaj.

Co w tym szczególnego? To bodaj jedyne wydarzenie, w którym Związek Radziecki faktycznie przyczynił się do pokojowego rozwiązania jakiegoś konfliktu.

eprasa.pl 2c3697ce2f

To ona wystąpi jako pierwsza w głównym koncercie Europejskiego Stadionu Kultury 2025 – rzeszowskiej odsłonie potrójnego festiwalu. W trzech miastach – także w Lublinie i Białymstoku – odbędzie się ponad 100 wydarzeń kulturalnych

Zalia na Wschodzie Kultury

Fot. Marcelina Królikowska

eprasa.pl 2c3697ce2f

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Zalia ma 25 lat i status jednej z najbardziej utalentowanych oraz autentycznych młodych wokalistek. Jej utwory regularnie pojawiają się na radiowych listach przebojów. Występuje na najważniejszych muzycznych imprezach w Polsce, takich jak Open'er Festival, Orange Warsaw Festival czy Męskie Granie. Podczas tegorocznego festiwalu w Opolu współprowadziła koncert Debiuty i brawurowo zaśpiewała „Płonącą stodołę" Czesława Niemena.

Zalia, czyli Julia Zarzecka, zadebiutowała w 2022 r. albumem „Kocham i tęsknię", który przyniósł jej nominację do nagrody Fryderyka w kategorii Fonograficzny Debiut Roku.

Jest gruntownie wykształcona muzycznie. Na pierwszym etapie edukacji przeszła przez klasę skrzypiec, potem fortepianu. Ostatecznie postawiła na śpiew. Studiowała w londyńskim British and Irish Modern Music Institute na kierunku Vocal Performance and Songwriting. Brała udział w 12. edycji programu „Mam talent!", gdzie doszła do półfinału. Popularność zdobyła dzięki oryginalnemu połączeniu popu, soulu i elektroniki. Jej pozycja w mediach i na scenie sprawiła, że to właśnie ona otworzy szczególne wydarzenie w Rzeszowie.

KOLEKTYWY

Finałowy Koncert Główny Europejskiego Stadionu Kultury odbędzie się w piątek, 27 czerwca, przy hali Podpromie. Zorganizowano go w ramach Europejskiego Święta Muzyki (jako kulminację programu kulturalnego polskiej prezydencji w Radzie UE), a także w 15-lecie uczestnictwa Rzeszowa we Wschodzie Kultury – festiwalowym tercecie największych miast i zarazem ośrodków kulturalnych wschodniej Polski.

Na rzeszowskiej scenie pojawią się wyjątkowe artystyczne „kolektywy", czyli duety tworzone tylko na tę jedną okazję. Wystąpią m.in. Lanberry & Kazka (Ukraina), Wiktor Dyduła & MokuMoku (Gruzja), AbradAb & Serhii Babkin (Ukraina), Matylda/Łukasiewicz & Yegor Zabelov (Białoruś). Koncert będzie transmitowany w TVP. W ramach Europejskiego Stadionu Kultury, który potrwa 26–29 czerwca, zaplanowano ponad 40 wydarzeń. Są wśród nich koncerty, spektakle, wystawy, instalacje, warsztaty (szczegóły na stronie ESK).

ALTERNATYWA

Kolejny na trasie będzie Lublin. 3–6 lipca już po raz 18. (a 12. w ramach Wschodu Kultury) odbędzie się festiwal Inne Brzmienia. W programie „muzyka, która wymyka się schematom i stawia na autentyczność". Na festiwalowych scenach wystąpią legendy alternatywy: Voivod, The EX, A Place To Bury Strangers i The Messthetics z udziałem Jamesa Brandona Lewisa. Nie zabraknie też artystów poszukujących – PETBRICK, Marii W Horn, Mitsune, MaidaVale, a z Polski m.in. Zamilskiej i Raphaela Rogińskiego. Festiwal zaprezentuje nowojorską wytwórnię Stone Tapes i jej artystów: Laraajiego, Lee Ranaldo (Sonic Youth) i Yonatana Gata. Publiczność pozna także twórców z krajów Partnerstwa Wschodniego, takich jak Flower & Pines, Newa i NFNR, oraz efekty współpracy z UK/Poland Season 2025, m.in. Ela Orleans i Dopey Monkey. Program uzupełnią literackie premiery z regionu Europy Wschodniej, pokazy filmowe, wystawy i Małe Inne Brzmienia dla dzieci.

INNY WYMIAR

Wschód Kultury zamknie (10–13 lipca) białostocki Inny Wymiar. Festiwal zainicjowany w 2007 r. (od 2013 r. organizowany w ramach projektu Wschód Kultury) pokazuje bogactwo wielokulturowości Podlasia, w szczególności Białegostoku. Swoją twórczość prezentują na nim artyści różnych narodowości i kultur. W tym roku organizatorzy zaplanowali ponad 30 wydarzeń. W części muzycznej wystąpią m.in.: Stefan Wesołowski z projektem „Song of the Night Mists", Sw@da x Niczos oraz Fokus i Rahim z Paktofoniki z jubileuszowym projektem „Retrospekcje". Będą też koncerty z potańcówkami.

W programie teatralnym znajdzie się m.in. spektakl „Helena" w reżyserii Magdaleny Dąbrowskiej. Inny Wymiar Filmu zaprezentuje klasykę i dokumenty, w tym nagradzany obraz „Pod powierzchnią" Kingi Michalskiej. Temat tożsamości i pamięci pojawi się m.in. dzięki książce „Na tatarskim szlaku". Z myślą o turystach przygotowano również spacery miejskie.

Wschód Kultury, nazywany przez organizatorów „interdyscyplinarnym wydarzeniem", jest realizowany od 2013 r. we współpracy z Narodowym Centrum Kultury. Na wszystkie imprezy festiwalu wstęp jest wolny.

Czytaj też „Moje szlaki", str. 70

Fot. Def Jam Recordings Poland

eprasa.pl 2c3697ce2f

Sławomir Łosowski Orchestra

To znakomity kompozytor i aranżer, autor niezapomnianych motywów muzycznych i oryginalnego brzmienia. Muzyczny malarz wierny analogowym syntezatorom

Gdy mówimy o muzyce elektronicznej sprzed kilku dekad, od razu przychodzi nam na myśl Jean-Michel Jarre, Vangelis, Koto czy Oldfield. Na polskiej scenie to zdecydowanie założyciel Kombi Sławomir Łosowski, który jednak przyznawał się do zupełnie innych inspiracji, wymieniając choćby tak ważnych pianistów jazzowych, jak ojciec chrzestny jazz-rocka Joe Zawinul czy niezwykle wszechstronny mistrz klawiatur i syntezatorów, George Duke. Choć tworzył w czasach PRL, nigdy chciał być naśladowcą i imitatorem.

Dziś wiemy, że stworzył bardzo oryginalne brzmienie muzyki powstającej nad Wisłą, ale przecież komponowanej przy pomocy instrumentarium z trudem zdobywanego na Zachodzie. I choć utwory składające się na kompilację starego i nowego mają po kilkadziesiąt lat, a do tego zostały studyjnie odświeżone i przearanżowane, wciąż brzmią pociągająco, nie tracąc pierwotnego wyrazu i witalnej dynamiki. Płyta jest 74-minutową podróżą przez trwającą już 50 lat historię zespołu. Nie ma chyba w Polsce osoby, która nie rozpoznałaby choćby jednej frazy wplecionej w materię tych popularnych utworów, jak choćby otwierającego tę składankę „Bez ograniczeń energii", znanego z czołówki programu „5-10-15", a faktycznie w końcu lat 70. będącego odpowiedzią kompozytora na kryzys energetyczny późnego Gierka. Jeszcze kilka lat „zielonej transformacji", a będzie musiał skomponować jego dalszą część.

Sławomir Łosowski to nie tylko muzyk i kompozytor znanych i wydobywanych z syntezatorów motywów. To także plastyk, syn znanego gdańskiego rzeźbiarza i malarza Alfonsa Łosowskiego, będącego autorem m.in. popiersi książąt pomorskich Mściwoja i Świętopełka znajdujących się parku Oliwskim w Gdańsku. Więc Łosowski od dziecka rysował i malował, a u ojca się zapożyczał, by zdobywać coraz lepszy sprzęt, np. komputer Commodore 64.

Słuchając tych wręcz pomnikowych melodii, tak barwnie aranżowanych przy pomocy elektroniki, nie mam wątpliwości, że na inny sposób jest muzycznym malarzem, z łatwością korzystającym z dźwiękowych barw i tonów, by tworzyć wciągające muzyczne pejzaże, migotliwe impresje czy nawet abstrakcje. Jako jeden z pierwszych eksperymentował z brzmieniem, z trudem kolekcjonując instrumenty klawiszowe, czasem kiepskich marek, by potem modyfikować je na własne potrzeby. Do dziś korzysta głównie z analogowych syntezatorów, by wydobywać z nich odpowiednie dźwięki i koloryt. W końcu nazwa Kombi miała zapowiadać, że zespół pragnie kombinować z brzmieniem, choć swego czasu stał się fabryką przebojów.

Na tej płycie Łosowski przypomina o sobie tym, z czego jest znany przede wszystkim – elektronicznych kompozycji instrumentalnych. Przynosi ona odświeżone perełki, które wiele lat temu Kombi umieszczało na swoich albumach lub singlach, a także instrumentalne wersje słynnych przebojów (m.in. „Słodkiego miłego życia") oraz trzy nowe utwory, m.in. „Koronację", skomponowaną na milenium koronacji Bolesława Chrobrego. Melodię niosą nieco tubalne fanfary, beat perkusji imituje uderzenia mieczy o tarcze, a całość uzupełnia pomruk mnisiej wokalizy.

Ale są też najstarsze utwory, jak m.in. odświeżona „Cyfrowa gra" z 1984 r., jeden z pierwszych utworów Łosowskiego, stworzony przy użyciu pięciogłosowego syntezatora Prophet-5, który pojawił się na fali eksplozji produkcji muzycznej elektroniki bazującej na technologii cyfrowej. Daje on właśnie TO brzmienie i to właśnie ten instrument był narzędziem pozwalającym cyfrowo zarządzać analogowym syntezatorem. Co ciekawe, posiadany przez kompozytora do dziś model Rev3 został zakupiony latach 80. w jednym z berlińskich komisów, do którego wstawili go muzycy z Tangerine Dream. Słyszymy również monumentalny, choć nieco pastelowy, motyw „Wspomnienia z pleneru", będący autentycznym wspomnieniem z wyprawy po morenowych wzgórzach, podczas której Łosowski spacerował z ojcem w poszukiwaniu kamieni wykorzystywanych potem do pracy artystycznej. Jest też przebojowy temat „Grane w słońcu", wydobyty na ponad 45-letnim miniKORGU 700s. To przy brzmieniach tego instrumentu temperatura gwałtownie rośnie, szczególnie wtedy, gdy płyną dźwięki instrumentalnej wersji „Przytul mnie", strony B singla wydanego w maju 1980 r. Łosowski to król analogowego syntezatora.

KOMBI Łosowski „Instrumentalnie", e-muzyka S.A. 2025

Maciej Walaszczyk

eprasa.pl 2c3697ce2f

Opolska nicość i nuda

Magia, oryginalność i autentyczność – na opolskiej scenie brak tego towaru. Ich ostatnie zapasy wynoszą już z archiwalnych magazynów, a z serc publiczności odkopują ostatnie pokłady nostalgii. Dokładając kabaretową tandetę

MACIEJ WALASZCZYK

Koncert „Debiuty" 62. Krajowego Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu wygrała polityczna poprawność, a więc czarnoskóry Daniel Godson, syn Johna Godsona, byłego polityka Platformy Obywatelskiej nigeryjskiego pochodzenia. Wtórna muzyka i poprawne wykonanie zostały ocenione wyżej niż np. stonowany, może nie tyle zaskakujący, ile bardzo przekonujący występ znakomicie śpiewającego i akompaniującego sobie na fortepianie Stasia Kukulskiego. Ale może uwikłane w polityczno-środowiskowe zależności jury uznało za niestosowne wręczenie nagrody im. Anny Jantar wnukowi piosenkarki, decydując się na uhonorowanie zupełnej imitacji? Tymczasem syn Natalii Kukulskiej ma autentyczny talent wokalny i z tego, co słychać, porządny warsztat artystyczny, co swego czasu udowadniał także w „Szansie na sukces", śpiewając piosenki Wilków i Roberta Gawlińskiego. Debiut równie dobrze mogłaby wygrać przebojowa Julia Tkacz, ale także w przypadku tej nastolatki najwyższe gremia były innego zdania.

O wcześniejszym koncercie Premiery, w którym rywalizowali już okrzepli na scenie wykonawcy, można najwyżej powiedzieć, że się po prostu odbył. Przy nie do końca zapełnionym amfiteatrze i w asyście niepanującego nad konsoletą dźwiękowca.

Ogólnie oba koncerty wskazują rzeczywiste miejsce, w jakim znalazła się polska piosenka. Są probierzem bezpłodności muzyków, producentów i organizatorów imprezy, w której ani widowiskowa oprawa, ani telewizyjna realizacja, pełna inwencji choreografia czy nadmiar scenicznych rekwizytów nie zatrą wrażenia, że większość występów ziała muzyczną nicością. Znane nazwiska nie porywały, piosenki nużyły i może rzeczywiście najciekawszą propozycję przedstawiła Ania Iwanek z piosenką „Nie dla nas", potwierdzając swój wielki talent po zwycięstwie w „The Voice of Poland". Może decydentom od rozrywki da także do myślenia fakt, że w głosowaniu esemesowym publiczność przyznała nagrodę Katarzynie Żak za poruszającą, przewrotnie romantyczną piosenkę „Bo jeśli miłość ma kres?". Aktorka zaśpiewała po prostu coś, czego nikt nie lansuje w mediach. Jak widać, ludzie tęsknią do estetycznej normalności, której handlarze masowej rozrywki kompletnie nie czują.

OPOLE, CZYLI KŁOPOT

Z Opolem jest kłopot, którego mimo różnych zabiegów nie sposób łatwo rozwiązać. Festiwal z koncertami

eprasa.pl 2c3697ce2f

z serii „Debiuty", „SuperJedynki" czy „Premiery", z widowiskami honorującymi jubileusze lub dorobek „znanych i lubianych" oraz nieodłącznym od lat kabaretonem ma dwa oblicza. To z jednej strony impreza z ogromnymi tradycjami, przywołująca naprawdę dobre wspomnienia i wciąż usiłująca lśnić pewnym prestiżem. Z drugiej, to kiepsko starzejący się i ziejący nudą relikt minionych epok, którego nie ożywi nawet wieczór z polskim hip-hopem. Bo i ten punkt programu to jedynie echo opolskich koncertów sprzed 25 lat, na których postanowiono wówczas pokazać, choć poza amfiteatrem, zjawisko buzujące siłą i emocjami.

Jednak dziś, w erze nadmiaru wrażeń i bodźców, banalnej wręcz łatwości, z jaką można zdobyć i odsłuchać cokolwiek, trudno czymś zaskoczyć publiczność. Ta niczym w markecie wybiera przecież to, na co ma w danej chwili ochotę. Jej uwaga jest rozproszona, gusta kształtowane przez muzyczne mody przychodzące z całego świata lub pseudoartystycznego, często wulgarnego półświatka dominującego z internecie. Jednocześnie komercyjna konieczność gromadzenia przed telewizorami odpowiednio dużej widowni, walka o udziały w rynku, oglądalność i skupienie uwagi choćby kilkuset tysięcy widzów o jednej porze zmusza organizatorów do szukania jakiegoś złotego środka. A tego, jak się okazuje, nie ma. Krótko mówiąc, „Debiuty" i „Premiery" to raczej skrojone pod publikę i podobne do siebie „silikonowe" produkcyjniaki, imitujące wszelkie muzyczne trendy i dopasowane do w miarę szerokich gustów.

Koncerty „w hołdzie", z okazji 30-, 40-, 50-lecia pracy artystycznej, choć bardzo dobre, eksploatują coraz głębsze i z coraz większym wysiłkiem wydobywane pokłady nostalgii. Świadczy o tym choćby taki obrazek: kończy się koncert, Artur Orzech przekazuje Danucie Błażejczyk statuetkę opolskiej SuperJedynki. Weteranka sceny po 40 latach ponownie wykonuje utwór „Taki cud i miód". W czasie tego samego koncertu statuetkę odbiera też Wojciech Waglewski z Voo Voo, nagroda „za 40 lat działalności" trafia też do Urszuli, honory za 35-lat na scenie odbierają Elektryczne Gitary, swoje ćwierćwiecze świętuje Patrycja Markowska czy wypłowiały już dziś Myslovitz, oczywiście bez Artura Rojka. Muzeum czy festiwal?

„WYPIJMY ZA BŁĘDY", CZYLI „TRZY ĆWIARTKI" ZA DUŻO

Najmocniejszą propozycją organizatorów były na pewno koncerty poświęcone Jackowi Cyganowi i Wojciechowi Trzcińskiemu. Tutaj było czego posłuchać, powspominać. To wszak kawał historii polskiej piosenki i rozrywki z najwyższej półki przypomniany z gronem świetnych wykonawców. Wśród nich m.in. Edyta Górniak, która była jedną z gwiazd koncertu z okazji 75. urodzin Jacka Cygana. Wszystko odbyło się zgodnie z planem. Najpierw w duecie z Mietkiem Szcześniakiem zaśpiewała „Dumkę na dwa serca", a później powróciła na scenę, by wykonać swój przebój z Eurowizji 1994 – „To nie ja", który w tym samym roku śpiewała w Opolu podczas niekończących się bisów do samego rana. Taka atmosfera, panująca jeszcze w połowie lat 90., a więc już w czasach eksplozji wolnego rynku, piractwa, dynamicznego rozwoju stacji radiowych, wyparowała w nieznanym kierunku. Dziś jedyne, co mogła zaoferować, to ostentacyjne pożegnanie z festiwalem ogłoszone wpisem na Instagramie.

Ale by nie tylko narzekać, opolski festiwal to też mająca ogromny potencjał anegdotyczny historia urodzinowego występu Ryszarda Rynkowskiego w ramach koncertu o wymownym tytule „Trzy ćwiartki Jacka Cygana". Jak wszystkim pewnie wiadomo, do występu nie doszło z powodu zderzenia piosenkarza z nadmiarem alkoholu. Rynkowski nie tylko chciał śpiewać, lecz także postanowił przyjechać do Opola „po spożyciu". Niestety w trasie uczestniczył w kolizji, zbiegł z miejsca zdarzenia, a policja znalazła go w domu pijanego i z rozbitym czołem. „Nasz znakomity wokalista miał wyjść na scenę, ale miał wypadek samochodowy, w którym trochę się potłukł" – uspokajał rozczarowaną publiczność Jacek Cygan, autor słynnego przeboju „Wypijmy za błędy", który po 35 latach nieoczekiwanie nabrał nowego znaczenia.

KABARETOWA MIAŁKOŚĆ

A Kabareton? To wypadkowa starych i nowych trendów skrojona na polityczne zamówienie telewizyjnych władz, tym razem ku pamięci Stanisława Tyma. Widowisko okazało się zupełnie nieudane – nikogo nie śmieszyło. W Polsce kabaret od dekad funkcjonuje raczej jako satyra silnych i wpływowych na słabych i pozbawionych głosu. To często ordynarny rechot pupili elit posiadających symboliczną władzę nad swoimi poddanymi. Taką mamy rzeczywistość. Podejmowane w zeszłym roku przez Zenona Laskowika wysiłki sięgnięcia szczytów żenady w tym roku przebił Jacek Fedorowicz. W latach 80. XX w. tworzył satyryczny komentarz w warunkach cenzury, ale sam – może tego nie widzi – od lat stoi na straży nowej cenzury reprezentującej panujący establishment. Robert Tekieli zauważył, że po prostu nigdy nie potrafił się wyrwać ze stadnego kręgu „michnikowszczyzny". By zrozumieć cokolwiek z tego, co aktor mówił na scenie, musielibyśmy wyobrazić sobie sytuację, w której w latach 80., podczas tego samego Kabaretonu, ktoś zdecydowałby się nabijać z politycznych więźniów, „idiotów" stojących w kolejkach po mięso, cukier czy pralki, lub po prostu „roboli" z blokowisk żyjących od pierwszego do pierwszego. Pełen aluzji, inteligentny kabaret podczas organizowanej przez państwo imprezy w tamtych warunkach przeżywał jednak swoją złotą erę, bo był odwrotnością tandety oferowanej przez TVP.

Opole to dziś w najlepszym razie sentymentalna i przewidywalna podróż w czasie z dodatkiem niezbyt oryginalnych debiutantów, upychanych na scenie przez wypadkową układów, menedżerów i producentów. By wskrzesić polską piosenkę i kabaret, potrzeba rewolucji i odważnych wizjonerów. Trafianie w gusta, imitacja, szukanie poklasku i polityczna poprawność to droga donikąd. I nie trzeba przed tym przestrzegać – właśnie się tam znaleźliśmy.

Fot. AKPA

eprasa.pl 2c3697ce2f

„Omen. Początek” – konserwatyści w roli pomocników szatana

HITY i KITY ZAREMBY

Data premiery filmowego horroru „Omen” Richarda Donnera to 1976 r. Tyle że w tamtych czasach amerykańskie filmy docierały do Polski po kilku latach. Ja obejrzałem „Omen” dopiero w 1979 r. Skąd to wiem? Bo widziałem go w krakowskim kinie. Do tego miasta dotarłem dopiero wtedy

Byłem zachwycony i pozostaję wierny tej opinii. To popis precyzyjnej, logicznej, świetnie podawanej opowieści. Zbudowanej jak najlepszy kryminał, w którym jednak sprawcą jest niepokazany skądinąd diabeł. Rozmaite fabularne sztuczki rodem z kina grozy nie zdążyły nam jeszcze wtedy spowszednieć – w tym pomysł, że narzędziem zła może być dziecko. Było to autentycznie szokujące, choć dziś prędzej przyprawi o ziewanie.

Wszystko się tu zgadzało, łącznie z aktorskimi rolami i wbijającą w fotele suitą Jerry'ego Goldsmitha. Pomysł, że dziecko diabła wchodzi do amerykańskiej elity, prowokował do dalszych ciągów. „Omen” doczekał się więc trzech sequeli, słabszych niż oryginał. Nakręcono też remake Johna Moore'a z 2006 r., mimo świetnej obsady pozbawiony napięcia oryginału. Teraz młoda reżyserka Arkasha Stevenson postanowiła nam opowiedzieć, co działo się wcześniej – skąd się wzięło dziecko podsunięte w rzymskim szpitalu amerykańskiemu dyplomacie, granemu w 1976 r. przez Gregory'ego Pecka.

Pewnie liczono na emocje amatorów pierwszego „Omenu”. Przez polskie kina „Omen. Początek” przemknął jak duch. Teraz zaczął go pokazywać kanał HBO. W ostatnim czasie można wskazać co najmniej 10 filmów rozgrywających się wewnątrz kościelnych instytucji, które stają się przestrzenią działania nadprzyrodzonego zła. Ciężko więc o zachłyśnięcie się tu czymś odkrywczym. Kolejna zakonnica, Amerykanka sprowadzona do Rzymu, odkrywa przerażające tajemnice.

Jeśli warto zwrócić uwagę na ten film, to z innego powodu. Wątek diabelskich knowań pojawia się w wielu produkcjach i w wielu pomagają im księża oddani szatanowi. Tak było w pierwszym „Omenie”. To ks. Spiletti zaproponował ambasadorowi Thornowi adopcję Damiena. Inny ksiądz, malowniczy ojciec Brennan, też był uczestnikiem tego spisku, choć potem próbował zmienić bieg wydarzeń. Niby więc nic nowego. A jednak...

Tu niestety jestem skazany na spoilerowanie. Nie wiem, dlaczego w tym rzekomym prequelu ks. Brennan odgrywa zasadniczo odmienną rolę niż w oryginale ani dlaczego z zakończenia wynika inny splot faktów niż z filmu Donnera. Tam dowiadywaliśmy się, co się stało z matką Damiena. Tu dzieje się z nią coś innego.

Istotne jest jedno. Jeśli wierzyć ks. Brennanowi – a w filmie nic nie podważa jego wersji – spisku nie zawiązują bynajmniej utajnieni sataniści. Robią to podobno kościelni konserwatyści, zaniepokojeni perspektywą laicyzacji zachodniego świata. Dziecko szatana ma wywołać błogosławiony konflikt, który zahartuje wiarę milionów. Intrydze przewodzi kardynał grany przez Billa Nighy'ego.

W jaki sposób owi konserwatyści porozumiewają się z diabłem? Jak podsuwają mu kolejne kobiety? To pozostaje niejasne. Samo założenie kontrolowanego działania na rzecz przeciwnika wiary brzmi tak absurdalnie, że autorzy filmu tym bardziej unikają konkretów.

Ale można odnieść wrażenie, że wierzą w jedno: kościelny tradycjonalizm to służba szatanowi. Brzmi to infantylnie. Współbrzmi jednak z wieloma innymi produkcjami, w których Kościół katolicki służy złu nie dlatego, że skapitulował przed diabłem, ale dlatego, że pozostaje Kościołem. Tu takie przekonanie podsuwa nam się aluzjami, ale znamiennymi dla stosunku współczesnej popkultury do religii traktowanej jako źródło opresji.

Piotr Zaremba

W niewoli mitów: „Rok w PRL”

Łukasz Modelski, historyk i dziennikarz, napisał „Rok w PRL. Codzienność na kartki”. W pierwszym rozdziale tłumaczy, że wielu z nas na zawsze przesiąkło mitami rodem z PRL: od wiary, że stan wojenny ocalił Polaków przed sowiecką interwencją po wspomnienie „szynki jak za Gierka”, w rzeczywistości wcale nie tak wspaniałej. Pora potrząsnąć iluzjami.

Zrazu reagowałem sceptycznie. Są w tej książce okruchy polityki, ale przede wszystkim potężna porcja „peerelowskiego lifestyle'u”. Zaraz przypomniało mi się, że powstało sporo takich książek, kilka stoi u mnie na półce. Te wszystkie wyroby czekoladopodobne, kłopoty z wymienialnością dolara, te wczasy pracownicze i trudności ze znalezieniem fachowców od napraw opisywano już nieraz.

Jednak autor rozproszył moje wątpliwości. Pomogła już sama forma. Mamy rok rozpisany na daty dzienne, a z każdą Modelski łączy jakieś zdarzenie. W efekcie skaczemy po różnych czasach: w styczniu stworzenie Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego w 1945 r. sąsiaduje z otwarciem pierwszego sklepu sieci Pewex w 1974 r. Na dokładkę samo zdarzenie często bywa pretekstem wykoncypowanym całkiem zabawnie.

Oto 19 czerwca 1945 r., dzień rejestracji klubu sportowego Piast Gliwice. Co w tym ważnego? Ano to, że przy okazji Modelski opowiada nam o roli dynastii Piastów w polityce historycznej tamtej władzy, będącej konsekwencją piastowskich granic. Poznajemy stosunek peerelowskich Polaków do historii, a także do innych narodów i tradycji kleconych naprędce jak w „Misiu”. Takie syntezy zbiorowego myślenia wydają mi się nawet ciekawsze od archeologii zjawisk materialnych.

Oczywiście można spytać, czy da się oddać zbiorowe nastroje i mniemania z czasów, kiedy nie było badań opinii publicznej, a władza, do 1989 r. niedemokratyczna, nie ułatwiała badania czegokolwiek. Znalazłem u Modelskiego niewiele błędów historycznych – Stanisław Mikołajczyk wspomniany przy okazji sfałszowanych wyborów nie wylądował w Polsce w 1947, a w 1945 r. Czy jednak rekonstrukcja zbiorowego myślenia jest tu zawsze prawidłowa? Może nie da się jej naukowo przeprowadzić. Ale mam wrażenie, że autor z reguły trafia. Też tak to pamiętam.

Pamiętam wraz ze smutną konkluzją, że w PRL mało kto był całkiem niezależny od mitów kreowanych przez tamte władze lub manipulowane przez nie środowiska, do pewnego momentu ja także. Przy okazji można podziękować autorowi za rozliczne smaczki obyczajowe i światopoglądowe. Choć czy istotnie Ewa Zarzycka, studentka ze środowiska opozycyjnych komandosów, gasiła papierosy w dżinie, a nie w dżemie, jak opisywała marcowa propaganda piętnująca „bananową młodzież”? Bo że Zbyszek Cybulski nie był wybitniejszym aktorem od Jamesa Deana – tu będę się upierał.

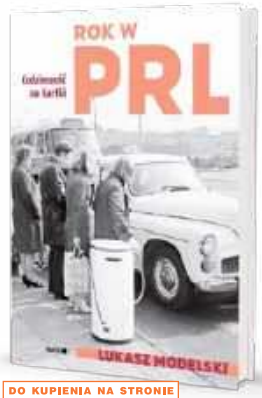

DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

Śmiechem w szaleństwa świata

Napisałem kiedyś, że warszawski Teatr Scena Współczesna „uderza śmiechem w szaleństwa świata”. To skromna placówka kultury utrzymywana z pieniędzy miasta. Właśnie specjalnym programem uczciła pierwszą rocznicę przeprowadzki do kolejnej siedziby. I ja tam byłem

Od lewej Łukasz Matecki, Monika Mariotti i Robert Majewski – w „Wieczorze trzech coachów”

Pierwszy raz mamy scenę teatralną w biurowcu – Adgar Park West przy Al. Jerozolimskich. Skądinąd teatr ten tuła się nieustannie – z poprzedniej siedziby na Mokotowie wygnał ich deweloper. Klimatyczny budynek zburzono pod blok mieszkalny. A jednak mimo trudności scena istnieje już 27 lat. To autorskie dzieło dyrektora Włodzimierza Kaczkowskiego, który sam pisze teksty (jednak z udziałem aktorów) i reżyseruje.

„Wszystkie dzieła Szekspira”, „Historia świata w skróconej wersji”, „I ty zostaniesz Chińczykiem” to spektakle Kaczkowskiego, powstające jako mądra zabawa aktorów z publiką. Składają się ze skeczów, ważną rolę odgrywa przetykająca je muzyka, sprawnie podawana piosenka aktorska. Jednocześnie te widowiska spaja wiązanka myśli. Są to opowieści – lub może przypowieści – o ważnych sprawach, tendencjach i szaleństwach naszej cywilizacji. Ich ostatni spektakl „Wieczór trzech coachów” to obrachunek z modami na treningi personalne i psychoanalizy, a tak naprawdę opowieść o samotności współczesnego człowieka.

Ten teatr nie ma aktorów na etatach, ale ci, którzy w nim grają, są mu wierni od lat. W koncercie rocznicowym stare i nowe przeboje tej sceny śpiewali Łukasz Matecki, Maciej Makowski, Jarosław Domin i Bartosz Głogowski. I byli świetni – piosenkę z „Wieczoru trzech coachów” o ludzkiej głupocie warto sobie powtarzać. Widownia uczciła brawami dyrektora Kaczkowskiego i menedżerkę teatru Julię Szczęsną. Mogę się tylko dołączyć.

3 MIŁOŚCI

Dziewczyna nazywana Światłem

ROBERT TEKIELI

Kostniakomięsak. Brzmi potwornie. Podobnie po łacinie: *osteosarcoma*. Ciężki, bolesny nowotwór kości. Umiera na niego 19-letnia dziewczyna. Umiera uśmiechnięta.

Widząc obrazy chrześcijańskich męczenników, którzy na torturach mają rozanielone twarze, sądzimy często, że malarze antycypują błogość nieba, której katowani czy oblewani wrzącym olejem dostąpią chwilę po śmierci. Tyle że są to przedstawienia realistyczne. Św. Szczepan, pierwszy męczennik, diakon tworzącego się właśnie Kościoła, modlił się za kamienujących go oprawców, a tuż przed śmiercią „jego twarz jaśniała jak oblicze anioła". Pomyślałem o tym, gdy kilkanaście lat temu na serii czarno-białych zdjęć zobaczyłem wykrzywione w potwornym lęku, zdziwieniu, szoku i panice twarze umierających okultystów, magów, satanistów.

Intelektualizm od czterech stuleci dekonstruujący zachodnią cywilizację, społeczeństwo i kulturę swym ostatnim filozoficznym paroksyzmem – postmodernizmem – kończy dzieło niszczenia. Wysiłkiem pokoleń oświeconych ludzi stworzono ze słów barierę dzielącą współczesnych od *sacrum*, od kochającego ich Boga. Dziś bardzo trudno jest mówić w sposób nieodpychający odbiorcy o świętości, heroizmie czy grzechu. O świecie nadprzyrodzonym.

A przecież jaśniejącą, rozpromienioną, promieniejącą twarz po spotkaniu Boga miał już będący u początków naszej historii Mojżesz. Tak zapamiętali go nawet jego szemrzący przeciwnicy. Rozmawiamy o obiektywnie istniejącym świecie. Są bowiem sprawy widzialne i niewidzialne.

Promienie monstrancji są realistycznym, zmysłowo dostępnym przedstawieniem rzeczywistości zmysłowo niedostępnej. To, co niedostępne zmysłami, jest odbierane przez osoby wrażliwe jako wrażenie. Wiele osób spotykających się w ostatnich latach życia z Janem Pawłem II mówiło o otaczającej jego głowę delikatnej światłości. I dokładnie w takiej tonacji kreślą obraz właściwie wszyscy piszący o Klarze Badano, zmarłej jesienią 1990 r. 19-letniej Włoszce. Nastolatce rozradowanej, że idzie na spotkanie ze swoim Oblubieńcem i na łożu śmierci wspólnie z mamą przygotowującej „uroczystość zaślubin", jak sama nazywa swój pogrzeb.

Żyjemy w świecie z twarzą Aborcjela, w którym młodzi ludzie są smutni i zagubieni, gdzie utracone zostały wiara w Boga i zaufanie do Kościoła, a rodzina przestała być oparciem i fundamentem. Nowożytny intelektualizm poniósł klęskę, choć wygrał

Chiara Lubich, założycielka Focolari, nazwała Klarę Badano Chiara Luce, to znaczy Jasne Światło. Klara jest też nazywana Lilią, Arcydziełem Boga, Klejnotem Kościoła.

Jedni piszą tak: „Elegancka, energiczna, delikatna, wysmukła, wysportowana. Lubiła śnieg i morze. Normalna, młoda chrześcijanka. Nagle choroba, potem agonia, śmierć i proces beatyfikacyjny". Inni zauważają, że w wielu tekstach o niej mamy głównie „opowiadanie o tym, jak lubiła sport, rower, pływanie, tenis, wrotki, spotkania z przyjaciółmi, lody, gry planszowe... I gdzieś umyka oblubieńcza miłość do Jezusa, zjednoczenie z Chrystusem cierpiącym i osamotnionym, heroiczna zgoda na wolę Bożą (Sempre si – zawsze TAK dla woli Bożej), czystość, która każe niektórym osobom nazywać ją Lilią, swoiste męczeństwo w chorobie, w której pragnie przeżywać cierpienie razem z ukochanym Jezusem, rezygnując ze środków uśmierzających ból. Niewiele mówi się o ofiarach składanych przez Klarę za Kościół, ruch Focolari, młodzież, niewierzących (wśród których miała przyjaciół). Sprawa jej mistycznych uniesień i objawień pojawia się incydentalnie i jakby między wierszami". Na zdjęciach widzimy po prostu radosną nastolatkę. Zdjęć jej udręczonej twarzy jest niewiele.

Urodziła się 29 października 1971 r. w Sassello na północy Włoch. Jej rodzice – ojciec, kierowca ciężarówki i mama, gospodyni domowa, 11 lat od ślubu modlili się i z tęsknotą czekali na dziecko. – Klara była dzieckiem wielkiej miłości – mówi ks. dr n. med. Marcin Łyżniak, kapelan szpitala oraz wykładowca bioetyki i medycyny pastoralnej w Wyższym Metropolitalnym Seminarium Duchownym Archidiecezji Warszawskiej. – Rodzice od początku mieli świadomość, że córka nie należy

Fot. www.chiarabadano.org

eprasa.pl 2c3697ce2f

do nich, ale do Boga. Już jako nastolatka zakochała się w Jezusie opuszczonym, a swoją wiarę rozwijała w oparciu o duchowość Chiary Lubich, założycielki ruchu Focolari. Była normalnym dzieckiem, które doświadczyło jednak prawdziwego Spotkania.

W 1980 r. rodzina Badano styka się z Focolari. Na spotkaniu dziewczynek 9-letnia Klara odkrywa swój „Ideał jedności". „Gdy wróciliśmy do domu – mówi jej mama – powiedzieliśmy sobie, że gdyby nas ktoś dzisiaj zapytał, kiedy zawarliśmy małżeństwo, odpowiedzielibyśmy: gdy spotkaliśmy ten Ideał życia".

Mając 12 lat, 27 listopada 1983 r. Klara pisze do Chiary Lubich: „Odkryłam, że Jezus Opuszczony jest kluczem do jedności z Bogiem i chcę go wybrać jako mojego jedynego umiłowanego i przygotować się na jego przyjście. Wybierać go!". Dwa lata później, w 1985 r., Klara przenosi się do Savony oddalonej od domu o godzinę jazdy samochodem, by uczyć się w gimnazjum i liceum klasycznym. Zaczynają się problemy w nauce i nastoletnie nieporozumienia z rodzicami. Ile godzin można przesiedzieć w weekend z przyjaciółmi w kawiarni? Klara zostaje na drugi rok w trzeciej klasie gimnazjum. Coś jeszcze? Piszący o niej hagiografowie niechętnie dzielą się szczegółami. Ale jej duchowy rozwój się nie zatrzymał. Tego samego roku pisze do Chiary Lubich: „Odkryłam na nowo Ewangelię, w nowym świetle. Zrozumiałam, że nie byłam autentyczną chrześcijanką, ponieważ nie żyłam nią do końca. Teraz chcę uczynić tę wspaniałą księgę moim jedynym celem. Nie chcę i nie mogę pozostać analfabetką tak nadzwyczajnego przesłania. Tak jak łatwo mi przychodzi nauczyć się alfabetu, tak samo łatwo powinnam nauczyć się żyć Ewangelią". Oto droga od pierwszego do drugiego nawrócenia. Od niezmąconej radości Zwiastowania, po dojrzałą akceptację Krzyża, po zgodę na cierpienie, przyjęcie i utulenie opuszczonego Jezusa. Jezusa wołającego do Ojca: „Boże mój, Boże, czemuś mnie opuścił!".

Adonai.pl: „Klara podoba się i jest lubiana; stale otoczona przyjaciółmi i przyjaciółkami. Bardzo lubi sport: tenis, pływanie, wycieczki górskie. Nie potrafi ustać w miejscu. Chciałaby zostać stewardesą. Ogromnie lubi tańczyć i śpiewać. Lubi się elegancko ubrać, starannie uczesać, czasami zrobić sobie delikatny makijaż, ale bez przesady. Chłopcy za nią biegają, a ona lubi marzyć. Czasami

mówi do przyjaciółki, patrząc na jakiegoś chłopca: »Wiesz, ten mi się podoba«. Ale nic więcej. Szczególna przyjaźń łączyła ją z Lucą. Jeśli nie była to wręcz miłość, to przynajmniej bardzo mocna sympatia. Jednak nie pozwala sobie na kompromisy. Zostawia go – mimo że nadal bardzo go lubi – gdyż zauważa, że w relacjach między nimi »czegoś« brakuje. Kiedy Luca pisze do niej, błagając, by do niego wróciła, gdyż zrozumiał, że ją kocha – Klara pozostaje niewzruszona. Uczy się »odcinać«".

Wyrok zapada niespodziewanie. Bardzo silny ból w ramieniu podczas gry w tenisa. Rak kości z przerzutami, jedna z najcięższych i bolesnych postaci nowotworu. Adonai.pl: „Po długim milczeniu, bez płaczu i bólu Chiara przyjmuje odważnie wiadomość. »Będzie dobrze. Jestem młoda« – mówi. Jej ojciec powie później: »Byliśmy pewni, że Jezus był pośród nas. To On dawał nam siłę«. Rozpoczyna się dogłębna przemiana; bardzo szybka wspinaczka do świętości".

W pewnym momencie Klara przestaje chodzić. „Nie będę już chodzić? Tak bardzo lubiłam biegać i jeździć na rowerze...". To czas na dorastanie wewnętrzne: z miłości do Jezusa ukrzyżowanego zgodziła się cierpieć przykuta do łóżka. Do swojego przyjaciela powiedziała: „Nie mogę już chodzić... ale to nic takiego"... W rozmowie z mamą Klara się jednak skarżyła. „Gdy wyraziła swoją skargę, mama odpowiedziała, że Jezus zabrał jej nogi, ale dał skrzydła".

Ta ofiara była bardzo świadoma, jasno wyrażona i udokumentowana przez świadków. Klara ofiarowała się również za indywidualne osoby, które coraz liczniej prosiły ją o wstawiennictwo u Boga, już za jej życia budując opinię świętości. Jej ostatnie słowa są skierowane do mamy: „Ciao. Bądź szczęśliwa, bo ja jestem szczęśliwa". Chwilę później Klara poszła na spotkanie z miłością swojego życia. 15 lat temu została ogłoszona błogosławioną.

Żyjemy w świecie z twarzą Aborcjela, w którym młodzi ludzie są smutni i zagubieni, gdzie utracone zostały wiara w Boga i zaufanie do Kościoła, a rodzina przestała być oparciem i fundamentem. Nowożytny intelektualizm poniósł klęskę, choć wygrał. Niezdolny nie tyle do sformułowania recepty, ile nawet zrozumienia tego, co się właśnie stało. Trwający przewrót to nie tylko klęska liberalizmu politycznego ani tylko oświeceniowej postawy buntu i pychy. Klęską kończy się pierwsza tak masywna próba stworzenia społeczeństwa bez Boga, bez duchowości, a jedynie z ubóstwieniem człowieka.

Na tych gruzach odradza się chrześcijaństwo. W Afryce, Azji, Polsce, we Włoszech. Pogrobowcem starego świata okazuje się wypluty przez środowiska rewolucji zdrowego rozsądku Elon Musk ze swoim „No gods or kings, only man". Prawdziwą twarzą nastolatka, którą nazywano Światłem.

We Włoszech świętość Klary została bezwzględnie zmonetyzowana. Świat bez Boga chce ją połknąć, zneutralizować. Upodobnić do siebie. Stąd ten felieton. Za kilka tygodni jedziemy z córkami do Sassello, do Klary. Będzie następny tekst i film. Zapraszam chcących go wesprzeć finansowo: Fundacja bruLionu, nr konta 17 2530 0008 2060 1085 9221 0001 z dopiskiem Luce. Wpłać, poproś, doświadczysz nadziei. Będziesz wierny, poznasz niepohamowaną, Szaloną Radość. Sens życia w bonusie.

eprasa.pl 2c3697ce2f

HALINA PRZEBINDA*

W Rzeszowie jest wszystko

W Rzeszowie jest wszystko – kawałek tętniącej wielkomiejskim życiem Warszawy i kawałek Krakowa z pięknie odrestaurowanym, klimatycznym ryneczkiem. Jest zieleń i bardzo ciekawie rozwijana kultura. Znam ludzi, którzy ją tworzą i wiem, że to ich pasja i życie. Dlatego powstają tu tak fascynujące i otwarte projekty.

Wiele lat temu, kiedy zaczynaliśmy Wschód Kultury, dostałam propozycję zorganizowania w Rzeszowie pierwszego koncertu. Niestety nie doszło do niego, ponieważ Podkarpacie ucierpiało podczas powodzi. Potem, w 2011 r., inauguracja festiwalu (zorganizowana na rynku) odbyła się beze mnie. Kolejna propozycja wraz z prośbą o nową koncepcję koncertu przyszła przy następnej edycji.

Szukałam czegoś, co łączy muzyka. Tak powstały kolektywy, w których gwiazdy z Polski i zza wschodniej granicy spotykają się tylko w ramach tego jednego projektu, mają bardzo ograniczone próby i dodatkowy stres związany z wymogami telewizyjnymi. Koncert jest transmitowany na dużą antenę, musimy więc dbać, by telewidzowie zobaczyli superinteresujących, świetnych wykonawców, którzy tworzą też niezwykłe duety. Wszystko po to, by pokazać, że kultura może się łączyć na różnych etapach, na różnych poziomach.

Jeśli chodzi o dobór artystów, zaczynamy od polskich, potem wraz z nimi szukamy wykonawców, którzy albo są im twórczo bliscy, albo ich uzupełniają, ale bywa, że do duetu wybierają zupełnie inną muzykę niż ta, z którą są kojarzeni. W tym roku mamy cztery kolektywy: Lanberry & Kazka (Ukraina), Wiktor Dyduła & MokuMoku (szalony zespół z Gruzji), AbradAb & Serhii Babkin (Ukraina), Matylda/Łukasiewicz & Yegor Zabelov (wspaniały akordeonista z Białorusi).

Koncert odbędzie się w nowej przestrzeni. Przez pierwszych pięć lat graliśmy na stadionie (stąd nazwa Europejski Stadion Kultury), następnie przenieśliśmy się na łąkę wśród bloków, w międzyczasie trafiliśmy do Hali Podpromie, potem był COVID-19, więc znów trafiliśmy na łąkę. Teraz chcieliśmy wrócić do centrum miasta, żeby pokazać je przed kamerami, żeby ludzie do nas przyszli, żebyśmy współtworzyli to wydarzenie. Zagramy, mając w tle dużą, ruchliwą ulicę. Pewnie na sam koniec ją zamkniemy, ale jej dynamika zostanie w obrazku.

Jeżdżę do Rzeszowa właściwie raz w roku – w związku z realizacją koncertu – ale mam do tego miasta duży sentyment. Poznałam tu wielu wspaniałych ludzi, z którymi do dziś się przyjaźnię i spotykam także w Warszawie. Lubię Rzeszów, a żeby go jak najlepiej, najciekawiej pokazać na ekranie, musiałam go też bardzo dobrze poznać. Jeśli ktoś przyjedzie tu pierwszy raz, koniecznie powinien zobaczyć zamek i niezwykłą architekturę wnętrz kościołów. Warto też zwrócić uwagę na nowoczesny look miasta.

Tym, co mnie fascynuje w Rzeszowie, jest nieustanny rozwój. Kiedy zaczynaliśmy tu pracę w 2013 r., nie było tak pięknie odnowionego ryneczku. To maleńka wspaniała perełka, gdzie można usiąść w kawiarni, nacieszyć się starą architekturą (co jest mi bliskie, bo pochodzę z Krakowa) i po prostu pięknem miejsca. Doceniam też nerw miasta widoczny w nowoczesnej architekturze, dobrze komponującej się z innymi walorami. Przez Rzeszów płynie Wisłok, nad którym można usiąść, rozprostować nogi na trawie, a za plecami mieć najwyższy budynek miasta. Gdybym miała taką możliwość i czas, założyłabym sportowe buty i pobiegła wzdłuż rzeki, bo są tu wspaniałe, dające odpoczynek tereny zielone.

Znakomity pianista Lubomyr Melnyk, który w zeszłym roku występował z Tomaszem Makowieckim – kiedy spotkaliśmy się w Rzeszowie – powiedział, że dawno nie czuł tak pięknego, wspaniałego miasta i nie był tak szczęśliwy, że tu jest.

Notowała ***Jolanta Gajda-Zadworna***

* reżyserka, producentka, pomysłodawczyni i reżyserka finałowego koncertu festiwalu Wschód Kultury w Rzeszowie

Fot. Archiwum prywatne

eprasa.pl 2c3697ce2f

SŁODKO-SŁONY

Dorsz z pomidorkami

ANNA MONICKA

Dawno nie jadłam porządnej ryby (do wakacji, kiedy będę mogła kupić świeżutkie, dopiero co złowione okazy od zaprzyjaźnionych rybaków w Dźwirzynie jeszcze szmat czasu), więc mama postanowiła zrobić mi niespodziankę i w małym, ale świetnie zaopatrzonym sklepiku rybnym kupiła pięknego dorsza. Podobno bałtyckiego, ale nie wiem, czy to prawda, bo w naszym morzu tych ryb jest coraz mniej i obowiązują limity, a nawet zakazy połowów, więc w smażalniach przy plażach zwykle ludzie jedzą atlantyckiego albo sprowadzanego z Morza Północnego.

Dorsz tak dawno nie gościł na naszym stole, że już zapomniałam, jaka wspaniała to ryba, o białym, soczystym, zwięzłym mięsie. Mama podlewa go oliwą, bo jest chudy, i dusi na patelni z odrobiną czosnku oraz soku z cytryny, żeby był delikatny i ładnie pachniał. Podany ze szparagami albo duszoną kalarepą z koprem bije na głowę wszystkie kotlety świata i jest znacznie zdrowszy niż wieprzowina czy wołowina. Ponieważ dostałam w prezencie piękny kawał mięsa, postanowiłam zrobić zupę jarzynową z dorszowymi kostkami.

Zupę rybną zwykle gotuję jesienią, jest zawiesista, gęsta od papryk i pomidorów, ostra, pływają w niej trzy różne gatunki ryb, ale wiosenna wersja także jest bardzo smaczna, a przy okazji takie danie jednogarnkowe stanowi cały obiad.

Na włoszczyźnie – solidnej, a jeśli jest mała, to na dwóch – gotuję bulion warzywny. Powinno być w nim dużo pietruszki. Drobno kroje cztery łodygi selera naciowego i podsmażam na oliwie w płaskim szerokim garnku, dorzucam dwa, trzy ząbki czosnku i białą, pokrojoną w drobną kosteczkę cebulę, poszatkowaną główkę kapusty pekińskiej i łyżeczkę wędzonej papryki w proszku, podsmażam minutę lub dwie i zalewam bulionem. Wyfiletowaną rybę (ok. 0,5 kg, ale im więcej, tym zupa będzie bardziej rybna, mniej warzywna) kroję w kostkę i ostrożnie wkładam do zupy – powinna się gotować na wolnym ogniu ok. pół godziny, aż ryba zmięknie, ale się nie rozleci. Na koniec dodaję dwie szklanki przekrojonych na połówki pomidorków koktajlowych i znów chwilę gotuję. Doprawiam solą i oliwą, podaję z chrupiącą bagietką.

Fot. Shutterstock

WILCZYM OKIEM

Osobliwe ryby Bałtyku

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Bałtyk jest morzem niedużym, niegłębokim, mało słonym, o krótkiej historii – niecałe 9 tys. lat temu był jeszcze słodkim Jeziorem Ancylusowym powstałym po zlodowaceniu i niepołączonym z Morzem Północnym. Wszystko to sprawia, że jego fauna jest uboższa niż wielu innych, pełnosłonych mórz, a osobniki różnych gatunków osiągają na ogół mniejsze rozmiary niż w Morzu Północnym czy Atlantyku.

Dla przyrodnika Bałtyk wcale nie jest jednak przez to mniej interesujący. Wręcz przeciwnie. Można znaleźć oryginalne bałtyckie odmiany różnych zwierząt. Wiele z nich wciąż czeka na poznanie, jak wskazują chociażby niedawne informacje o odkryciu w Bałtyku populacji śledzi (bałtyckie śledzie należą do gatunku śledź atlantycki), która w przeciwieństwie do pozostałych nie jest planktonożerna, ale poluje na ryby, dzięki czemu znacznie szybciej rośnie (może ta cecha wskazywałaby na pokrewieństwo ze śledziami pacyficznymi, co byłoby bardzo ciekawe, ale równie dobrze mogą być zupełnie oryginalnymi śledziami bałtyckimi).

Po drugie, jeżeli pisałem, że krótka historia Bałtyku ogranicza różnorodność jego fauny, to jednocześnie sprawia, że możemy obserwować wielki eksperyment przyrody. 9 tys. lat temu powstało nowe morze – to czas, który możemy dobrze prześledzić właśnie dlatego, że nie jest niewyobrażalnie długi. Mamy więc wgląd w proces powstawania morza, który w dodatku trwa.

Śledzie, dorsze, szproty i różne płastugi – już to by wystarczyło, żeby uznać nasze morze za wspaniały ekosystem. Zostawiając na inną okazję limaponcje czy nereidy i inne zadziwiające bezkręgowce, spójrzmy na zaledwie dwa przykłady bardzo dziwnych ryb – oczywiście bałtyckich.

Tasza osiąga długość do 30 cm. Jest tak wygrzbiecona, a do tego pokryta rzędami wyrostków na skórze, że wygląda jak bulwiasty kaktus. Ma przy tym wyłupiaste oczy, intrygujące usta, a jej płetwy brzuszne są zrośnięte w przyssawkę, którą samiec kotwiczy się do kamienia, pilnując ikry.

Z kolei węgorzyca to ryba żyworodna. Wprawdzie to jajożyworodność (młode wykluwają się w ciele samicy, a potem się rodzą), ale czy można narzekać, skoro tak samo rozmnażają się rekiny?

O śluzicy nie piszę – jest zbyt straszna.

eprasa.pl 2c3697ce2f

OGNIEM NA WPROST

Pluton jednorazowego użytku

Andrzej Rafał Potocki

W ostatnim numerze skrótowo opisywaliśmy sytuację na froncie. Choć do przełamania jeszcze daleka droga, niewątpliwie tempo postępów Moskali w maju było większe niż w poprzednich miesiącach. Ruski wpadł na pomysł tzw. potrójnego uścisku służącego przełamywaniu ukraińskich pozycji obronnych. Nowa taktyka składa się z trzech faz. W pierwszej atakuje piechota, czasami wspierana z dystansu przez czołgi i pojazdy opancerzone. Ich zadaniem jest związać obrońców walką i ujawnić pozycje obronne. W drugiej fazie uderzają drony i artyleria lufowa, które izolują rejon przełamania, odcinając logistykę i uniemożliwiając rotację oraz podesłanie odwodów. Na tak „przygotowaną" pozycję spadają bomby szybujące FAB i KAB, niszcząc umocnienia, a także pozycje obronne, otwierając drogę nacierającym bojcom. Umocnienia w formie linii okopów się nie sprawdzają. Przełamane w jednym punkcie w zasadzie sypią się na całej długości. Atakujący po prostu idzie wykopanym w ziemi korytarzem, „czyszcząc" krótkimi seriami z kałacha, granatem, pięścią i bagnetem. Obrona przed tak prowadzonym natarciem (korzystającym zarówno z sowieckich, jak i amerykańskich doświadczeń) jest niezmiernie trudna. Innymi słowy, dwa razy z kopa w drzwi i jak zamek puści, to huzia na Józia!

Co na to Tryzuby? Postanowili sięgnąć do ruskich doświadczeń walk o Chersoń (a także doświadczeń sowieckich z pierwszych miesięcy wojny niemiecko-sowieckiej i koncepcji stosowanych w państwach Układu Warszawskiego). Zresztą sami już stosowali tę taktykę, tylko... przestali. Poza tym podobny system w 2023 r. Kacapy zastosowali na Zaporożu, co zastopowało ukraińskie natarcie. Pomysł Ukraińców polega na tym, żeby budować obronę nie w oparciu o jedną linię umocnień, a o system izolowanych, zdolnych do obrony okrężnej pozycji obronnych, wzajemnie osłaniających się ogniem i opartych o naturalne przeszkody terenowe (wzgórza, rzeki, zbiorniki wodne). Poszczególne reduty nie mają bronić jakiejś linii, a obszaru, pasa terenu. Przebicie się przez taki system wymaga nie jednego silnego ataku, a całej serii mniejszych, wyczerpujących. W dodatku upadek jednej pozycji nie pociąga za sobą przełamania. Osiąga się je dopiero po przejściu całego pasa umocnień, i to w dość szerokim pasie. Wymaga to zaangażowania znacznie większej liczby bojców niż przełamanie obrony liniowej. Ta taktyka jest w pewnym stopniu przeniesieniem na realia terenowe cech walki miejskiej, gdzie opanowanie miejscowości też wymaga zdobywania budynku za budynkiem i jest mozolne oraz wyczerpujące. Czyli w miejsce „ściany", od której odbijały się, ale po jakimś czasie jednak przebijały ją atakujące oddziały, jest tworzona „gąbka", która ma za zadanie „wchłonąć" szturmujących. Oczywiście po jakimś czasie i ona zacznie „przeciekać", ale Ukraińcy liczą na to, że ten czas będzie na tyle długi, iż wyczerpie rosyjski potencjał ofensywny. Taki system umocnień jest obecnie budowany od Charkowa przez Izium aż do odcinka zaporoskiego. Zastosowany przez Ukraińców system ma więc zalety, a także tę kluczową wadę, że żołnierze, którzy obsadzą pozycje, muszą walczyć do końca, bo nie mają wielkich szans na ewakuację. Oddziały obsadzające tego typu pozycje już podczas II wojny światowej miały swoją nazwę – plutony jednorazowego użytku.

Dwa lata temu ukraiński HUR (wywiad wojskowy) z okazji swojego święta opanował nieczynne platformy wiertnicze na Morzu Czarnym, które od 2015 r. były pod kontrolą Moskali. Cztery platformy ulokowane w pobliżu południowo-zachodniego wybrzeża Ukrainy dają z jednej strony kontrolę nad tą częścią Morza Czarnego (wspólnie z Wyspą Wężową), a z drugiej dzięki wieżom wiertniczym pozwalają zainstalować na nich zarówno systemy rozpoznania radio- i optoelektronicznego, jak i systemy łączności. Opanowanie ich dałoby Moskalom możliwość ochrony zachodniego wybrzeża Krymu, na którym nie można przeprowadzić desantu, mając platformy za plecami i dość głęboki wgląd w terytorium Ukrainy, pozwalający na planowanie własnych operacji desantowych. W ramach przejmowania kontroli na Morzu Czarnym ruski zakasał rękawy i nocą ostrzelał wieżę Krym 2. Nad ranem, dosłownie w świetle kamer, podpłynął trzema łodziami Specnaz GRU (siły specjalne) i popisowo wkroczył na Krym 2, zatykając trójkolorowe flagi. Jak PR, to PR. Aż tu nagle niespodzianka. W rejonie wież czaiły się bowiem ukraińskie siły specjalne, które zaczęły ostrzeliwać platformę z wielkokalibrowych karabinów maszynowych oraz dronami latającymi i rakietami Neptun. Bojcy nie mieli się gdzie schować, bo zabudowania platformy to ogólnie wielki kontener z cienkiej blachy, która dla WKM czy drona nie stanowi przeszkody, co gorsza, wybuch na zewnętrznej powierzchni kontenera wrzuca do środka ostre metalowe odłamki. Po zrobieniu na Krymie 2 ze Specnazu mamałygi runęła koncepcja Kremla powrotu w pełnej krasie na Morze Czarne.

Współpraca: „Skipper"

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 2c3697ce2f

Michał Korsun prezentuje:
Koziołek Matołek i Rafałek na Paradzie Równości

Wycinki z przeszłości

U progu lata 1935 r. polska prasa odnotowywała kres mody „na chłopczycę". „Teraz nosi się włosy już trochę dłuższe, które wymagają bardziej troskliwej opieki i pielęgnacji. Oczywiście, nie nosi się jeszcze warkoczy. Ale już włosy spadające lekko na szyję – jak najbardziej. Panuje coraz bardziej wolność indywidualna: ile głów, tyle uczesań, tyle dostosowań uczesania do rodzaju urody, do charakteru twarzy. Najpiękniejsza pozostaje »główka klasyczna«, której wzór mamy na naszej fotografii. Piękno i prostota są tu doskonale zharmonizowane i wrażenie takiego uczesania zawsze pozostanie nieodparte".

Zdaniem autorów bezpowrotnie przeminęła pewna epoka: „Nie wróci się już prawdopodobnie do mody włosów zupełnie długich, spiętrzonych kunsztownie w wysokie fryzury, niesmaczne arcydzieła fryzjerskie dawnych czasów, owa »wieczna ondulacja« tamtych czasów, która wymagała niezmiernie wiele roboty, a zburzenie sprawiało też nie lada kłopot".

Jak wiemy, te konstrukcje na głowach były też siedliskiem wszy i innego robactwa – tak wyglądała ciemna strona dawnej mody. Nie wszystko, co przeminęło, wspominamy zatem z żalem.

(mk)

Z WOLEJA

Dynamo Kijów: futra, panienki, korupcja...

Ryszard Czarnecki

Urodziliśmy się tego samego dnia – 25 stycznia. Tyle że Antonio Jesús López Nieto pięć lat wcześniej. Był jednym z wybitniejszych sędziów piłkarskich w Hiszpanii i Europie. Sędziował Mundial i Ligę Mistrzów. W hiszpańskiej La Liga gwizdał mecze przez 15 lat, te pod auspicjami FIFA – 10 lat. Był nieprzekupny. Ale nie wiedzieli o tym szefowie Dynama Kijów. Skoro wcześniej wiele razy piłkarscy arbitrzy sędziujący mecze mistrza Ukrainy w europejskich pucharach brali od nich prezenty za dziesiątki tysięcy dolarów i korzystali z prostytutek, to dlaczego gość z Malagi miałby odmówić przyjęcia futer za 30 tys. dol.? Było to przed meczem fazy grupowej LM z Panathinaikosem Ateny. Odbył się on 13 września 1995 r. i dla klubu ze stolicy Ukrainy ta „13" okazała się feralna.

Takie numery przechodziły ukraińskim działaczom nie raz, nie dwa. Ale ówczesny nowy prezes UEFA Szwed Lennart Johanson pochodził z kraju i regionu, w którym korupcja była traktowana inaczej niż w Europie Wschodniej czy Południowej. Śledztwo było błyskawiczne i po tygodniu UEFA wydała wyrok: Dynamo Kijów natychmiast wyrzucono z europejskich pucharów. Co więcej, mistrz Ukrainy nie mógł grać w nich przez dwa kolejne sezony. Działaczom „od futer": Wasylowi Babyszukowi i – uwaga – Ihorowi Surkisowi, dożywotnio zakazano pełnienia funkcji w europejskim futbolu. UEFA jakoś nie uwierzyła w ich zapewnienia, że sędzia Nieto sam zamówił futra, ale jak się dowiedział, ile kosztują, to z nich zrezygnował...

UEFA nie była jednak konsekwentna, a Ukraińcy byli zdeterminowani, aby nie ponosić zbyt wielkich konsekwencji: banicję kijowskiego Dynama w europucharach skrócono do roku, a panowie Ihor i Wasyl znowu mogli działać na rzecz futbolu na Ukrainie i w Europie.

Co uważniejsi czytelnicy mojego felietonu sprzed tygodnia „Kulisy wyścigu o Euro 2012" zapamiętali nazwisko Surkis. Tak, to ten sam Ihor, który najpierw chciał sprezentować futro i panienki sędziemu z Hiszpanii jeszcze jako członek zarządu Dynama Kijów, a potem był prezesem tegoż klubu. Jego starszy brat Hryhorij był przed nim prezesem Dynama, a potem przez 10 lat szefem ukraińskiej federacji piłkarskiej. Wspomniałem ich obu, jak potrafili dotrzeć z jakże okazałymi „argumentami" do władz tegoż UEFA, aby to Ukrainie – i Polsce! – przyznać Euro 2012.

Była jeszcze afera z przekazywaniem przez UEFA pieniędzy ukraińskiej federacji futbolowej na prywatne konta Surkisów w rajach podatkowych. A 26 lutego 2022 r., dwa dni po agresji Rosji, bracia wyjechali z ojczyzny z prawie 18 mln dol. i dwoma wnukami, mimo że ci podlegali poborowi do wojska. Kto bogatemu zabroni?

eprasa.pl 2c3697ce2f

OD A DO ZYBERTOWICZA

No nie pozwalają cieszyć się życiem

Kto? Te gagatki od cyfrowych technologii. Większość z nich raczej nie rozumie, w czym uczestniczy. Ale niektórzy ich mocodawcy świetnie ogarniają tę układankę.

SMARTFON – DYWERSANT

Mój smartfon zrobił dużą aktualizację. Przy okazji pozmieniał różne rzeczy. Rodzaj czcionki, jej rozmiary, kolory różnych konfiguracji oraz ikonek, zniknęły niektóre potrzebne mi funkcje. W tym takie, które wymagały sporej ilości czasu, by się nimi płynnie posługiwać. Pojawiły się za to inne, niektóre odbieram tylko jako utrapienie. Zniknęły powiadomienia z jednego z komunikatorów – zorientowałem się przypadkiem po kilku dniach.

A o czym jeszcze nie wiem, że już to straciłem? Pewnie odkryję to akurat wtedy, gdy nie będę miał czasu się na tym skupić. No właśnie – tu idzie o czas.

LINIE LOTNICZE

Mam lecieć na konferencję do Brukseli. Organizatorzy kupili bilety, zarezerwowali hotel. Kilka dni przed wylotem linie lotnicze zawalają moją pocztę elektroniczną stosami e-maili. Zbędne informacje, w tym zachęty do skorzystania z całej gamy opcji, które tylko zaśmiecają moją głowę.

Dlaczego oni to robią? Bo mogą. Bo (prawie) nic ich to nie kosztuje. Wysyłają pliki z gotowych matryc tylko po to, by kusić mnie jakimś nieistotnymi wygodami. Lot trwa tylko dwie godziny, więc dodatkowe wygody mnie nie interesują. Zwłaszcza że miałbym za nie dodatkowo płacić. Ale pal sześć forsa. Najgorsze jest to...

...CIĄGŁE ZAWRACANIE GŁOWY

I fatalne jest też, że już się przyzwyczailiśmy do ciągłych strumieni infośmieci. Że nie dostrzegamy, co się dzieje z naszymi głowami. Że coś, co miało nam oszczędzać czas, robi coś dokładnie odwrotnego.

To my stajemy się narzędziami „naszych" narzędzi. Pożerają one coraz więcej naszego czasu i uwagi. Próbują nas „wkręcać" na każdym kroku

Poczta elektroniczna i smartfony miały być narzędziami czyniącymi nasze życie bardziej wygodnym. Miały oszczędzać nam czas. Służyć bezpieczeństwu, przyjaznym kontaktom z ludźmi.

A jest dokładnie odwrotnie. Te rzekome narzędzia zamieniają się (dla wielu osób niezauważenie) w naszych władców. To my stajemy się narzędziami „naszych" narzędzi. Pożerają one coraz więcej naszego czasu i uwagi. Próbują nas „wkręcać" na każdym kroku. Jak to robią?

M.in. w ten sposób, że stają się dla nas coraz mniej przejrzyste, musimy poświęcać coraz więcej czasu na zapoznawanie się z nimi, zanim nauczymy się ich sprawnie używać. A gdy już to nam się udaje, to wtedy...

...NASTĘPUJE KOLEJNA AKTUALIZACJA

I znowu jakieś urządzenie domaga się naszej uwagi, próbuje nas zaintrygować sobą samym. Zamiast być tylko środkiem do realizacji naszych ważniejszych, wznioślejszych, wyższych celów, samo wpycha się na ich miejsce. A młode pokolenie, nic a nic nie czając z całej tej układanki, potulnie daje się w to wkręcać.

Utalentowani młodzi technoentuzjaści i cała ta często nadmiarowa cyfryzacja są częścią technorynkowych sił, których natury w ogóle nie pojmują.

Te cudowne narzędzia nie tylko często pozostają pod kontrolą tych, którym za nie zapłaciliśmy. One dodatkowo wymagają od nas ciągłego uczenia się ogromnej liczby zbędnych umiejętności i przyswajania nowych nawyków, które przy kolejnej aktualizacji lub wymianie sprzętu znów okażą się kulą u nogi.

DO MŁODYCH

Może jeszcze tego nie dostrzegliście, ale elektroniczne gadżety nie pozwalają rozsmakować się w prawdziwym życiu. W budowaniu bliskości – z ludźmi, z przyrodą, ze swoimi intymnymi, najgłębszymi pragnieniami.

Kiedy będziecie mieli czas zabrać się za medytowanie kosmosu? Za poszukiwanie i rozważanie śladów Boskiego sprawstwa? Za refleksję nad miejscem innych ludzi w waszym wewnętrznym życiu?

Wielka część technologii cyfrowych wcale nie pomaga nam skuteczniej zmagać się ze złożonością i nieprzejrzystością współczesnego świata. One tę złożoność zwiększają, często w absurdalny sposób. Nie czynią życia ani bardziej wygodnym, ani satysfakcjonującym. Wpychają nas w niekończące się pętle nabywania nowych umiejętności, które przy przejściu do sprzętu nowej (rzekomo lepszej) generacji będą już bezużyteczne.

Technologia miała służyć człowiekowi. Kiedy zaczęła żądać posłuszeństwa, przestała być narzędziem. Może wciąż mamy czas, by się otrząsnąć.

Andrzej Zybertowicz

Autopromocja x2

eprasa.pl 2c3697ce2f

Czytaj nas w najlepszej cenie!

Teraz **tylko 7,35 zł** za jedno wydanie (w prenumeracie rocznej), podczas gdy cena w kiosku to **12,90 zł**.

Jak zamówić papierową prenumeratę tygodnika SIECI ?

1

Wybierz swoją prenumeratę

	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
cena prenumeraty	118 zł	207 zł	**375 zł** NAJLEPSZY WYBÓR
cena w kiosku	~~167,70 zł~~	~~322,50 zł~~	~~657,90 zł~~

Informacje o prenumeracie: tel. 22 616 36 00 (poniedziałek-piątek w godz. 14-16)

2

Zamów i opłać

- Zamów prenumeratę przez stronę **www.sieciprawdy.pl/prenumerata** i opłać przelewem ze swojego konta
- **Jeśli nie korzystasz z internetu**, opłać prenumeratę na poczcie, podając dane do wpłaty w okienku

Wytnij karteczkę-niezbędnik na pocztę

Dane do opłacenia prenumeraty Sieci na poczcie:

Nazwa odbiorcy: Fratria sp. z o.o.

Nr konta: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290

Tytuł wpłaty: .....

.....

(tu wpisz adres dostawy prenumeraty – to warunek otrzymania prenumeraty)

Kwota: .....

(tu wpisz cenę wybranej prenumeraty, np. 375 zł)

eprasa.pl-2c3697ce2f

Subskrypcja wPolityce.pl Premium + i SIECI

CAŁE LATO czytasz

za 9,90 zł / 3 miesiące

Cena 9,90 zł za pierwsze 3 miesiące, następnie 44,90 zł co 3 miesiące i możesz zrezygnować, kiedy chcesz

Oferta ograniczona czasowo

Przez całe wakacje czytaj:

- mocne komentarze publicystów, aktualne informacje z Polski i ze świata, wywiady z najważniejszymi ludźmi polityki
- **wszystkie zamknięte artykuły na** wPolityce.pl Premium +
- pełne **e-wydanie tygodnika** SIECI wcześniej niż inni, bo już w niedzielę o 18:00
- **w prezencie świetne ebooki Sieci Extra** udostępniane TYLKO subskrybentom

Zamów dziś na **www.siec.wpolityce.pl/oferta**

ZESKANUJ KOD
I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ

eprasa.pl 2c3697ce2f